

Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

INSTYTUT HISTORYCZNY
UNI W. WARSZ.
XI. 6. 708

A 28.
Pamiętniki
Jen. Jerzmaniewskiego
22. 1863.
cz. 1

Colour Chart #13

Blue	
Cyan	
Green	
Yellow	
Red	
Magenta	
White	
3/Color	
Black	

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

DANES PICTA .COM

INSTYTUT HISTORYCZNY
UNI W. WARSZ.

~~XI. 6. 708~~

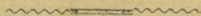


A 28.

Pamiętniki
Jen. Jeronimskiego
22. 1853.
Czyści

PAMIĘTNIKI

Jenerała ANTONIEGO JEZIORAŃSKIEGO.



XI b. 708

PAMIETNIKI

Jenerała ANTONIEGO JEZIORAŃSKIEGO.

POWSTANIE R. 1863,

CZĘŚĆ I.

LWÓW.

NAKŁADEM KSIĘGARNI K. ŁUKASZEWICZA,

1880.

355. 91(438)

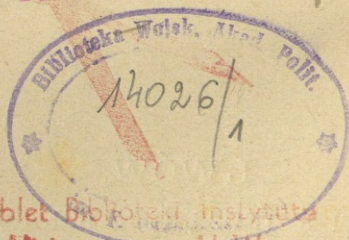
BIBLIOTEKA INSTYTUTU HISTORYCZNEGO
Uniwersytetu Warszawskiego

drukarni „Dziennika Polskiego“
pod zarządem L. Zmbalewicza.

Wpisano do
inwentarza

Dział III Nr.

3237

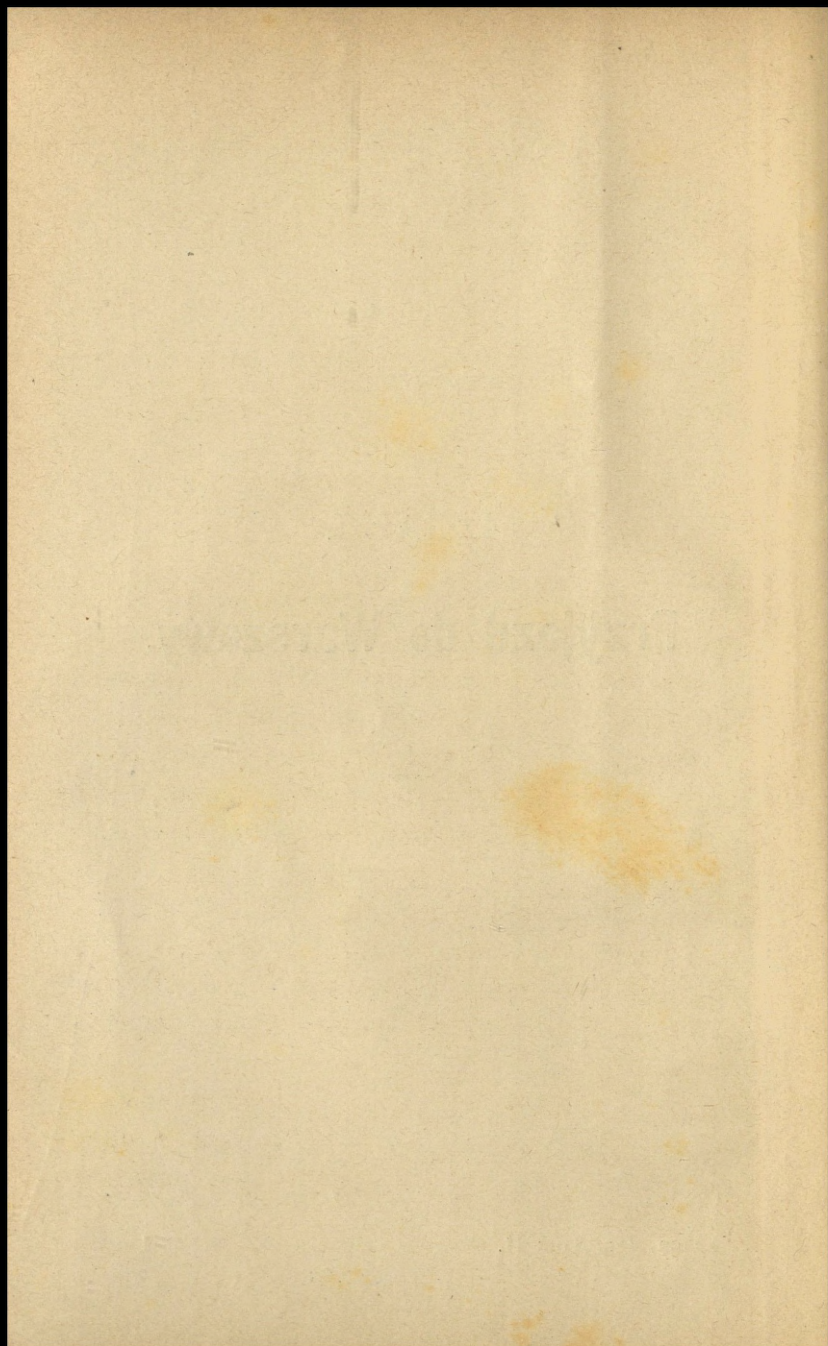


dublet Biblioteki Instytutu
Historycznego U.W.

DZIAŁ I.

Przyjazd do Warszawy.





Jakiem przejęty byłem uczuciem w drodze do ojezyny pojmie łatwo ten, kto po kilkunastu latach tułactwa, straciwszy nadzieję obaczenia jej kiedykolwiek już w życiu, wracał do niej... do tych, których kochał, za którymi tęsknił!

O ile mię powrót ten uszczęśliwiał, o tyle trudy podróży nękały fizycznie; czułem się osłabiony, odnowiła mi się w nodze rana, którą odniosłem pod Tarcalem.

W Wiedniu udałem się do lekarza, który opatrzył ranę, zapisał lekarstwo i zalecił abym nogi nie wysilał i bez grubej laski, umyślnie dobranej, zabronił mi chodzić.

Już to z powodu choroby i zmiany ubrania wschodniego na europejskie, w którem to ubraniu, po tylu latach nienoszenia go, przyznam

*

się że nie było mi wygodnie, zmuszony byłem w Wiedniu zatrzymać się dni pięć.

Dnia szóstego wsiadłem do wagonu kolei północnej, dążąc do celu mej podróży. Niecierpliwił mnie i gniewał ruch powolny kolei, choć jechałem pociągiem pospiesznym, bo chęci mej powitania jak najrychlej ziemi ojczystej i kółka rodzinnego, balon by nie sprostął.

Z gorączki tej dopiero głos konduktora wołającego „Kraków“ wyleczył mię.

Wysiadłem z wagonu i wszedłem w mury starej naszej stolicy, spotykając na każdym kroku pamiątki dawnej minionej świetności!... Przechodziłem może koło osób dawniej mi znanych, lecz oni mnie, ja ich nie poznawałem. Ból w nodze przypomniał mi rozkaz lekarza; wszedłem przeto do najbliższego hotelu i aby dostatecznie wypocząć, nie wychodziłem już przez całą resztę dnia na miasto.

Nazajutrz wyjechałem do Warszawy. W drodze myśl moja zajęta była tymi, których wkrótce obaczę — Jakie zmiany tam znajdę? — Czy mnie poznają? — Z tą myślą, z bijącym sercem, wysiadłem w rodzinnem mem mieście Warszawie!...

Zaledwie wszedłem na dworzec kolejowy mężczyzna wysokiego wzrostu, w średnim wieku,

w mundurze wojskowym, w stosowanym kape-luszu, zbliżył się do mnie i zapytał o paszport.

Wyjąłem i podałem mu kartę wolnego przyjazdu, daną mi przez konsula rosyjskiego w Belgradzie.

Przeczytał — ukłonił mi się i rzekł:

— Pan jesteś Jeziorański — gdzie są pańskie rzeczy?

— Jeszcze nie odebrałem ich z kolei.

— Masz pan bilet na nie?

Odebrawszy mi bilet, oddał posługaczowi, do którego rzekł tonem rozkazującym:

— Przynieś je zaraz.

Poczem zwracając się do mnie, rzekł uprzejmie:

— Rząd był już zawiadomiony o przyjeździe pańskim. Ja otrzymałem rozkaz zawiadomić pana abyś niezwłocznie po przybyciu tutaj zameldował się w placcomendzie.

Posługacz przyniósł tymczasem rzeczy.

— Chodźmy — rzekł do mnie komisarz. W drodze powiedział mi żebym rzeczy złożył w najbliższym hotelu.

— Najlepiej pan zrobisz jeżeli je zostawisz w hotelu naprzeciw kolei.

Zgodziłem się na to.

Na rogu Marszałkowskiej ulicy wszedłem do hotelu. Komisarz mnie nie opuszczał; posługacz zniósł rzeczy za nami.

— Lepiej pan zrobiłeś — dodał komisarz — żeś tu rzeczy umieścił. Do mieszkania matki pańskiej ztąd daleko, a przytem zaniepokojoną by była rozkazem meldunku.

Uwagi te jego trafiały do mego przekonania. Zapytałem :

— Czy koniecznie potrzeba natychmiast się meldować?

— Taki otrzymałem rozkaz.

Zwróciłem jego uwagę że pora jest bardzo spóźniona, albowiem było już po jedynastej godzinie w nocy, i zapytałem czy nie można by do jutra rana wstrzymać się z tym meldunkiem?

— Zważ pan — rzekłem — że jestem cierpiący, zmęczony podróżą i głodny.

— Zgodziłbym się na to — odrzekł — ale pod warunkiem że dasz mi pan słowo że hotelu nie opuścisz dopóki ja jutro tutaj nie przyjdę.

— Daję słowo.

— Zatem będę u pana jutro o dziewiątej rano.

— Zrobiłeś mi pan grzeczność, więc i drugiej nie odmów. Zjemy razem wieczerzę.

Komisarz przyjął zaproszenie.

Gdyśmy weszli do sali jadalnej siedziało w niej kilka osób przy stole. Z tego powodu weszliśmy do przybocznego pokoju, gdzie skoro ujrzelśmy się sami, gość mój przedstawił mi się mówiąc:

— Jestem Skulski, komisarz IX. cyrkułu. Miałem szczęście znać śp. ojca pana. W dzielnicy mojej był właścicielem kilku domów, których dziś matka pańska jest właścicielką.

Przy wieczerzy uspokajał mię żebym się nie obawiał nakazanego meldunku i uroczyscie dodał:

— Dziś panuje nam cesarz Aleksander — minęły już czasy Mikołajowskie!...

Słyszac te słowa w ustach pana komisarza można było mniemać że wraz z śmiercią cara Mikołaja minęła żelazna niewola ludów carat tworzących.

Już dobrze było po północy gdym pożegnał pana komisarza, zapewniając raz jeszcze że oczekiwać go będę jutro w hotelu.

Udałem się na spoczynek — ból w nodze dokuczał mi, sen jakoś nie przychodził; a niemalym także powodem bezsenności była i myśl o meldunku.

O godzinie dziewiątej byłem już ubrany. Zapukano do mego pokoju i wszedł pan komisarz.

Po zwykłym powitaniu zapytał mnie o zdrowie.

— Nie najlepiej się mam — odrzekłem. Ból w nodze mi dokucza.

— Cóż to jest nodze pańskiej?

— Rana w niej odnowiła się i nieznośnie mię boli.

— Nie bardzo się pan utrudzi — odrzekł komisarz — dorożka czeka na nas przed hotelem.

Na krakowskim przedmieściu dorożkarz stanął przed placomendą. Szedłem za komisarzem. W trzecim pokoju było biuro placomendanta, którym był generał Tuczek.

Przyjął mnie nadspodziewanie moje grzecznie — a widząc mię kulejącego i podpierającego się na lasce, rzekł:

— Pan jesteś cierpiący — proszę siedzieć. Żle Pan zrobiłeś że nie otrzymawszy osobnego pozwolenia na przyjazd od cesarza, przybyłeś do Warszawy. Pan byłeś w wojnie wschodniej, a tacy wyjęci są od amnestji, wydanej przez Najjaśniejszego pana, jako ci, którzy walczyli przeciw niemu.

— Wina nie ciąży na mnie, odparłem, ale na konsulu w Belgradzie, który dał mi kartę wolnego tu przyjazdu.

— Prawda, pomimo tego nim cesarz pozwoli tu pozostać panu, będziesz pan zatrzymany

i strzeżony na odwachu. Poszliśmy w tym względzie relację do Petersburga — Inaczej postąpić z panem nie możemy.

Oficer dyżurny odprowadził mnie na odwach na Saski plac; tam wprowadzony zostałem do pokoju małego, którego okna opatrzone były grubymi żelaznymi kratami.

Przypatrzwszy się wnętrzu mego aresztu mimo woli sięgnąłem myślą ubiegłych czasów. Nie jeden na tym odwachu, może i w tym samym pokoju, oficer wojsk polskich siedział tu niegdyś wtrącony kaprysem W. księcia Konstantego.

Gdym był zajęty temi myślami, zapukano do drzwi i wszedł oficer służbowy.

Był to mężczyzna niskiego wzrostu, młody, przyzwoitej powierzchowności — Rosjanin, nieumiejący po polsku.

Zmuszony byłem mówić z nim tym językiem, w którym za czasów moich szkolnych z rozkazu cara Mikołaja wszystkie, prócz religji, wykładano przedmioty.

Gdy się dowiedział kto jestem i za co siedzę w areszcie, zapytał mnie czyby nie mógł być mi w czem użytecznym?

— Wielką mi pan grzeczność wyświadczy, rzekłem, jeżeli dasz znać bratu memu, który jest

urzędnikiem komisji skarbu, że tu się znajduję. Zwrócisz pan także uwagę jego ażeby o bytności tu mojej nikomu nie mówił, dopóki nie obaczy się ze mną.

— Bądź pan spokojny — za pół godziny będę zluzowany z warty i spełnię dane mi zlecenie.

Co przyobiecał, dotrzymał. O godzinie pierwszej po południu brat mój już był u mnie, w towarzystwie dyrektora bióra paszportowego pana Rychtera.

Ten mi doradził wnieść na ręce Namiestnika cesarskiego, księcia Gorczakowa, prośbę do cesarza o pozwolenie pobytu w rodzinnym kraju, do którego przybyłem nie wiedząc że byłem wyjęty z pod amnestji.

Zaś do księcia Gorczakowa polecił wystosować prośbę o uwolnienie z aresztu, uzasadniając ją złym stanem mego zdrowia.

Stosując się do tej rady, napisałem niezwłocznie podanie, które tegoż samego dnia przez znajomego bratu memu urzędnika bióra księcia Gorczakowa temuż doręczone zostało.

Aby matki i rodziny nie zaniepokoić obecnem mojem położeniem, postanowiliśmy nie uwiadamiać ich o mym przybyciu dopóki starania o uwolnienie z aresztu nie osiągną pożądanego skutku.

Brat mój do późna w noc został ze mną. Nazajutrz przybył adjutant księcia Gorczakowa i z rozkazu księcia udałem się z nim do Zamku.

Wszedłem na salę posłuchalną. Noga tak mi dokuczała że bez laski kroku postąpić nie mogłem.

Książe zajęty był rozmową z jakąś panią, w żałobie ubraną. Gdy skończył zwrócił się do mnie.

Książe Gorczaków był to mężczyzna chudy, wysoki; przez okulary świeciły mu oczy, rzucające przenikliwe, lecz nierażące spojrzenie, a w całej powierzchowności, głosie i układzie jego, przebijało się znużenie umysłowe — choroba, którą Anglicy splinem nazywają.

Na przemówienie moje skinął z niechcenia głową i głosem monotonnym rzekł:

— Dlaczego pan w Wiedniu nie meldowałeś się ambasadorowi naszemu? Onby pana był oświecił i nie pozwolił tu przybyć.

Odparłem na to:

— Mając od konsula Jego Cesarskiej Mości z Belgradu kartę wolnego przybycia do miejsca urodzenia, nie wiedziałem że potrzeba meldować się w Wiedniu.

— W rzeczy samej konsul na przykrość pana naraził. — Poszlę ja prośbę pańską do Petersburga, dodam z mej strony że z powodu od pana niezależnego, przybyłeś pan tu w sposób nielegalny; nadmienię i o stanie zdrowia — może Najjaśniejszy Pan uwolni od odpowiedzialności.

Potem dodał:

— Wniosłeś pan prośbę żebym pana uwolnił z aresztu. Już przez sam wzgląd na zdrowie pańskie zrobiłbym to, lecz w takim razie musisz pan pierwej dać poręczenie trzech obywateli odpowiedzialnych, że nie opuścisz Warszawy bez zezwolenia rządu i na każde zawołanie stawisz się.

— Postaram się o poręczycieli, a znalazłszy ich będą korzystał z łaski Waszej księżęcej Mości, odrzekłem.

Książe skinął głową i posłuchanie skończyło się.

Ten sam oficer, z którym przybyłem, odwiózł mnie napowrót do aresztu. Zastałem tam brata mego, któremu powtórzyłem rozmowę z księciem.

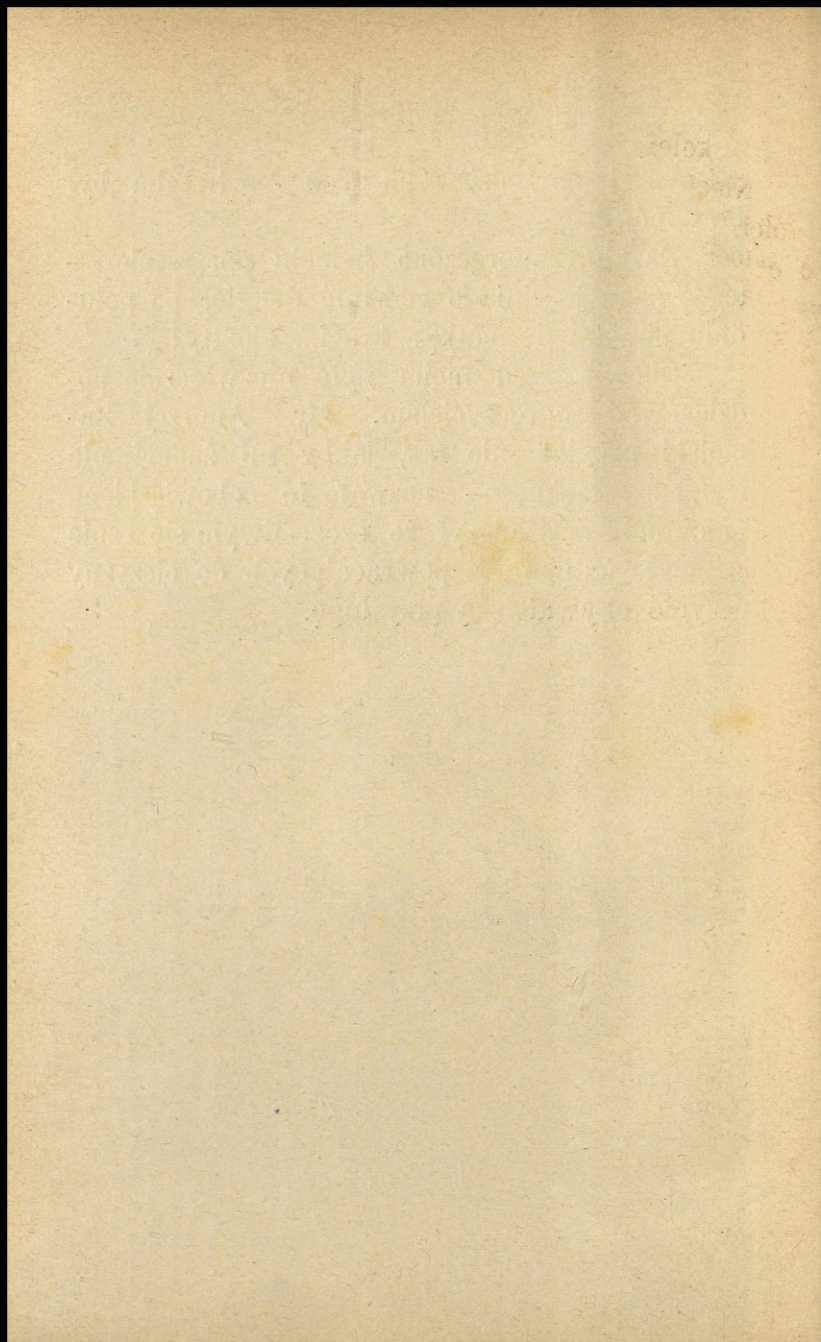
— Postaram się o żądanych poręczycieli i mam nadzieję że ich znajdę — zapewnił mię brat.

Jakoż istotnie znalazł obywateli, którzy podpisali poręczenie za mnie, mianowicie: Andrzej hr. Zamojski i Rucki, właściciel fabryki

maszyn i narzędzi rolniczych — trzecim był brat mój.

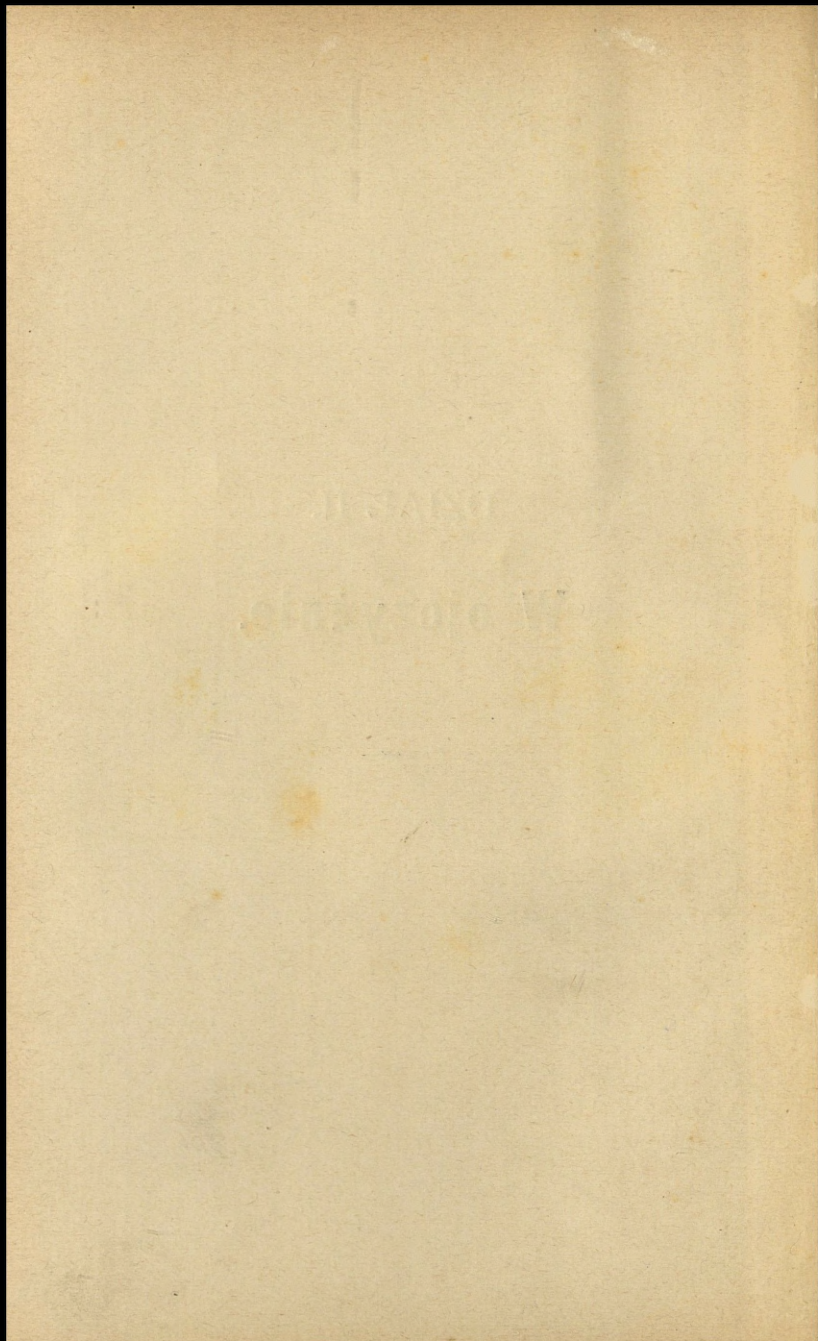
Nazajutrz doręczono księciu poręczenie — tegoż samego dnia o godzinie drugiej po południu powitałem matkę... braci... siostry!

Obowiązkiem moim było niezwłocznie podziękować poręczycielom. Hr. Andrzej Zamojski przyjął mię tak, jakby mi żadnej nie wyrządził łaski — nazwał to obowiązkiem. Pan Rucki oświadczył że szczęśliwym się czuje iż mógł jednemu z powracających do ojczyzny uczynić obywatelską przysługę.



DZIAŁ II.
W ojczyźnie.





Despotyzm cara Mikołaja, od chwili wstąpienia na tron tego monarchy żelaznem jarzmem ciśnący Polskę, podwoił się jeszcze po upadku listopadowego powstania. Był on niebezpieczny tem bardziej, że połączony z demoralizacją, którą starano się wszelkimi sposoby zaszcześcić w umyśle młodzieży polskiej. Gry hazardowe, hulaszczność, pochłaniała uczucia moralności, religji, obowiązku względem społeczeństwa, samych siebie i ojczyzny.

Były wyjątki — te zawdzięczać należy troskliwości zacnych Polek. Ich bogobojność, cnoty domowe, uchroniły synów od trądu ogólnego.

Gdym opuszczał Polskę — taką ją zostawiłem.

Nie poznałem powróciwszy. Młodzież spoważniała, zaprzątnięta pracą. Na każdym czole widziałeś ślad głębszej myśli, pracy...

Czemu to przypisać?

Matkom Polkom, kobiecie i dziewicy polskiej, tym nieskalanym czystym aniołom, co losy ojczyzny pod swoim opiekuńczym przechowały skrzydłem.

*

Śmierć cara Mikołaja w roku 1855 i niepomyślnie zakończona przez nowego cara wojna krymska, ważne pociągnęły za sobą dla Rosji skutki. Ciemny lud moskiewski, który potęgę białego cara za niezwyciężoną uważał, zachwiał się w tej wierze.

Więcej wykształconym warstwom społeczeństwa rosyjskiego bardziej się jeszcze oczy otworzyły. Powracający z niewoli oficerowie i co lepsi żołnierze jak o siedmiu cudach świata opowiadali o wolności Francuzów, szerząc tym sposobem liberalniejsze pojęcia w wojsku i narodzie.

Car aby zażegnać mogące wyniknąć stąd następstwa, rozpoczął reformy: W wojsku zniósł

karę cielesną, żółd podwyższył. Młodzieży akademickiej dozwolił wolności stowarzyszania się. Cenzura zaniechała zwykłej surowości.

Otoczenie cara siało na wszystkie strony wieści o usposobieniu jego liberalnem, o najlepszych zamiarach i chęciach jego.

Więść taka krążyła i w Polsce, a że z tak dalekich jak Petersburg stron dochodziła, przeto nie można się dziwić że co tam wróblem wyliciało, przybywało już do Warszawy wroną.

Do tak dobrze dla siebie usposobionej Polski przybył w roku 1856 do Warszawy cesarz Aleksander II.

Szlachta wraz z obywatelstwem miejskiem wierząc w jego dobre chęci, ucieszyła się jego przybyciem, albowiem wysnowano stąd nadzieję lepszej doli kraju.

Deputacja, z szlachty i mieszczan złożona, udała się z prośbą do cara o nadanie Królestwu polskiemu praw autonomicznych, na podstawie warunków traktatu Wiedeńskiego.

Oburzyło to despotę — odrzucił prośbę i odprawił deputację słowami, głęboko wrytymi w pamięci każdego Polaka:

— Co ojciec mój robił było dobre; ja tak dalej robić będę, a surowo ukarać potrafię wszelkie zachcianki. Precz z marzeniami!...

Pomimo tego car Aleksander II uległszy rozmaitym wpływom, poczynił niektóre ulgi. Najważniejszą z nich było dozwoleństwo używania języka polskiego w szkołach i urzędach. Zatwierdził także statut Towarzystwa rolniczego, którego zatwierdzenie car Mikołaj zwlekał pod różnemi, coraz to nowemi pozorami.

Na prezesa nowo utworzonej instytucji wybrano hr. Andrzeja Zamojskiego; komisarzem rządowym został mianowany Muchanow, dyrektor ówczesnej komisji spraw wewnętrznych—człowiek w najwyższym stopniu nieprzychylny Polakom.

Skutkiem tego za najmniejszy objaw myśli narodowej mogło Towarzystwu rolniczemu grozić, jeżeli nie rozwiązanie, to zawieszenie czynności na czas nieograniczony, równające się rozwiązaniu.

To też czynności Towarzystwa rolniczego nie miały żadnej cechy politycznej. Zajmowało się ono wyłącznie potrzebami ekonomicznemi kraju; mimo tego rząd był względem Towarzystwa podejrzliwym, bo i w tych sprawach nie chciał aby iniejatywa wychodziła od Polaków.

Jak uczuwano powszechnie w kraju użyteczność i znaczenie Towarzystwa, przekonać się można z tego że z małym wyjątkiem wszyscy oby-

watele przystępowali do tej instytucji a każdy nieprzystępujący był źle uważany. Nie być przyjętym do Towarzystwa było hańbą. Spotkało to hr. Aleksandra Wielopolskiego, margrabiego Gonzagę Myszkowskiego, czego powodem były procesa liczne, nie najlepiej świadczące o obywatelskiem poczuciu margrabiego, jak niemniej polityczne jego czynności.

Między licznymi procesami margrabiego sławny był proces jego o dobra z Szaniawskim, który wprawdzie ostatecznie przegrał, ale ciągniętych z dóbr korzyści przez czas długi wlokącego się procesu nie zwrócił.

Proces o bibliotekę Świdzińskich nie przyniósł mu zaszczytu. Wygrał go — a bibliotekę, która miała być oddaną na użytek publiczny, przyłączył do ordynacji Krasieńskich; zabrawszy z niej do majątku swego Hrobrzy cenniejsze rękopisy, czem ogołocił bibliotekę z najszacowniejszych rzeczy i nie dozwolił korzystać z nich publiczności.

Sprawy Wielopolskiego o bibliotekę bronił zdolny mecenas senatu Grabowski. Ze strony Świdzińskich stawał młody naówczas adwokat Thime; świetnie bronił on sprawy, mowa jego przed kratkami sądu wielkie zrobiła wra-

żenie, lecz nie osiągnęła skutku; bo widząc margrabia, po twarzach sędziów, na co się zanosz, powstał i sam przed sądem zabrał głos w swej obronie — Znajomość prawa, wymowa świetna margrabiego, zjednała mu przychylny wyrok sędziów. Ale pomimo że wygrał sprawę, uczyniło go to niepopularnym.

Przyłączyły się do tego także działania jego na zjazdach słowiańskich w 1847—48 roku, nacechowane pansławizmem i jawną dążnością do bezwarunkowej zgody z Moskalami. Te były przyczyny że nie przyjęto margrabiego Wielopolskiego do Towarzystwa rolniczego, skutkiem czego stał się zaciętym nieprzyjacielem tegoż Towarzystwa.

Towarzystwo rolnicze przy skrzętnej pracy swego prezesa Andrzeja Zamojskiego rozwijało się we wszystkich kierunkach potężnie i użytecznie, a przeszkody, stawiane przez Muchanowa, pobudzały do większej jeszcze gorliwości.

*

W skutek amnestji, danej przez cara Aleksandra II. przy wstąpieniu na tron, przybyli

do kraju ze stron różnych tułacze — z Sybiru wygnańcy.

Wszystkich z otwartemi rękami przyjęto pod strzechę ojczyzny.

Pierwsi przywieźli do kraju zasob postępowej cywilizacji zachodniej; w niej upatrywali dobro ojczyzny — w niej środek do jej zbawienia.

Drudzy przebywając wśród ludów na niższym stopniu cywilizacji pozostających, sami sobie wystarczać byli zmuszeni. Wykształceńsi oświecali braci młodszych, młodzi starszych szanowali i to wyrobiło spójnię między nimi. Przykład łączności wniesli do kraju — w tej też łączności, a zarazem w pracy widzieli środek odrodzenia ojczyzny.

Co do mnie, uzyskałem z Petersburga przebaczenie carskie i pozwolenie pozostania w kraju, ale mnie również jak innych pozbawiono prawa wstąpienia do służby rządowej i przez lat trzy miałem zostawać pod ścisłym dozorem policji.

Nie tak głęboko nie tkwi w pamięci, nie tak nie wiąże z krajem rodzinnym, jak wspomnienia młodości. To też koledzy szkolni witali mnie z całym serca wylaniem; a ponieważ w czasie mej niebytności zajęli stanowiska wyższe, wpływowe — ofiarowali mi posady, bądź

to przy drogach żelaznych, gdzie mogłem pracować jako przy instytucji prywatnej, bądź też chcieli mi ułatwić wzięcie korzystnych przedsięwzięć. Nie korzystałem z ich dobrych chęci dla siebie, lecz wielu kolegów z tułactwa, dzięki tym stosunkom, umieścić mi się powiodło na odpowiednich posiadach.

Sam wziąłem w dzierżawę od matki mojej domy i składy drzewa na Solcu.

Stan zdrowia mego polepszył się — grubą łaskę zamieniłem na cienką trzcinę.

Przy rozwiniętem życiu towarzyskiem w Warszawie była wielka łatwość zawiązania licznych stosunków. Bywałem w wielu domach i niemal w każdym z nich znajdowałem współtowarzyszów tułactwa, między nimi Romana Zmorskiego i Józefa którego jak opowiedziałem w pierwszym tomie pamiętników wypadkowi jedynie zawdzięczał że się z klasztoru Mołahów na świat wydostał i wolność odzyskał.

Pewnego razu byłem proszony do państwa S. . . . na wieczór. Zaledwie wszedłem do salonu, aliści wprzód nim się dobrze po nim rozpatrzyłem, zbliża się ktoś do mnie i witając ścisła konwulsyjnie za rękę. Był to Józef. Zaledwo się przywitał, prosi mnie żebym z nim wyszedł do drugiego pokoju.

Gdyśmy się sami znaleźli, zaklinał mię żebym o pomienionym jego wypadku w Turcji nikomu nie wspominał, żądając odemnie słowa że dotrzymam tajemnicy.

— Dobrze daję ci słowo — odrzekłem — ale chciałbym przecież wiedzieć dla czego tego wymagasz?

— Staram się o córkę państwa S. . . . Gdyby się o tem dowiedzieli, mogło by to stać się powodem odmowy z ich strony.

Wkrótce po tem spotkaniu z Józefem ochoczo bawiłem się na jego weselu, gdyż z panną S. . . . zawarł śluby małżeńskie.

Zmorski miał zawsze pociąg do Wschodu. Ile razy spotkał się ze mną rozpoczynał rozmowę najczęściej w języku serbskim. Zwracałem w takich razach jego uwagę na to, że towarzystwa w ten sposób nie zabawi, a co gorsza, że nierozumiejący mogą sądzić iż co złego o nich mówimy. Nie skutkowało to i zawyczaj kończyło się tem żeśmy o Wschodzie rozmawiali po polsku. Ztąd poszło że nazywano mnie Turkiem i przydomek ten na długo mi pozostał.

Matka moja i siostra zamężna życzyły sobie żebym się ożenił.

Na czynione mi w tym względzie propozycje z ich strony, odpowiadałem żartem że

tem bardziej wypada mi się żenić, bo nie tylko jedną, ale jako Turkowi więcej żon koran zaleca.

Siostra moja miała koleżankę z pensji, którą serdecznie kochała. Była to przystojna, młoda i dobrze wychowana panienka — przytem posag dość okragły.... Czegoż więcej po żonie wymagać?

Zapytała mię siostra jak mi się ona podoba?

— A odpowiedz mi z łaski swojej — odrzekłem na to zapytanie — czy jest taka kobieta na świecie która by się mogła nie podobać?

— No, kiedy masz takie o kobietach zdanie, tem lepiej. Ożeń się z nią — wierzaj mi że lepszej nie znajdziesz.

— I owszem, ja nie od tego; aby tylko ona mnie zechciała — odpowiedziałem.

— Wiesz co mój kochany, ja doprawdy nigdy nie wiem kiedy ty mówisz serjo a kiedy żartami.

— Stosuję się, moja droga, do przedmiotu, o którym mówię, a przecież małżeństwo szczególnie w Europie, jak sama przyznasz, nie może być przedmiotem żartobliwej rozmowy.

Widziałem że siostrze mojej przykre były te żarty, dotyczące jej przyjaciółki. Kochałem siostrę i dzięki tej miłości doszło do tego że

już dzień, w którym miałem się oświadczyć, był naznaczony.

Nie darmo jednak przewali mię Turkiem, gdyż przynajmniej co się tyczy małżeństwa jestem nim o tyle, że jak Turcy wierzą w przeznaczenie.

Widocznie w księdze przeznaczeń inaczej było napisano. Nie ożeniłem się z przyjaciółką mej siostry.

Na jednym wieczorze poznałem moją dzisiejszą żonę. Była w towarzystwie siostry zamężnej i ojca, Napoleona Horbowskiego, sędziego powiatu Rawskiego.

Podobała mi się od pierwszego wejrzenia. Już bez namowy wszelkiej, sam sobie zaraz powiedziałem że ta będzie moją żoną.

Pan sędzia służył w ułanach podczas powstania listopadowego. Ukończony prawnik, słuchacz kilku uniwersytetów, zwrócił na siebie uwagę generała Chłopickiego, który go zaraz w pierwszych dniach powstania powołał na swego sekretarza.

Gdy mu zostałem przedstawiony, pan sędzia, człowiek obyty w świecie, wyraził mi swe ukontentowanie z poznania mnie osobiście, gdyż słyszał już dawniej o mnie, przyczem nadmieniał że on był też żołnierzem, krótko wprawdzie,

lecz wspomnienia chwil tych, acz krótkich, wystarczą mu na całe życie.

Doleck, majątność pana sędziego, oddalony był o małą milę od stacji kolejowej w Radziwiłłowie, stąd łatwość bywania w jego domu, do którego uprzejmie zaproszono.

Bywałem również w domu państwa Pietraszkiewiczów. On był inżynierem, prowadzącym fabrykę wyrobów żelaznych hr. Andrzeja Zamojskiego, ożeniony ledwie przed rokiem z siostrą przyszłej mej żony.

W kilka miesięcy po pierwszym widzeniu postanowiłem się oświadczyć. Panna była w Warszawie u siostry, a sędzia siedział na wsi.

Pojechałem więc do Dolecka. Pan sędzia rad był żem przyjechał. Po krótkiej wstępnej rozmowie, gdym mu cel mego przybycia wyjaśnił, rzekł:

— Co się mnie tyczy, to ci powiem żeś mi się podobał, a nawet za szczęśliwego będę się uważał jeżeli córka moja dostanie sobie męża ułana, jak ty dobrego polaka i uczciwego człowieka.

To mówiąc uściskał mię serdecznie a następnie dodał:

— A teraz staraj się pan abys podobną odpowiedź od córki mej otrzymał.

Z panną jak z ojcem poszło jakoś gładko. Wtedy oznajmiłem mej matce że czyniąc zadość jej woli, postanowiłem się ożenić i w tym celu oświadczyłem się o rękę córki pana sędziego.

Wielkie było zdziwienie matki, a wymówkom siostry za zrobiony zawód jej przyjaciółce nie było końca. Niebawem jednak gniewy ustały i żale się ukoili, a ja 20 listopada 1860 roku, stanąłem przed ołtarzem i zaprzysiągłem mej żonie wiare dożgonną.

Faint, illegible text, possibly bleed-through from the reverse side of the page. The text is arranged in several lines and is too light to transcribe accurately.

DZIAŁ III.

Demonstracje.



11 JAN 11

System wychowania za czasów dwudziesto pięcioletniego panowania Cara Mikołaja był tak spażony, że młodzież niczego się gruntownie nauczyć nie mogła, a w pojęciach o dziejach ojczy-
stych tylko zamęt powstał.

Gdy po wstąpieniu na tron Cara Aleksandra złudne wiadomości o jego liberalizmie krążyć zaczęły, młodzież gorąco wzięła się do nauki. W tym celu schodzono się tajemnie w mieszkaniach i wspólnem czytaniem książek wyrabiano w sobie ducha miłości i poświęcenia dla kraju.

Z końcem roku 1857 gromadziła się młodzież około Edwarda Jurgensa, który był dla niej przykładem i przewodnikiem.

Jurgens, człowiek młody, wysoko wykształcony, ukończył chlubnie uniwersytet Dorpacki

i był urzędnikiem w komisji spraw wewnętrznych w Warszawie.

W czerwcu 1860 roku z kółka właśnie młodzieży, której on przewodniczył, wyszła myśl uczczenia pamięci zmarłej generałowej Sowińskiej podczas jej pogrzebu. Pierwszy to był po tylu latach objaw uczuć patryotycznych, skrępyłych pod zimnym, sztywnym i surowym systemem cara Mikołaja.

Tej demonstracji rząd milcząco się przypatrywał.

Druga demonstracja odbyła się 29 listopada tegoż roku, jako w dniu rocznicy listopadowego powstania. Obchodzono ją zebraniem się u XX. Karmelitów i na niej odspiewano pierwszy raz pieśń „Boże coś polskę...”

Podczas tej demonstracji pokazały się na ulicach stroje przez pół polskie i przy nich malutkie srebrne orzełki. Te oznaki obudziły czujność Moskali; zamysłili przeto wskrzesić system Paszkiewicza — zaprowadzić bióro tajne szpiegów.

Odtąd między młodzieżą można było napotkać nieznanne osoby, wciskające się do jej grona, mieniające się najczęściej wychodźcami, których wszakże nikt z wychodźstwa nie znał.

Trzeci obchód postanowiła młodzież, mówię młodzież, bo choć starsi do tych demonstracji należeli, pozostawiali jednak inicjatywę w rękach młodzieży, odbyć dnia 25 lutego 1861 jako w rocznicę bitwy pod Grochowem.

Tłumy wyszły z chorągwiami, na których umieszczone były orły polskie, z kościoła XX. Paulinów (róg ulicy Długiej) i Starem miastem koło Zamku kierowały się do pałacu Zajęczka, w którym podówczas obradowało zebrane Towarzystwo rolnicze.

Młodzież rozmyślnie obrała tę drogę; czuła bowiem potrzebę doświadczeńskiej ręki, by nawet wezbranych uczuć na odpowiednie skierować tory.

Wiedziała ona że w Towarzystwie rolniczym, złożonem przeważnie ze szlachty, zasiadają ludzie powagi społecznej; udano się więc do nich i zażądano aby sformułowali i przesłali adres do Cara, przedstawiający potrzebę zaprowadzenia urzędzeń autonomicznych w Polsce.

Za nadto gwałtownem było to żądanie dla Towarzystwa rolniczego, gdyż go popychało na pole działań, zupełnie mu dotąd obcych. Nie wiem co się tam w sercach działo, ale wiem że zmieszani i zaleknięci w pierwszej chwili członkowie Towarzystwa rolniczego nawet zdobyć się nie mogli na stanowczą odpowiedź; ale i to

wiem że wtenczas Towarzystwo rolnicze straciło jedyną sposobność ujęcia steru w swe ręce.

Demonstracja 25 Lutego zakończyła się smutną katastrofą. Zawiadomiona o niej przez swych szpiegów Moskwa przygotowała się do stawienia czoła tłumom bezbronnym.

Jak tylko zgromadzono się w kościele Paulinów, wojsko zajęło rynek Starego miasta i rozciągnęło się w ulicy śto Jańskiej, aż do Zamku.

Gdy procesja pokazała się na wąskiej ulicy Freta, naraz z rynku Starego miasta żandarmi i kozacy uderzyli na nią, tratując końmi i rąbiąc pałaszami do koła.

Spostrzegłem że rozstawiają wojsko, a ponieważ byłem w kościele z żoną moją i jej siostrą, wyprowadziłem je więc stamtąd i jak można najprędzej wsadziłem do powozu. W tej samej właśnie chwili gdym woźnicy zalecał żeby jechał co koń wyskoczy do domu, wszczął się tumult. Powóz odjechał, a ja zostałem koło kamienicy Rezlera na Krakowskiem Przedmieściu. Tam spotkałem kolegę mego z kampanji węgierskiej, Józefa Łusakowskiego. Zaledwie kilka słów zamieniliśmy z sobą, aliści w szalonym galopie, z wydobytą szaszką, pędzi na nas kozak. Usunęliśmy się na bok, wstępując na schody kamienne przed domem Rezlera. Kozak skrę-

cił za nami. Łusakowski stojąc na trzecim schodzie, uchwycił za lejce w biegu pędzącego konia, i tak niemi silnie na bok pociągnął, że koń zrobiwszy nienaturalny zwrot, upadł wraz z kozakiem na chodnik; koń powstał, ale kozak spadając tak silnie głową o schody kamienne uderzył, że na miejscu ducha wyzionął.

Idąc do domu w drodze spotkaliśmy generała moskiewskiego Bebutowa. Znał mnie — drżący i blady przemówił do nas:

— Panowie ja także jestem niewolnikiem carskim, jam z rodu Czerkies.

— Niech się generał nie obawia, Polacy nie mu nie zrobią.

W jego towarzystwie dostaliśmy się do drożki. On nas bez wątpienia ocalił, jeżeli nie od jakiego kalectwa, to co najmniej od aresztu.

Tymczasem piechota bagnetami mordowała bezbronny lud. Żołdactwo zabierało rannych i zabitych i wciągało na dziedziniec zamkowy; policja ubiegała się z niem o lepsze, chwytala przechodniów i odprowadzała pod strażą do Zamku.

Liczba zabitych i rannych wynosiła przeszło dwieście osób; nikt jednak liczby dokładnej podać nie był w stanie, bo niebezpiecznie było dowiadywać się o to, a rodziny o stratach poniesionych milczeć musiały.

Do cytadeli i do więzień policyjnych odprawiono ujętych na ulicy.

Namiestnik ks. Gorczakow złożył raport telegraficzny carowi do Petersburga o całym zajściu.

Otrzymał odpowiedź ażeby w razie powtórzenia się czegoś podobnego, użył broni palnej do rozpedzenia zgromadzonych.

Postępowanie takie Moskali nie uspokoiło umysłów — wywołało oburzenie i chęć odwetu. W tym celu postanowiła młodzież ponowić demonstrację, co też uczyniła na trzeci dzień, to jest 27. lutego.

W dniu tym zgromadziło się kilka tysięcy osób. W pochodzie uroczystym, z krzyżem i duchowieństwem na czele, wyszli oni z kościoła Karmelitów na Lesznie i postępowali z wolna w stronę gmachu Towarzystwa rolniczego.

Uwiadomiony o tem ks. Gorczakow kazał wojsku wystąpić przed Zamek, ażeby zastosować się do rozkazu, danego mu z Petersburga. Wojsku rozdano ostre ładunki.

Gdy procesja, zbita w masę, zbliżała się do wojska, a wezwana do rozejścia przez władzę policyjną, nie usłuchała wezwania, lecz w nieprzerwanym pochodzie znalazła się o strzał karabinowy od wojska, wojsko na rozkaz komenderującego nim oficera dało ognia...

Zawrzał tłum bezbronny—zagłuszyła wrzawę pieśń „Święty Boże...” Wojsko ponowiło strzały, nastąpiło zamieszanie między tłumem, a ujrzawszy trupów, krew płynącą, zaczęto pospiesznie w różne uchodzić strony.

Odważniejsi zatrzymali się i zabrali z placu pięciu poległych i wielu rannych.

Bez rozkazu, instykiem można powiedzieć, dorożkarze warszawscy z różnych stron przybywali; zabitych i rannych umieszczono w dorożkach i kazano ich wieść do Resursy kupieckiej, lub do pałacu hr. Zamojskiego.

Tam zdążyła znaczna liczba osób z myślą aby zasięgnąć rady co czynić wypada by wzburzone umysły uspokoić i tamę położyć dalszemu rozlewowi krwi?

Hr. Andrzej Zamojski, gdy od przybyłych dowiedział się o zaszłym wypadku, wzruszony do głębi duszy, acz obdarzony z natury zimną krwią i umiejący panować nad sobą — zawołał:

— Barbarzyńcy!...

Po długiej naradzie udał się do Zamku. późnym wieczorem.

Przyjęty przez ks. Gorczakowa, przedstawił mu wzburzony stan umysłów całej ludności warszawskiej i okropność mordów, dokonanych na bezbronnych ludzie przez wojsko.

— Mości książe — rzekł — Warszawa udaje się do łaski cesarza, w którego dobroć i sprawiedliwość wierzy, przeciw któremu nie występuje i posłuszeństwa nie wypowiada, lecz domaga się jedynie praw jej przynależnych.

Ks. Gorczakow zapewniał hrabiego o swych najlepszych chęciach, jednakże 'stanowczo żądaniu jego odmówił, zasłaniając się instrukcją daną mu z Petersburga.

Gdy hr. Zamojski opuszczał Zamek, nie mogąc nie wskórać u księcia Gorczakowa, w bramie pałacu spotkał przybyłą deputację Resursy kupieckiej, na której czele znajdował się Ksawery Szlenkier, kupiec warszawski.

Ks. Gorczakow mimo spóźnionej pory przyjął deputację.

Szlenkier przemówił do księcia w słowach mniej więcej tej treści:

— „Mości książe! Gwałt i mordy popełnione zostały przez wojsko na bezbronnych ludzkiej zawojowanym, niewypowiadającym posłuszeństwa panującemu, ani jego organom, a domagającemu się jedynie praw więcej ludzkich. Książę złych masz doradców; nie mówią oni ci prawdy — Ani kule, ani bagnety, wierz mi książe, nie uspokoją ludu wzburzonego.

W końcu dodał:

— „Wojsko zabija, kaleczy w bezbronnym tłumie kobiety i dzieci. Czyni tem ujmę honorowi narodu, do którego książe należysz“...

Po nim zabierali głos bankier Kronenberg, szewc Hiszpański, a mowy ich dorównywały śmiałością pierwszej.

Odpowiedział im mocno zmieszany ks. Gorczakow:

— „Moi panowie! Cóż mogę uczynić? To, co się stało, stać się musiało, bo taki otrzymałem rozkaz z Petersburga.

Po ponownych naleganiach delegacji książe zaczął z wolna ustępować — wreszcie zgodził się cofnąć wojsko i policję z ulic miasta a prośbę do cesarza, żądającą zmiany ustaw administracyjnych, z przychylną swą opinią przesłać do Petersburga.

W zamian żądał od deputacji zapewnienia że spokój i porządek w mieście nie będzie zakłócony.

W tym celu dozwolił z obywateli miejskich utworzyć straż bezpieczeństwa i tę oddał pod zarząd Delegacji.

Tej samej nocy Delegacja zawiązała się w komitet, w którego skład weszli: Jako prezes policmajster generał Paulucci, dalej Lewicki, były

jen. w. pol., ks. kanonik Wyszyński, nadrabini Majsele, bankier Kronenberg, Ksawery Szlenkier, Józef Kwiatkowski, Józef Hiszpański szewc, Henryk Kraiński prawnik, Ruprecht i inni.

Powróciwszy z Zamku hr. Zamojski zakomunikował czekającym nań odpowiedź księcia Gorczakowa.

Straciwszy nadzieję jakiegokolwiek bądź ulgi na razie, postanowiono zrobić piśmienne przedstawienie do cara, zawiadamiające go o zaszłych wypadkach, a zarazem wypowiadające potrzeby kraju.

Gdy rzecz tę właśnie rozbierano, przybył do hr. Zamojskiego Szlenkier z Kronenbergiem i zawiadomili obecnych o ustępstwach ks. Gorczakowa, o utworzonym Komitecie i o pierwszej jego czynności, którą dla uspokojenia umysłów przedsięwziął, szląc na wszystkie strony Warszawy, mimo spóźnionej pory, wieść o powyższych ustępstwach ks. Gorczakowa.

Przybyli dowiedziawszy się o powziętem u hr. Zamojskiego postanowieniu udania się z przedstawieniem rzeczy wprost do cara, zgodzili się z tą myślą.

Zredagowanie tego pisma w formie adresu powierzono obywatelowi z Płockiego, Edwardowi

Stawiskiemu, autorowi cennej książki „O stosunkach włościańskich w Polsce.“

Na trzeci dzień, gdy już adres był gotowy, zebrano się u hr. Andr. Zamojskiego licznie aby odczytać adres. Między innymi był tam także hr. Tomasz Potocki, człowiek głębokiej nauki i wielkiego patriotyzmu; przytem oficer z powstania listopadowego, wielce szanowany.

Gdy miano przystąpić do czytania projektu adresu, zredagowanego przez Stawiskiego, zabrał głos hr. Potocki i uwiadomił obecnych że przywiózł z sobą napisany już adres do cesarza, autorem którego jest margrabia Wielopolski. Zakończył tem że adres pomieniony zgadza się z jego przekonaniem i że go przyjąć poleca. Trzeba wiedzieć że Tomasz Potocki był przez żonę spokrewniony z Wielopolskim.

Na żądanie jego odczytano ów adres, lecz nie przyjęto go, jako niezgodny z uczuciami narodu. W adresie tym margrabia potępiał powstanie listopadowe i błagał o przebaczenie i puszczenie w niepamięć najnowszych zajść z dnia 25 i 27. W końcu żądał przywrócenia w drodze łaski krajowi urzędzeń autonomicznych, jakie tenże miał w r. 1825.

W adresie, napisanym przez Stawiskiego, przedstawione było pogwałcenie praw i uczuć

najdroższych narodowi, przez obecny system rządu, skąd powstała gorycz we wszystkich warstwach społeczeństwa — dalej żądał adres autonomji i praw przynależnych narodowi polskiemu.

Adres ten, po dwakroć odczytany, bez żadnej poprawki jednogłośnie przyjęto.

Podpisany przez kilkadziesiąt tysięcy osób, wręczony został ks. Gorczakowowi przez hr. Andrzeja Zamojskiego i przesłany do Petersburga.

Margrabia Wielopolski, dowiedziawszy się od hr. Potockiego o odrzuceniu jego adresu i w jakim duchu zredagowany adres posłać postanowiono, miał powiedzieć, o czem w przytomności kilku osób z ust Tomasza hr. Potockiego słyszałem: — Żle zrobili, bo ten adres może tylko rozgniewać cesarza — nie rozumieją że chwilową i tylko pozorną osiągnęli korzyść.

Rozgniewany opuścił Warszawę i udał się do dóbr swoich Hrobrzy.

*

Zaproszony byłem na ulicę 5to Krzyską do pana Jana W..... Przyszedłszy zastałem u niego dość licznie zebrane towarzystwo męskie. Byli tam: Ksawery Norwid, brat poety Cyprjana, Apollo Korzeniowski, Krajewski budowniczy,

S...ski L..., ks. Mikoszewski, Łusakowski i wielu innych.

Chwile to były, w których o niczem innem nie mówiono jak tylko o zaszłych wypadkach. Zajmowały one wyłącznie wszystkie umysły i dziwić się temu nie można. Przy powitaniu nie pytano jak się masz, lecz co tam nowego zaszło?

Zastałem rozmowę toczącą się o obu adresach. Potępiano adres margrabiego, unoszono się nad adresem Stawiskiego.

Łusakowski zwrócił uwagę że choćby adres ten osiągnął wszystko to, czego żądał, usposobienie narodu jest takie żeby nikogo to nie zadowolilo.

— Wiercie mi panowie — mówił — nieodpowiednia to dla nas chwila. Takie usposobienie potrzebuje siły. Widzieliście panowie ten lud w masie zebrany, jak kilka kompanji wojska, przeciw niemu postawionych, rozprószyło go i krew się polała — bez odwetu — bez korzyści...

Gospodarz domu z zapalem odpowiedział:

— Krew wylana zawsze owoc przyniesie; co zaś do siły, o niej myślimy... i tę wkrótce mieć będziemy.

Ks. Mikoszewski i Apollo Korzeniewski gorąco popierali gospodarza.

Późnym już wieczorem wyszliśmy od pana Jana. Szedłem w jedną stronę z księdzem Mikoszewskim, który był wikarjuszem w kościele Śgo Aleksandra.

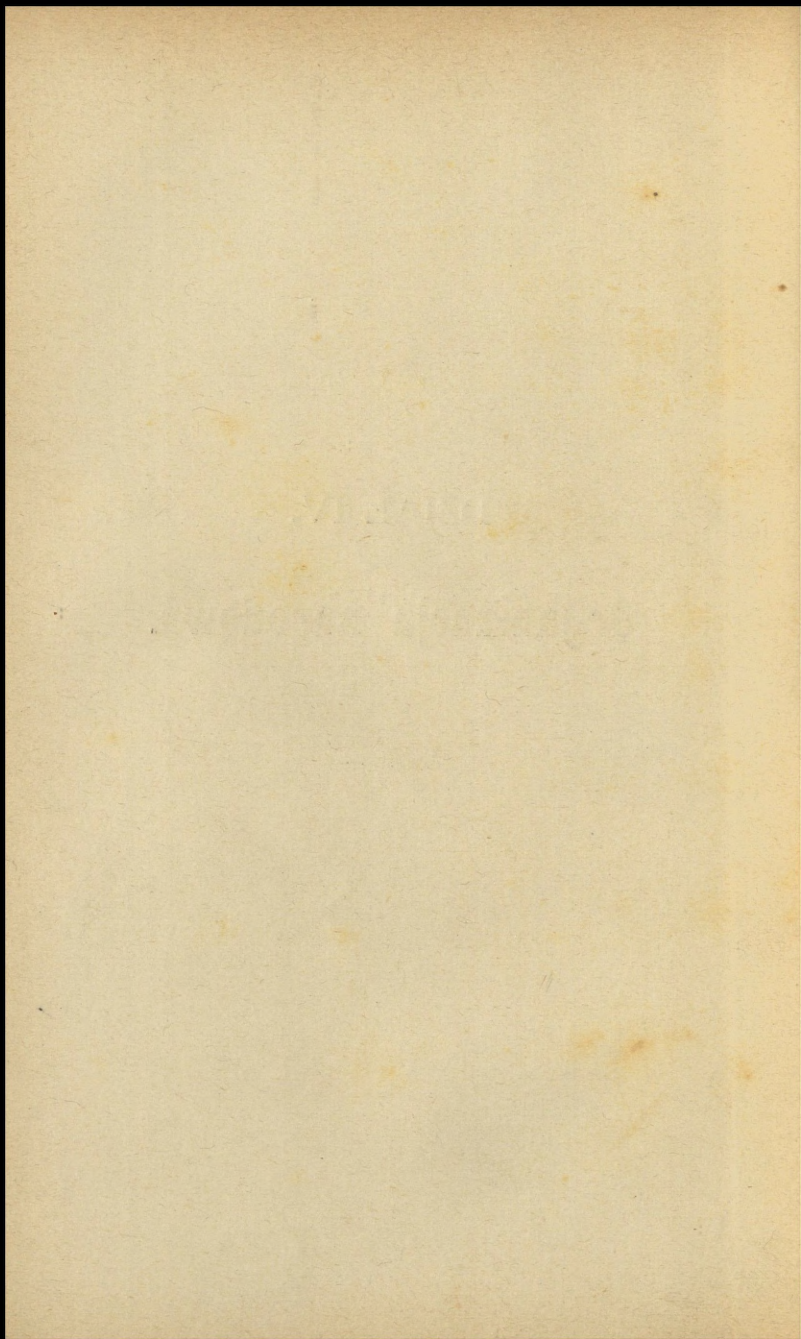
Ksiądz Mikoszewski wypytywał mnie się o Łusakowskiego, a dowiedziawszy się że on się utrzymuje z lekcji języka francuskiego, gdy później zaznajomił się z nim bliżej, ofiarował mu u siebie mieszkanie, w domu należącym do kościoła Śgo Aleksandra.

Koło bywających u p. Jana zwiększało się z dniem każdym. Z ulicy śto Krzyskiej z powodu szczupłości mieszkania przeniosło się na Krakowskie Przedmieście naprzeciw kościoła Śgo Krzyża. Bywali tam prawie wszyscy ci, co wyszli na widownię działań w późniejszych wypadkach.

DZIAŁ IV.

Organizacja narodowa.

—P—P—P—



W dniu 28. marca przywdziano żałobę po pięciu poległych. Pokazały się niskie okrągłe kapelusze kalabryjskie, podobne kształtem do tych jakie nosili ochotnicy Garibaldegó, krepą wąską czarną opasane; surduty lub czamarki czarne obszyte białą tasiemką. Kapelusze tak zwane cylindry zaczęto prześladować.

Kobiety przywdziały także strój żałobny; czarne suknie z białą taśmą u dołu.

Nastąpiło to tak szybko i naraz jakby za poruszeniem różeczki czarnoksięskiej. Taka była jednorodność, takie usposobienie powszechne.

Dnia drugiego marca odbył się pogrzeb pięciu poległych. Zebrał się nań kilkudziesięciotysięczny tłum ludu. Porządek utrzymywała straż bezpieczeństwa, utworzona przez komitet Dele-

gacji z uczniów Warszawskiej szkoły sztuk pięknych.

Nastrój był poważny — porządek wzorowy. Mimo tak licznego zebrania, żaden wypadek się nie wydarzył. Na tym pogrzebie Warszawa dowiodła że jest dojrzała — że nie potrzebuje carskiego knuta nad sobą...

Generał Paulucci niczemu się tak nie dziwił jak temu że gdy na pogrzeb tyle osób się zebrało, iż wszystkie domy prawie wyludnione zostały, nie popełniono w dniu tym ani jednej kradzieży i żadnej dopolicji nie wniesiono skargi.

Groby pięciu poległych stały się jakby miejscem pielgrzymki całej Warszawy, powszednią przechadzką Warszawian — a dowodem powszechnego żalu i wdzięczności za ofiarę życia były świeże codziennie kwiaty na ich mogiłach.

Dnia 5. marca zatwierdził rząd Delegację i oświadczył jej żeby pozostała aż do zupełnego uspokojenia umysłów.

Tego samego dnia wieczorem rozeszła się pogłoska że do Zamku przyszła depesza z Petersburga z wygovorem dla ks. Gorczakowa za jego postępowanie w Warszawie.

Dnia 6. marca aresztowała straż bezpieczeństwa niejakiego Władysława Krzyżanow-

skiego za prowokacje; oddano go policmajstrowi Pauluccemu. Szpieg ten moskiewski wkradł się w zaufanie patryotów i gorętszej młodzieży, i zaczął zawiązywać organizację rewolucyjną pod nazwą karbonarów. Przystępujących do niej nazwiska podawał do wiadomości władzom moskiewskim.

Po kilku dniach aresztu w ratuszu puszczono go na wolność; a w kilkanaście dni potem ujęła go znów władza bezpieczeństwa za namawianie rzemieślników do wybuchu, na który to cel obiecywał im dostarczyć potrzebnej broni. Delegacja wymogła że go oddano do sądu kryminalnego, lecz rozpoczęte przeciw niemu śledztwo wstrzymane zostało rozkazem ks. Górczakowa.

A gdy dnia 8. kwietnia więźniowie z cytadeli i aresztów uwolnieni zostali za staraniem Delegacji, niegodziwca tego do ich liczby zaliczono i wypuszczono na wolność.

Używała go później policja moskiewska do szpiegowania i wybadywania więźniów, zamykając go wraz z nimi w kaźniach cytadeli, a gdy i tam został odkryty, wysłano go do Kijewa.

Z postępowania Delegacji widać że nie dążyła ona do rewolucji.

A ciąg dalszy jej rządów, aż do chwili rozwiązania jej, co nastąpiło 28. lutego, odznaczał się tem, że żadnych widocznych objawów lub manifestacji przeciw rządowi moskiewskiemu nie było, prócz nabożeństw w dni pamiątkowe, przez różne korporacje zamawianych. Nie zakłócony porządek na nich panował, pod okiem straży bezpieczeństwa wytworzonej przez Delegację.

Nabożeństw tych było tak wiele, że nie kusię się nawet o ich wyliczenie; nadmienię tylko że pomiędzy innymi nawet praczki i druciarze osobne sprawiali nabożeństwa.

Choć znaczenie Delegacji na razie było wielkie, jednakże umysły głębiej patrzące nie przeceniały doniosłości tego znaczenia. Rozumiano to dobrze że ulgi są' chwilowe, że zwolnienie cisnących więzów jest tylko pozorne, a po za tem nic więcej — i pragnienia szły dalej.

Skutkiem czego wytworzyło się ciało, złożone po większej części z właścicieli ziemskich, pod nazwą „Dyrekcja Białych.“

Ustanowili z pomiędzy siebie wojewodów, mężów zaufania i członków korespondentów.

Prace tego Towarzystwa były powolne i oględne. Ostatecznym ich celem była niepodległość ojczyzny, ale mieli to przekonanie że do odzyskania bytu niezależnego Polski potrzeba

ofiary krwi i dla tego działali statecznie, żeby jej bez korzyści nie przelewać.

Młodzież niecierpliwa chciała tego samego, ale do czynu rwała się z zapałem jej właściwym.

Ona to, początkowo ulegając wewnętrznemu pragnieniu, bez myśli przewodniej, bez określonego programu, zebrała się w Koło. Z pośród siebie wybrali władzę i zamianowali ją komitetem. Każdy z grona tego obowiązany był dziesięciu mniej więcej dobrze mu znanych przybrać do Stowarzyszenia i skłonić do posłuszeństwa wytworzonemu komitetowi. Gdy to się stało mianowany zostawał dziesiętnikiem. W ten sposób rozszerzało się koło organizacji, każdy przybrany wciągał nowych dziesięciu — a gdy się wytworzyło dziesięć takich dziesiątek, pierwszy propagator zostawał setnikiem tej setki itd.

Liczba komitetów i kólek, od nich zależnych, wzrastała szybko. W tak wytworzonej organizacji, gdyby policja moskiewska na trop jej wpadła, dziesięciu tylko mogło być skompromitowanych za każdym razem. Rząd moskiewski nie podołał tej wielogłowej hydrze, a skutkiem prześladowań wiele ofiar niewinnie ucierpiało.

Od przybywającej z Polski młodzieży dowiedziano się na tułactwie jakie wypadki zaszły w kraju i co się w nim dzieje.

Jenerał Mierosławski, człowiek niezaprzeczenie wielkiego talentu, który w innym czasie wielce mógłby być być pożyteczny, nieszczęściami przygniecionej ojczyźnie naszej wcale się nie przysłużył.

Posiadał on taką wziętość między młodzieżą że kto tylko z młodszych przybył do Paryża uważał sobie za najpierwszy obowiązek być u jenerała i rady jego zasięgnąć co należy począć w obec zaszłych w kraju wypadków?

Schlebiało to Mierosławskiemu. Gromadził ich około siebie, podniecał zamiast powstrzymać ich zapał, a jedna z mów jego, miana do młodzieży w 1861 roku w Paryżu, wywołała odpowiedź Klaczki, będącego stronnikiem przeciwnego jenerałowi obozu.

Tą odpowiedzią zręczny i utalentowany pisarz starał się, jeżeli nie zniszczyć, to przynajmniej zmniejszyć wpływ Mierosławskiego na młodzież.

Celu tego nie dopiął.

Słynny na tułactwie z łatwości rymowania ks. Praniewicz napisał wiersze, które podówczas często powtarzano:

„A tam za grobem w czyściecu, duszyczki nieboraczki.
Będą czytać mowę Mierosławskiego i odpowiedź Klaczki“...

I to było całym polemiki tej owocem.

Młodzież powróciwszy do kraju, olśniona wymową Mierosławskiego, zawiązywała z jego ramienia „Komitety rewolucyjne“, który to wyraz był ulubionem jego hasłem. Na czele takiego komitetu w Warszawie stanął Ignacy Chmieński, na prowincji Bauerfeind, syn bogatego garbarza z Warszawy.

Komitetów tych tworzenie zaczęło niepokoić ludzi głębiej myślących. Ażeby się w tym przedmiocie naradzić, zebrało się dnia 6. czerwca 1861 r. liczne grono u p. J. W. po uprzednim już z sobą porozumieniu.

Na naradzie tej byli obecni: Ksawery Norwid, Tomasz Winnicki, Franciszek Godlewski, ks. Mikoszewski, J... L..., W... M....., K.... M...., Apollo Korzeniowski i wielu innych. Było tam wielu naczelników i setników dawniejszej organizacji—między nimi i ja także się znajdowałem.

Zebranie uchwaliło utworzyć komitet z pięciu osób złożony i oddać wszystkie komitety i koła pod jego zarząd, aby przez to nadać jednolity kierunek działaniom.

Głosowano tajnie kartkami. Każdy z obecnych miał napisać pięć nazwisk na kartce. Ksaweremu Norwidowi i Franciszkowi Godlewskiemu powierzono obliczenie głosów i ci mieli sekretnie wybranych zawiadomić.

Dalsze zmiany w komitecie miały już zależeć od tych pięciu, wybranych tajnem głosowaniem.

Nazwa Centralny wyrażała zadanie, komitetowi temu powierzone.

Zaraz po utworzeniu komitetu centralnego zaczęły się roboty, prowadzące ku zjednoczeniu pod jego kierunkiem wszystkich dawniej wytworzonych komitetów. Zdawało się z początku że praca to będzie łatwa, lecz komitety założone przez zwolenników Mierosławskiego, mianowicie przez Chmielińskiego, Karola Brzozowskiego i Bauerfeinda, okazały się nieprzejednanymi i nie tylko że się połączyć nie chciały i uznać władzy nowo utworzonego komitetu, ale niezgodę i rozdrażnienie się poczęły.

Z tego powodu komitet centralny znalazł się w trudnem położeniu i zwołał zaufanych na naradę, na której postanowiono wysłać dwóch członków komitetu do Paryża, dla porozumienia się z generałem Mierosławskim. Wybrani zostali J.... W.... i Franciszek Godlewski.

Aby zjednać generała Mierosławskiego, komitet centralny ofiarował mu przez rzeczonych wysłanników zarząd spraw polskich za granicą i misję zakupna broni. Na ten cel komitet zobowiązał się generałowi pieniądze dostarczać.

Proszono go zarazem aby do spraw wewnętrznych kraju się nie mieszał, już z tej przyczyny że tyle lat w nim nie był, że z tak odległego miejsca, w jakim się znajduje, przy codziennie zmieniających się okolicznościach niepodobna należycie i skutecznie sprawą kierować.

Zaklinali go aby wpłynął na młodzież żeby pod władzę komitetu centralnego się poddała i oporem jednolitości działania nie psuła.

Jenerał Mierosławski przystał na te żądania.

Aliści jak tylko odjechali posłannicy, nazajutrz zaraz wysłał sekretarza swego Kurzynę do Warszawy z poleceniem aby utwierdził powagę jego między młodzieżą i przeszkodził łączeniu się jej z komitem centralnym. Od tej chwili Chmieliński objął nad swym komitetem władzę dyktatorską.

Komitet centralny w coraz trudniejszym widzi się położeniu.

Wygnańcy z Sybiru, na których czele stanął Karol Ruprecht, znany w mieście członek byłej Delegacji, z trwogą spoglądali na roboty komitetów rewolucyjnych.

Poważny ten zastęp, zachowaniem się biernym na pozór w obec wrzących żywiołów, wzbudzał szacunek ludzi myślących. Do porozumiewania się z komitetem centralnym, w celu po-

wstrzymania spólnie niewczesnego wybuchu, wydelegowano Agatona Gillera.

Wówczas właśnie kiedy deputacja komitetu centralnego pojechała do generała Mierosławskiego, przyszli do mnie dobrze mi znani Józef L.... i S.... z propozycją abym z nimi poszedł do panien P..... których ojciec był pułkownikiem wojsk polskich.

— Te panie, odpowiedziałem, znane mi są tylko z widzenia. Z ojcem i bratem ich byłem razem na wychodztwie, ale jakież ma być powód tej wizyty?

— O tem dowiesz się na miejscu. Powiem ci tylko, odrzekł S.... że bytność tam twoja łączy się z sprawą publiczną.

Wsiadliśmy do dorożki. Przed domem na rogu ulicy s-to Krzyskiej, dotykającym placu Dzieciątka Jezus, na rozkaz Józefa zatrzymała się dorożka.

W pierwszym pokoju zastaliśmy jedną z córek pułkownika. Przywitawszy się z nami prosiła do dalszych pokoiów.

— Już dość dawno czekają tam na panów — dodała.

Przeszliśmy dwa na wpół oświetlone pokoje. W trzecim, wychodzącym na dziedziniec, zastaliśmy kilkunastu mężczyzn, wśród dymu cyga-

rowego gwarną toczących rozmowę. Spostrzegłszy nas umilkli na chwilę.

Po przywitaniu, rozpatrzywszy się, obaczyłem grono bliższych moich znajomych — same znane mi twarze.

Pierwszy przemówił B... L ... w tych mniej więcej do mnie słowach:

— Za porozumieniem się z komitetem centralnym zawiązaliśmy się w komisję wojskową. Zaprosiliśmy ciebie tutaj abyś swe doświadczenie i pracę dołączył do naszej, pewni że tego nie odmówisz.

— Przyjmuję wasze wezwanie, a pracę uważam za obowiązek — odrzekłem.

Uczęszczałem do tego towarzystwa regularnie przez parę tygodni — prace jego postępowały.

Przy ukonstytuowaniu się komisji wybrano mnie jej prezesem.

Niespełna w tydzień od czasu urzędowania mego w komisji przyszedłszy na zebranie zastałem, prócz znanych mi twarzy, człowieka młodego, niskiego wzrostu, blondyna, w którego małych siwych oczach przebijała się niezwykła energia a ruchy zdradzały człowieka czynu. Ubrany był w mundur oficera wojsk moskiewskich.

W czasach, o których mówię, nie było zwyczajem na podobnych zebraniach wyjawiać swego nazwiska.

Nowo przybyły wbrew temu zwyczajowi zbliżył się do mnie i głosem dobitnym rzekł:

— Jestem Jarosław Dąbrowski, przybywam z Moskwy i dziś jestem kapitanem placomendy warszawskiej.

To mówiąc podał mi rękę.

Nie wymieniając mego nazwiska, uściśnięciem dłoń podaną.

Dąbrowski zapytał:

— Pan jesteś prezesem komisji?

— Tak jest.

— Proszę mię objaśnić jak dalece w pracach postąpiliście?

— Dobrze; jednakże chcę wprzód wiedzieć czy tylko jako wstępujący do naszego grona chcesz pan poznać się z pracami naszymi czy też są inne względy że pan żądasz sprawozdania?

— Od dziecka jestem żołnierzem, odrzekł. Proszę mi wierzyć że nie próżna ciekawość mną powoduje.

Słyszając naszą rozmowę B... zbliżył się do mnie i rzekł do ucha:

— Zrób co chce.

Zacząłem sprawozdanie.

— Pierwszą pracą naszą rzekłem, było ułożenie programu, którego celem było:

1. Wykazać środki konieczne aby powstanie mogło być skuteczne.

2. Obrobienie planów wojskowo-administracyjnych, aby przyszłe powstanie, mając je przygotowane, napróżno sił i zasobów nie marnowało.

3. Samo powstanie — to jest oznaczenie chwili wybuchu — pozostawiamy krajowi.

W zakresie tego programu wyłuszczyłem mu o ile prace nasze postąpiły.

— Program i prace panów, nie przeczę, są w każdym razie dobre, odrzekł, ale zgodzicie się że wytknięte przez was działania jest za powolne.

Całem waszem dążeniem jest wyrobienie sił własnych Polski. Może to kiedyś dać jej byt niezależny, ale kiedyż to nastąpi, skoro wykonanie pozostawiacie jakiejś niewidomej, nieokreślonej sile, w nieoznaczonej chwili?

— Panowie, rzekł potem, świat postępuje. Moskale chcą być także wolnymi — Zrzucić chcą jarzmo nienawistnego im caratu — Z nimi wspólnie działać nam należy, a urzeczywistnienie naszych nadziei w nie tak odległej znajdziemy przyszłości.

W dni kilka Jarosław Dąbrowski był naczelnikiem miasta — prezesem komitetu centralnego.

W Rosji istniało podówczas trzy stronnictwa:

1. Niemieckie, czyli dworskie. Na czele jego był Adlerberg, adjutant cesarski.

2. Panslawistyczne; na czele którego był W. ks. Konstanty.

3. Postępowe, któremu przewodził Herzen, wydający liberalno - rewolucyjne czasopismo „Kakol”. Za wpływem jego utworzyło się stronnictwo, zwane „Młodą Moskwą” wzrastające szybko. Gwiazdą jego przewodnią był nihilizm — Do tego to stronnictwa należał i na niego liczył Jarosław Dąbrowski.

*

*

*

Cała Polska z upragnieniem oczekiwała odpowiedzi cara na podany doń adres.

Nim odpowiedź ta nadeszła, zawezwany został do Petersburga hrabia Karnicki, referendarz Rady Stanu.

Car polecił jemu i Tymowskiemu ułożenie projektu reformy administracji, tudzież ustawy zasadniczej dla Królestwa Polskiego.

Małe zmiany w przedłożonych projektach porobiono w Petersburgu. Trzeba przyznać że Karnicki wywiązał się z zadania jak na Polaka przystoi. Wyzyskał w tych ustawach wszystko co naonczas było można.

Gdy car podpisem swym zatwierdził owe reformy, potrzeba je było w życie wprowadzić.

Ustawa rozdzielała władzę cywilną od wojskowej. Żaden z obywateli, wyższe stanowisko zajmujących, nie chciał przyjąć na swą odpowiedzialność wprowadzenia tak mało stosunkowo znaczących reform; mając na względzie usposobienie kraju i jego nadzieje.

Ks. Gorczaków ujrzał się z tego powodu w prawdziwym kłopotcie.

Margrabia Wielopolski dowiedziawszy się o tym stanie rzeczy, przybył do Warszawy, był u Enocha, sekretarza Rady Stanu, który mu przedłożył rzezone ustawy. W rozmowie o nich tak wyższością umysłu zniewolił sobie Enocha, że tenże w uniesieniu miał się wyrazić:

— Gdyby to pan margrabia w życie ten statut tu wprowadził!

Tego samego dnia był Margrabia u policmajstra jenerała Pauluccego, który podobnie olśniony został rozumem jego.

Ci dwaj panowie wywierali wielki wpływ na ks. Gorczakowa — i oni to zrobili że ks. Gorczakow zaprosił do siebie margrabiego Wielopolskiego na konferencję, po której pojechał margrabia do Petersburga, a ztamtąd wrócił już do Warszawy jako cywilny naczelnik kraju.

W parę dni zaraz po objęciu urzędowania, dnia 6. kwietnia, rozwiązał Towarzystwo rolnicze; jedyną można powiedzieć niezależną instytucję w kraju.

Rozwiązanie Towarzystwa usprawiedliwiał twierdzeniem że dąży ono nie do czego innego, jak do rewolucji.

Ogół inaczej sądził, skoro Muchanow, mimo całej swej nienawiści do Polaków, uczynić tego nie śmiał, bo nie znalazł ku temu żadnego powodu.

Przypisywano to zemście osobistej margrabiego, za to że go niegdyś nie przyjęto do Towarzystwa.

Czyn to był w każdym razie niepolityczny, zwłaszcza na pierwszym kroku po objęciu władzy.

Hr. Andrzej Zamojski widział w tem rzuconą sobie rękawicę. Ulubieniec kraju uczuł boleśnie ten cios, to też dziwić się nie należy że gorycz na rządy i osobę Wielopolskiego od tej chwili się rozpoczyna.

Bez zwołania Rady administracyjnej—sam margrabia zredagował reskrypt, rozwiązujący Towarzystwo i przedłożył ks. Górczakowowi do zatwierdzenia a członkom Rady administracyjnej każdemu z osobna przesłał. Byli i tacy, którzy zgodzić się nań i głosu dać nie chcieli—tych osobiście wzywał do siebie i zmusił do podpisu.

Rozwiązanie Towarzystwa rolniczego i okoliczności mu towarzyszące wywołały manifestację. Dnia 7. kwietnia zebrało się pod gmachem Towarzystwa kilka tysięcy osób, dla wynurzenia mu żalu i uczczenia zasług, osobiście hr. Andrzeja Zamojskiego, jako tegoż prezesa.

Wtedy na ganku Towarzystwa zjawiała się kobieta bogato ubrana, która czarną krepą zakryła orła dwugłowego, a zawiesiła polskiego—białego, okolonego wieńcami. Obudziło to entuzjazm nie do opisania.

Głośne okrzyki grzmiały z tysiąca piersi.

Jenerał Paulucci w sposób grzeczny przemówił do zebranych żeby się rozeszli. Wezwanie jego było bezskuteczne.

Tłum udał się do pałacu hr. Zamojskiego i tam okrzykami na cześć jego wyraził mu swój hołd.

Hr. Zamojski wyszedł na ganek i dziękował za uznanie—wtedy w tłumie odezwały się głosy:

— Niech żyje Zamojski! Precz z Wielopolskim!

Wówczas hr. Andrzej cofnął się z balkonu. Okrzyki nie ustawały, ukazał się więc znów na ganku i prosił zgromadzonych żeby się rozeszli.

W tłumie zawołano:

— Chodźmy do Zamku — tam wojsko wystąpiło.

Hr. Zamojski ponownie prosił żeby do domów się rozeszli, lecz słowa jego zagłuszył gwar tłumu — wołano:

— To sprawa Wielopolskiego, chodźmy do Zamku!

Tłum kilkotysięczny udał się przed Zamek.

Dano znać ks. Gorczakowowi. Ten wysłał swego adjutanta by wezwał lud do rozejścia się.

Gdy wezwanie nie skutkowało, adjutant księcia Gorczakowa rzekł w końcu:

— Panowie! krew znowu lać się będzie.

Z tłumu odpowiedziano mu:

— Tego się nie boimy. Przyzwyczajiliście nas do tego widoku i nie odejdziemy dopóki sam książę do nas nie wyjdzie.

Wojsko, trzymając broń u nogi, stało przed Zamkiem.

Adjutant wrócił do Zamku. Po chwili wyszedł ks. Gorczakow i z całym spokojem zapytał stojące tłumy:

— Czego panowie chcecie odemnie?

— Żądamy aby wojsko odeszło do koszar. Rewolucji robić nie myślimy — Chcemy tylko przywrócenia Towarzystwa rolniczego.

— Przywrócić Towarzystwa ja nie mogę, odrzekł książę. Statut, nadany wam przez cesarza nie dozwala mi się do władzy cywilnej wtrącać. Co zaś do drugiego waszego życzenia, to ściągnę wojsko, lecz panowie wpierw wy się rozejdźcie!

Po tych słowach ks. Gorczakowa znalazło się wielu, którzy zaczęli namawiać tłum do rozejścia się, co widząc ks. Gorczaków, ze świtą wszedł pomiędzy zgromadzonych i prosił żeby się rozeszli — Gdy to nie pomagało, ks. Gorczaków rzekł:

— Przekonajcie się panowie, że robię co mogę.

I rozkazał wojsku ustąpić.

Wówczas publiczność spokojnie rozeszła się do domów.

Ks. Gorczaków o zajściu tem telegrafował do Petersburga.

Odpowiedź otrzymał „żeby w żadną parlamentarkę z ludem się nie wdawał, lecz w razie powtórzenia się manifestacji użył broni palnej i lud przemocą rozpędził.

Odpowiedź ta wywołała, rzecz naturalna, największe niezadowolenie — trzeba albowiem wiedzieć że wszystkie depeche w tych czasach, odnoszące się do ruchów, w pierw znane były w mieście, nim je w Zamku książę odebrał.

Margrabia Wielopolski, szczegółowo powiadomiony o zaszłych wypadkach — nie posiadał się z gniewu. W godzinę po rozejściu się tłumu był u ks. Górczakowa — Mówił księciu o trudności rządu z tak usposobionym narodem: — Wszystko to z gruntu trzeba przerobić, rzekł. Podjąłem się tego i dokonam.

Nazajutrz, to jest 8. kwietnia, odbył się pogrzeb Sybiraka Stobieckiego. Liczne grono odprowadzało zwłoki wygnańca na wieczny spoczynek.

Wracająca z pogrzebu publiczność zatrzymaną została przez osoby wołające:

— Moskale naszych mordują!

Prowokatorowie ci ubrani byli w czamarki z godłami patryotycznymi.

Publiczność, pociągnięta przez nich, udała się ku Zamkowi.

Wojsko miało już dane rozkazy i było stosownie rozstawione. Pułkownik P... miał z swym pułkiem stać przed Zamkiem. Gdy otrzymał ten rozkaz, wystrzałem z rewolweru życie sobie odebrał — Zostawił kartkę z napisem: „Wolę sobie życie odebrać jak bezbronych mordować!“

Oficerowie spotykających na ulicy znajomych ostrzegali:

— Nie idźcie pod Zamek, bo tam będą dziać się straszne rzeczy!

Różni różnie tłumaczą przyczynę mordów dnia tego, ja sądzę że były one skutkiem przytoczonej powyżej odpowiedzi z Petersburga.

Jenerał Chrulew dnia tego dowodził wojskiem.

Gdy wojsko uderzyło na lud bezbrony, zgromadzone tłumy padłszy na kolana spiewały: „Święty Boże, święty mocny!“

Mordy te trwały od godziny 5ej po południu do późna w nocy. Strzelano do każdego kto się pokazał na ulicy.

W dniu tym na rogu ulicy Miodowej obity został pułkownik angielski Mitchel, który miał od rządu angielskiego polecenie zdać raport o ruchach w Polsce.

Tegoż samego dnia był on z konsulem angielskim w Zamku i robiąc wyrzuty ks. Gor-

czakowowi za jego postępowanie, nazwał rządy carskie barbarzyńskimi!

Książę Gorczakow nie usprawiedliwiał rządów carskich, lecz wymawiał się rozkazem. Za wypadek, jaki mu się wydarzył, przeproszał; wracającym dodał kozaków do eskorty, aby z powrotem nie spotkało ich znów coś podobnego.

Tegoż dnia ksiądz, karmelita, z krzyżem w ręku szedł prosić ks. Gorczakowa aby wstrzymał rozlew krwi — Wojsko nie zważało na krzyż, lecz dało ognia—ksiądz padł ugodzony kulą; żyd obok idący porwał krzyż i szedł wznosząc go w górę. Gdy się zbliżył ku wojsku padł pchnięty bagnetem. Dzień to był wielkiej ofiary i wielkich mordów!

Pojawili się też pomiędzy ludem prowokatorowie. Wiele figur nieznanych wciskało się między tłum i broń różnego rodzaju rozdawało. Pocztyljon, wiozący pocztę, zatrąbił; „Jeszcze Polska nie zginęła“. Policja nie zatrzymała go a i później choć wiedziano, naturalnie, który to był, nie pociągnięto go do odpowiedzialności.

Późnym wieczorem pojechał do Zamku margrabia Wielopolski. Na koźle karety siedział doktor Hałubiński, członek byłej Delegacji, bardzo poważany w całej Warszawie. Publiczność zatrzymała karete, lecz dr. Hałubiński oznajmił

że wiezie do Zamku hr. Zamojskiego. Publiczność krzyknęła: „Niech żyje Zamojski!“ Powóz potoczył się szparko w stronę Zamku.

Margrabia Wielopolski oświadczył nazajutrz że w krwawem zajściu porządek został przywrócony.

Po dniu tym wojsko zaległo ulice Warszawy. Miasto przedstawiało rozłożony obóz na pobojowisku — Żołnierze chwyтали przechodniów i niby zdzierając z nich żałobę, obdzierali z przedmiotów wartościowych.

Gdy zmierzch zapadł nie wolno było bez latarki wychodzić na ulicę — Przy oświetleniu gazowem miasta, lub w noc jasną księżycową, dziwnie wyglądali ludzie z latarkami, niepotrzebnie je nosząc — Kto się przypadkiem spóźnił, patrole wojskowe zabierały go i odprowadzały do najbliższego komisariatu policji — Tam choć go dyżurny wypytał i przekonał się kto jest, musiał czekać noc całą dopóki nazajutrz komisarz nie przyszedł i indagacji nie przeprowadził.

Jątrzyło to umysły. Młodzież niecierpliwa wyrządzała rozmaite psoty osobom rządowym i tak: Zrobiła kocią muzykę, już naonczas rzezywistemu radcy stanu Enochowi; napadła na znienawidzonego w czasie rządów ks. Paszkiewicza policmajstra Abramowicza i potężnie obija.

Toż samo spotkało nadkomisarza Grassa, który był także ulubieńcem niegdyś Paszkiewicza.

Wyszedł rozkaz zabraniający noszenia żałoby, gromadzenia się po ulicach i śpiewania pieśni „Boże coś Polskę...” „Z dymem pożarów...” itp.

Mimo zakazu śpiewy w kościołach nie ustawały. Wojsko uderzyło na kościół Bernardynów i wyciągało zeń przemocą śpiewających—wychodzących z kościoła chwytano wraz z policją na ten cel przygotowaną.

Kościół św. Krzyża zamknięto i obsadzono wojskiem; wychodzących z kościoła chwymano i odprowadzano do cytadeli. Wielu uratowało się wychodząc przez zakrystję. Tylne drzwi dostawszy się do ogrodu, unikli więzienia.

Deputacji, chcących prosić aby ks. Gorczakow uwolnił więźniów, nie dopuszczono do niego.

Wtedy arcybiskup Fijałkowski uczynił przedstawienie do rządu, wzywając o zaprzestanie mordów i napaści na kościoły.

„Śpiewania pieśni nie zabrania kościół, niech ludowi będzie wolno przynajmniej modlić się spokojnie.“ Kończył tem swą odezwą arcybiskup.

Książe Gorczakow odpowiedział:

— Śpiewy podburzają umysły, a gdziekolwiek bądź zgromadzi się liczniejszym tłumem publiczność, nie bacząc na miejsce, siłą ją rozpędzę.

Arcybiskup odpowiedział:

— Modłów ja nie zabronię, bo to sprzeciwiało by się mej władzy, memu powołaniu, a gdyby powtórzyły się napady na kościoły, ja sam z krzyżem w ręku wyjdę na spotkanie wojska, w dzwony bić każę, kościoły zamknę, a cała za to odpowiedzialność niech spadnie na rząd.

Wywarło to dobry skutek. Dopóki żył arcybiskup Fijałkowski rząd nie śmiał napadów ponowić. Posyłał tylko szpiegów, którzy spisywali rozpoczynających spiewy zakazane w kościele i tych potem zabierano do więzienia. Mimo tego spiewy trwały nawet i później gdy ogłoszono stan oblężenia.

Organizacja rewolucyjna wzrastała. System organizacji dziesiętnej rozpostarł się i na prowincję — Komitet centralny ludzi więcej wpływowych gromadził około siebie, sądząc że tym sposobem powstrzyma grożące niebezpieczeństwo przedwczesnego wybuchu. Działania poniekąd nedorzeczne, byle już dokonane, pozornie brał na siebie.

Ludzi na czele organizacji na prowincji stojących zatwierdzał. Nieraz staczał walkę groźną odkrywszy tu i owdzie robotę gorączkową; zmieniał wtedy tak zwanych wojewódzkich,

w innych obaczywszy zdolności powoływał do rządu, jak to się stało z Władysławem Janowskim, podprokuratorem sądu w Kielcach, który był organizatorem cywilnym województwa krakowskiego.

Komitet białych utracił swą podstawę po rozwiązaniu Towarzystwa rolniczego, jednakże żywo obchodziła go sprawa publiczna. Konieczność łączenia się komitetu centralnego z partją ruchu wywołała niesnaski i niezgodę.

Margrabia Wielopolski stanął, można powiedzieć sam odosobniony, kilku zaledwie licząc popleczników. Mając władzę w ręku chciał wiele zrobić dla Polski i robił dużo. Język w szkołach i urzędach polski wprowadził, na każdym kroku prześladował Moskali i Niemców, usuwał ich z urzędów i zastępował Polakami. Zreformował szkoły średnie, zakładał szkółki po wsiach, wytworzył szkołę główną. Sam wynajdywał profesorów, sam skreślił program dla niej. Reformę sądownictwa zaprowadził.

Mimo tego wszystkiego margrabia zbłądził trzymając się sofizmu, często przezeń powtarzanego:

— Dla Polski można coś zrobić, ale nie przez Polaków.

Takim samym sofizmatem odpowiedziałbym :
— Nie dość jest dać Polakom, trzeba umieć im dać.

Zgrzeszył margrabia tem że oparł się na wojsku, a rozwiązując Towarzystwo rolnicze zerwał z szlachtą polską, z komitetem białych — z hr. Andrzejem Zamojskim. Ztąd gorycz, walka, i najsmutniejsze następstwa.

Po dniu 8 kwietnia nie długo był już ks. Gorczakow namiestnikiem carskim. Na własne żądanie uwolniony został. Nie długo też żył już potem—umarł w maju. Pogrzeb odbył się spokojnie. Wojsko i urzędnicy odprowadzili go do grobu.

Ks. Gorczakow w każdym razie był człowiekiem uczciwym—miał uczucia szlachetne. Wszystko co robił złego, robił z wyższego rozkazu.

Zastąpił go na posadzie namiestnika generał Suchozanet, człowiek spokojny, żołnierz z czasów Mikołajowskich. Na placu przed frontem za guzik źle zapięty gotów był najsurowiej ukarać żołnierza. Ale że ktoś modli się w kościele lub jakie hymny tam spiewa... było dla niego rzeczą obojętną. To też za czasu jego rządów ponowiły się manifestacje.

W rocznice śmierci Lelewela i Mickiewicza duchowieństwo w wielu kościołach msze

żałobne odprawiało, a zgromadzeni na nich spiewali hymny zakazane. W kościele katedralnym śgo Jana odprawiono nabożeństwo za spokój duszy ks. Adama Czartoryskiego, na którem celebrował arcybiskup Fijałkowski. A gdy po odbytem nabożeństwie arcybiskup wyszedł na ulicę, lud padł na kolana — on go błogosławił. Wyprzężono z jego karety konie i zaciągniono własnymi rękami, drogą po pod Zamek, arcybiskupa aż do pomieszkania.

Do demonstracji należy także pielgrzymka procesyjna z Warszawy do Częstochowy, odbyta w sierpniu.

Jenerał Suchozanet patrzył obojętnie na tę demonstrację. Nie wiele sobie robił z godności namiestnikowskiej. Mundur jeneralski krył pod zwykły płaszcz żołnierski; po ulicach przechadzał się swobodnie a za nim w oddali szedł jeden tylko kozak z nieodstępą nahajką. Rząd nie znalazł w starym jenerale odpowiedniego dla siebie narzędzia.

Wkrótce zluzował go jenerał Lambert — człowiek wykształcony, ludzki. Otrzymał on rozkaz z Petersburga aby ponowione pod jen. Suchozanetem demonstracje siłą powstrzymał.

Hr. Lambert powierzył wykonanie tego rozkazu jenerałowi Gerstenzweigowi, zobowiązując

go słowem honoru że nie popełni nic takiego co by plamiło honor oficera i będzie szanował kościoły.

Jenerał Gerstenzweig inaczej postąpił. Zamknął kościoły, opasał je wojskiem i tak trzymał tam głodnych dzień cały — bo widząc co każdego czeka, nikt nie śmiał wyjść, a wychodzących żołnierze kolbami bili i brali do aresztów.

Gdy Gerstenzweig przyszedł do Lamberta i zdając mu raport powiedział jak sobie postąpił, w uniesieniu jen. Lambert rzekł do niego:

— Podły jesteś.

To wywołało pomiędzy nimi pojedynek amerykański. Gerstenzweig wyciągnął los fatalny. Nazajutrz dwoma strzałami życie sobie odebrał. Rany były śmiertelne, męczył się dni kilka.

Pogrzeb odbył się cicho. Kompanja wojska, bez wyższych oficerów, odprowadziła zwłoki jenerała.

Wypadki zaszły w kościołach, bezwzględne postępowanie wojska na ulicach Warszawy, przejście z jenerałem Gerstenzweigiem, tak dalece wpłynęły na hr. Lamberta, że zapadł na melancholję — opuścił Warszawę, szukając zdrowia za granicą, gdzie w niespełna miesiąc życie zakończył.

Na namiestnika powrócił znów jen. Suchozanet, niezmienny w biernem swem usposobieniu.

Rozkazy, przysyłane z Petersburga, nie wiele zajmowały dawnego ministra wojny; słuchał ich drzemając, a gdy adjutant skończył czytanie, więcej obchodziła go postawa jego, czy trzymał się ściśle tak jak regulamin przy takiej czynności przepisowywał, niżeli treść samego rozkazu.

Przypatrzwszy się adjutantowi zwykł był mówić:

— Dobrze — jestem zadowolony z pana.

Wskazawszy potem ręką na papier dodawał:

— To głupstwo.

Stanowisko namiestnika zajmował do końca czerwca. Na jego miejsce przysłano z Petersburga generała Lidera. Typ Niemca, co w Moskwie zrobił karierę.

Szpiegów podwoił, z których wytworzyć się muszą prowokatorowie, inaczej bowiem nie mieliby pola do wyszczególnienia się. Aresztowania zatem podwoiły się. Zaczepiano ludzi po ulicach za takie drobnostki że ktoś miał laskę za grubą lub że kobieta miała za ciemną suknię, itp.

Wkrótce znienawidzono jen. Lidera do tego stopnia że zrobiono zamach na jego życie. Dnia 27 czerwca 1861 roku w ogrodzie Saskim do spacerującego strzelono z pistoletu. Kula w twarz trafiła. Sprawcy zamachu nie wysłędzono.

Po wypadku tym wieść się rozeszła że ma przybyć na namiestnika W. Książę Konstanty, brat cara, dobrze usposobiony dla Polaków, że wiezie z sobą nowe ustawy, któremi car chce uszczęśliwić Polskę.

Nie wielu było takich, którzy wierzyli tym pogłoskom.

A w kole gorącej młodzieży znalazł się ktoś co strzelił do W. księcia, gdy ten przybył do Warszawy. Na dworcu kolei żelaznej z pomiędzy tłumu ciekawych, oczekujących na jego przybycie, padł strzał. Kula trafiła W. księcia, lecz bezskutecznie. Ochroniła go koszula druciana, którą miał na sobie. Sprawcę zamachu ujęto. Był nim Jaroszyński, czeladnik stolarski.

Stronnictwo dworskie sprzeciwiało się mianowaniu Wgo księcia namiestnikiem, lecz starania i prośby margrabiego Wielopolskiego przemogły — car nominację jego podpisał.

Liczba demonstracji za wpływem komitetu centralnego zmniejszyła się, do czego przyczyniła się wiele także obojętność na nie jen. Suchozaneta.

Zanotować mi należy demonstrację na pogrzebie arcybiskupa Fijałkowskiego, która odbyła się w pierwszych dniach miesiąca maja z spokojem i powagą.

Umierał ten prawdziwie polski kapłan z wielką przytomnością umysłu do ostatniej chwili życia.

Wiele osób go odwiedzało; między innymi przyszedł także nadrabin Majzels, z całym kahałem.

— Będę się modlił za ciebie, za duszę twoją — ze łzami w oczach rzekł nadrabin — błogosław nam; bo błogosławieństwo sprawiedliwego Bóg wysoko ceni.

Błogosławił ich arcybiskup. Przestrzegał aby w złej i dobrej doli trzymali z narodem polskim.

Roboty organizacyjne systemem dziesiątkowym objęły szybko kraj cały. Aby okazać łączność kraju z Warszawą postanowiono i zrobiono niezaprzeczenie najdonioślejszą demonstrację w Horodle na pamiątkę połączenia Litwy z Koroną dnia 10 października.

Z wszystkich dzielnic polski zebrało się kilkanaście tysięcy osób, wszelkiego stanu i wyznania. W pobliżu Horodła rozłożyli się na polu tworząc jakby jakie obozowisko.

Na drugi dzień cały ten tabor miał zamiar udać się do Horodła, odprawić tam nabożeństwo i spisać protokół orzekający przyczynę zebrania.

Wiedział o tym zamiarze rząd moskiewski i dał rozkaz generałowi Hruszczewowi, komenderu-

jącemu wojskami w Lublinie, aby zebrany wstęp do miasta nie dozwolił.

W skutek tego rozkazu wojsko dniem już wpierw otoczyło dokoła miasto; co widząc zebrani, wysłali do jen. Chruszczewa deputację. Ta oświadczyła jenerałowi że przychodzi prosić go aby dozwolił zebrany wejść do miasta, skąd po odprawionem nabożeństwie spokojnie każdy uda się w swoją stronę.

Na co jen. Chruszczew odpowiedział:

— Panowie! złamać rozkazu mi danego nie mogę. Do miasta was nie wpuszczę. Czy wam nie wystarczą te błonia, ciągnące się po nad Bugiem? Tam odprawcie nabożeństwo. Ja wam nie przeszkodzę — gdyż rozkaz mi przysłany tego nie obejmuje.

Tak też i zrobiono. Rozwinięto chorągwie z orłami polskimi, rozbito namiot; ksiądz z Horodła dostarczył aparatów kościelnych do odprawienia nabożeństwa.

Ksiądz Fidelis, kapucyn z Lublina, miał kazanie, w którem wymownemi słowy przypomniał akt unji z Litwą, wspomniał o minionej świętności Polski i wezwał do modłów o przywrócenie jej bytu politycznego.

Wojsko stało w pobliżu trzymając do nogi broń, bez najmniejszego szmeru w szeregach.

Na twarzach oficerów dostrzedz można było zadumę.

Po skończonem nabożeństwie z okolicznego lasu przyniesiono wielkiego dęba i w miejscu, gdzie się msza święta odprawiała, zakopano krzyż zeń zrobiony na pamiątkę obchodu tak wielkiej rocznicy.

Między obecnymi było wielu szpiegów moskiewskich. Później dochodzono z kąd i kto robił chorągwie z orłami polskimi? Poszukiwania były bezskuteczne.

Jenerała Chruszczewa zapytywano także dla czego dozwolił na taką demonstrację? Krótko odpowiedział:

— Żołnierzem jestem — wykonałem ściśle rozkaz mi dany.

*

W połowie października z dawnego komitetu Centralnego wytworzył się nowy komitet Centralny rewolucyjny. Ten, który w czerwcu był utworzony, upadł, dziesięćkroć zmieniając swych członków.

Zmuszony w miarę okoliczności przybierać do grona swego ludzi stronnictwa bezwzględnie rewolucyjnego, wytworzonego pod wpływem ko-

mitetu londyńskiego, lub młodzieży oddanej Mierosławskiemu, nieumiejącej ustrzedz się wpływowi prowokatorów policyjnych.

Komitet centralny tracąc czas na walce z nimi, stracił wreszcie nadzieję przeprowadzenia zamierzonego działania — to jest zjednoczenia wszystkich sił i stronnictw i przygotowania środków odpowiednich do walki z najazdem i rozwiązał się.

Utworzony na miejsce jego komitet rewolucyjny krótko istniał. Objąwszy ster działania wnet poczuł trudne jego brzemie. W łonie swoim miał prowokatorów policyjnych, których rozpoznać nie umiał. Każde przedsięwzięcie wpieryw znane było policji nim go wykonano.

To go skłoniło głównie że udał się do dawnych członków rządu Centralnego, przyrzekając posłuszeństwo. Ujęci tem napowrót objęli władzę.

Utworzona przez komitet centralny organizacja administracyjna godna rzeczywiście była podziwu.

Najważniejszego jej wydziału, poczt i policji, dyrektorem był Tomasz W..... człowiek niepospolitej energii, znający kraj, mający rozliczne znajomości, posiadający dar poznania ludzi.

Temi obdarzony przymiotami, był zarazem członkiem komitetu centralnego. O każdej zamierzonej robocie zawiadomiony, umiał wskazać stosowne środki do przeprowadzenia i zasłonić jakby płaszczykiem niewidzialności członków komitetu.

Niemniej znane mu były zamiary rządu rosyjskiego, uprzedzał o nich władzę narodową; gdyż urzędników wszystkich dykasterji umiał użyć do swoich celów, zamienić ich w bezwiedne narzędzia komitetu centralnego.

Po objęciu napowrót władzy przez komitet centralny zaczęło wychodzić pismo „Strażnica“ jako tegoż organu urzędowy.

Drugie pismo „Głos wolny kapłana“ redagowane przez ks. Mikoszewskiego, powoływało do zgody i jedności, wyłuszczało obowiązki względem ojczyzny. Oba te pisma były w związku z sobą.

Wydawane tajemnie, przechodziły za pomocą organizacji narodowej szybko do rąk szerszej publiczności. Znajdowały się one wszędzie w miejscach publicznych, a gdy tego było potrzeba nawet i na biórkach dygnitarzy carskich.

Długi czas policja moskiewska głównie zajęta była śledzeniem za redaktorami tych pism i drukarni, w której je tłoczono. Zabiegi te pró-

żne były. Redaktorowie chodzili sobie spokojnie po ulicach Warszawy — drukarni nie wykryto.

Równocześnie, jakby w odpowiedzi na te pisma, margrabia Wielopolski sądząc że satyrą lub ośmieszeniem oddziała na umysły i pokieruje niemi według swej woli, znalazłszy odpowiednie narzędzie w niezaprzeczeniu zdolnym pisarzu Miniszewskim, kazał mu redagować pismo „K o m u n a ł y.“ W niem wszystko co szlachetne, bezinteresowne a patryotyczne, błotem było obrzucone — nierzadko znaleźć tam można było artykuły dochodzące granic cynizmu. Autor ich zgiął pod ciosem sztyletu.....

*

*

*

Margrabia Wielopolski, naczelnik rządu cywilnego, rozumem swoim owładnąć umiał Wgo księcia Konstantego, a przytem ująć sobie jego małżonkę, dla której W. książę był całkiem powolny.

Tym sposobem stał się w Polsce samowładnym panem.

Pewny siebie margrabia nie oglądał się na kraj, na ludzi, którzy by mu mogli być pomocą — sądził że reformy sam przepro-

wadzi; że system edukacyjny, reforma administracji, czyli tak zwany statut organiczny, przekształci Polskę i do nowej politycznej usposobi przyszłości, którą jemu zawdzięczać będzie.

Energja, śmiałość w postępowaniu, cechowały margrabiego na każdym kroku; zaczęło to niepomału trwożyć rządy carskie.

Margrabia, palony chęcią dzierżenia władzy nieograniczonej, żadnej kontroli nad czynnościami swemi nie znosił. Tego już było za wiele rządowi dyspotycznemu cara, bo mu margrabia chciał władzę wydrzeć.

Niechęć powszechna ku margrabiemu na rękę była rządowi carskiemu. Zaczęto się obawiać że wprowadzone w życie przez margrabiego ustępstwa carskie mogły ostatecznie w skutkach swych pociągnąć za sobą oswobodzenie Polski. Być by to może było mogło — zaprzeczać temu nie będę; ale to pewna że despotyczne usposobienie margrabiego, wstrętne naturą swą narodowi polskiemu, sparaliżowało wszystko to, co chciał i mógł być dobrego uczynić.

Stronnictwo białych z swym komitetem i organizacją, chciało działać patryotycznie, cóż z tego, kiedy nie miało możności, ni siły wpro-

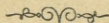
wadzania w życie swych planów i pozostawało zupełnie biernem.

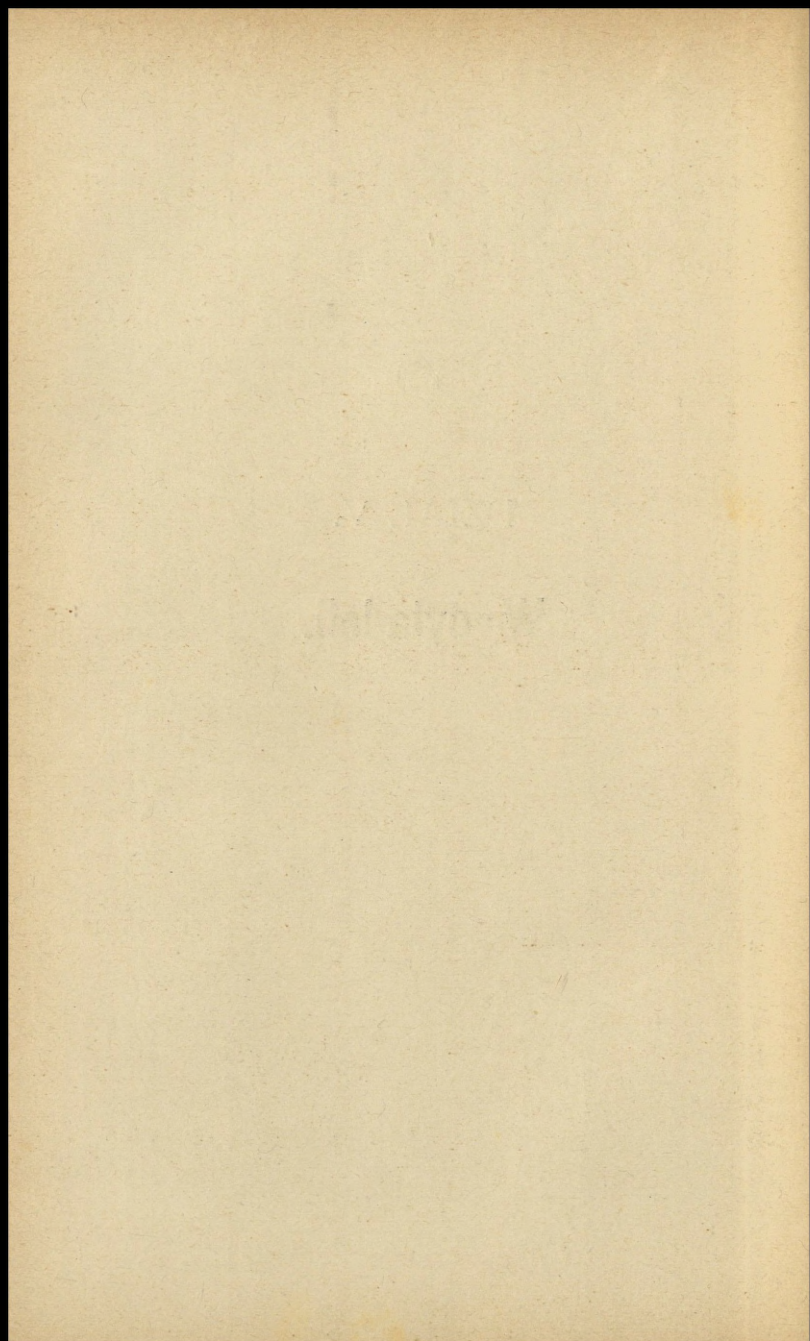
Komitet centralny, w zamiarach najlepszych, z żywiołami, które na każdym kroku stawiały mu granitowe zapory — walczył.

1870
The following is a list of the names of the persons who have been admitted to the membership of the Society since the last meeting of the Executive Committee.

DZIAŁ V.

W cytadeli.





Taki był stan rzeczy w kraju w połowie grudnia 1861 roku. Pograżony we śnie, usłyszałem mocne stukanie do drzwi. Domyśliłem się kto tak silnie i o tak spóźnionej porze do mnie do-
bijać się może. Nie darmo to mówią: „Na złodzieju czapka gore“. — Wnet żona moja i służba się obudziła.

Zapaliłem świecę — przyszło mi na myśl że był u mnie L... i zostawił kilka numerów „Strażnicy“ i „Głosu kapłana“.

Wziąłem je ze stołu, otworzyłem drzwiczki od pieca—żar jeszcze się w nim świecił. Podpaliłem płomieniem od świecy dzienniki i wrzuciłem je w piec, a gdy zamknąłem go napowrót, już płomień je objął. To samo zrobiłem z kartkami cienkiego papieru, na których skre-

ślony był jakiś plan, przyniesiony mi przez M... do przeczytania.

Zrobiłem to w mgnieniu oka, nie przypominając sobie żebym miał co jeszcze w domu coby mnie skompromitować mogło.

Przebudzoną żonę uspokoilem że niema się czego obawiać. Tymczasem pukania nie ustawały.

Z świecą w ręku zbliżyłem się do drzwi wchodowych :

— Kto tam? zapytałem.

— Otwórz!... moskiewskim akcentem odpowiedziano z po za drzwi.

— Kto jesteś?

Na to głos już mi znany odpowiedział :

— Jestem komisarz Skulski; proszę drzwi otworzyć, bo je każę wybić.

Otworzyłem drzwi.

Wszedł oficer moskiewski, widocznie dyżurny, bo szarfą przepasany, w kasku na głowie, za nim komisarz i dozorca cyrkułowy, w końcu dwóch żandarmów, brzękających nieźnośnie pałaszami. Wszedłszy zatrzymali się we drzwiach i pałasze z pochew wydobyli.

Służba przestraszona zbiegła się, trwożliwie spoglądając na to co się działo.

Obaczywszy ich komisarz, krzyknął:

— Ruszajcie mi do kuchni!

Dozorca zapalił drugą świecę — zaczęto rewizję. Najpierw weszli do mego pokoju i skwapliwie rzucili się na biórko, na którem dosyć różnych papierów i książek się znajdowało.

Każdą książkę i papier każdy z osobna przeglądali a przeglądali, a przepatrzywszy rzucałi w jeden kąt na ziemię.

Jak każda z kobiet tak i żona moja przestraszyła się wprawdzie na razie więcej niż inni, ale załękniecie to trwało krótko, i to, co mnie na myśl nie przyszło, zwróciło jej uwagę.

Miałem zwyczaj że jeżeli kto przychodził mię odwiedzić a w chwili takiej miałem w ręku jaki papier zakazany, chowałem go za wyściółkę fotelu lub kanapy, jak gdzie mi wykonać to łatwiej było.

Zauważała żona to moje przyzwyczajenie i gdy zajęci byli rewizją w moim pokoju, powymowała z kanapy i foteli wiele takich kartek, z których nie jedna mogła by mnie była zgubić na zawsze.

Przetrząsając tak skwapliwie moje mieszkanie, znaleźli wreszcie kilka numerów „Strażnicy“ i „Głosu kapłana.“ Zabrali przytem dość znaczną liczbę listów, które zdawały im się podejrzane.

Skończywszy tę czynność zwrócił się kapitan do mnie, mówiąc:

— Niech się pan ubiera, pojedziesz z nami.

Ubrałem się co prędzej. Dwie dorożki stało przed domem—Do pierwszej wsiadłem ja z kapitanem, dwóch żandarmów usadowiło się w niej naprzeciw nas. Do drugiej wsiadł komisarz z dozorcą, wzięwszy z sobą zwój papierów, zabranych u mnie.

Ruszyliśmy—noc była niepogodna—wiatr dął zachodni, śnieg pruszył — Na ulicach Warszawy pusto. Przejeżdżając około latarni spojrziałem na zegarek; była już godzina blisko trzecia po północy.

Pierwszy przerwałem milczenie:

— Późno już, panie kapitanie.

— Tak—co robić!

— Daleko pojedziemy?

— Do cytadeli.

Była już blisko godzina czwarta gdyśmy do jej bram przybyli. Na hasło dane przez kapitana wnet nam otworzono, wpuszczono nas i obie dorożki wjechały na dziedziniec.

— Przed dziewiąty pawilon zajedź, odezwał się kapitan do dorożkarza.

Zajechał — Na progu pawilonu czekał już

nas kapitan Żuczkowski, nadzorca IX. pawilonu i więźniów w nim osadzonych.

Ubrany w mundur wysłużonego oficera żandarmów, bez szlif, pałasza, w czapce mundurowej z okrągłym daszkiem.

Z szyderczym uśmiechem na twarzy przywitał nas:

— Przywieźliście panowie nowego ptaszka. W tych murach zgnije za swe sprawki, dodał.

Udałem że nie słyszę co mówi i nie zwracam uwagi na niego.

Papiery przywiezione oddał mu komisarz. Wziął je skwapliwie pod pachę i powiedział do moich stróżów:

— Żegnam panów.

Na te słowa towarzysze moi oddalili się.

A do mnie zwróciwszy się, rzekł:

— Proszę.

W chwili tej już byłem między dwoma żołnierzami uzbrojonymi w karabiny — Żandarm idący obok nas niósł latarnię, kapitan Żuczkowski szedł za nami.

Szliśmy długim, nie zbyt szerokim korytarzem. Po obu jego stronach szeregiem ciągnęły się drzwi, a przy każdym stał żołnierz z karabinem. Na korytarzu było dosyć ciemno, pomimo że był oświetlony latarniami.

Kapitan Żuczkowski donośnie wyrzekł:

— Numer siedemnasty.

Wkrótce po tej komendzie zatrzymaliśmy się przed drzwiami, przed którymi nie było żolnierza. Podoficer otworzył je — weszliśmy do izdebki, nie więcej jak trzy metry długiej, a jeszcze węższej.

Zrewidowano mię jak najściślej. Wszystko co miałem przy sobie, zegarek, pierścionki z palców, szpinki z koszuli, cygarnicę, portmonecę, w której znajdowało się przeszło 60 rubli zabrał kapitan Żuczkowski, notując każdy przedmiot, wraz z kwotą powyżej wspomnianą.

Gdy skończono rewizję, kapitan wskazał na tapczan i z uśmiechem szyderyczym dodał:

— Możesz pan sobie teraz odpocząć — dobrej nocy życzę.

Wychodząc zapalił żandarm świecę w lichtarzu blaszanym, postawionym w misce, napełnionej piaskiem.

Drzwi zaskrzypiały za nimi. Zakręcenie klucza w zamku przykre na mnie sprawiło wrażenie.

Zostawszy sam spojrzałem na tapczan. Zbity był z grubych, dębowych desek, osadzonych na czterech słupkach; na nim siennik gruby, także sama poduszka, wypchana słomą, koc weł-

niany, już nie nowy, miał mi służyć za przykrycie.

Prócz tapczana w więzieniu mojem znajdował się mały stół, jedno krzesło i wyszczerbiony dzbanek z wodą.

Po obejrzeniu mego mieszkania przyszło mi na myśl jaki może być powód mego aresztowania?

Byłem pewien że ktoś mię denuncjował, ale nie domyślałem się kto mógł być tym oskarżycielem?

Stało się — cokolwiekbądź jest, postanowiłem do niczego się nie przyznać.

Spać nie mogłem — sięgnąłem do kieszeni zapomniawszy że mi cygara zabrano. Żałowałem że nie prosił aby mi je zostawiono.

Podczas tego prawie co pół godziny żołnierz, stojący na warcie, drzwi więzienia mego, przeraźliwie skrzypiące, otwierał i wchodził aby knot u świecy palącej się poprawić.

Gdy dzień był już jasny — sądzę że było około dziewiątej godziny — drzwi więzienia otworzyły się i wszedł kapitan Żuczkowski. Z tym samym szyderczym uśmiechem, tym głosem nieprzyjemnym, powiedział:

— Dzień dobry panu — jak się spało?

— Nie najlepiej, panie kapitanie; żołnierz co chwila wchodzący, aby poprawić knot świecy, nie dałby mi zasnąć choćby łóżko wygodniejsze było. Ale mniejsza już o to—zapomniałem prosić o zostawienie mi cygar. Od wielu lat przyzwyczajony jestem do palenia.

— Co do cygar, to ich panu dać nie mogę bez pozwolenia komisji, odrzekł. Ona wszystko może zrobić—pozwolić nawet aby pościel panu z domu przyniesiono — I robi to jeżeli pan przyznasz się do winy i czasu jej próżno zabierać nie będziesz na prowadzenie śledztwa, gdy i tak już mamy w ręku dowody przeciw panu. Co do żołnierza to się pan do tego przyzwyczaisz.

Po chwili zapytał:

— A teraz co pan pić będziesz na śniadanie, kawę czy herbatę?

— Herbatę—odpowiedziałem.

Skinął głową i wyszedł.

Po wyjściu jego w kwadrans znów otworzyły się drzwi celi, wszedł żandarm a za nim żołnierz, niosący na tacy czajnik, napełniony herbatą, szklanke, cukier i dwie bułki.

Postawił to wszystko na stole.

Nalałem herbatę, wcale była dobrą—wypiłem dwie szklanki.

W godzinę potem wszedł żołnierz z miotłą, pokropił podłogę, lecz mimo tego narobił kurzu nieznośnego, bo podłoga z dawien dawna nie była zamiatana.

Chciałem z nim mówić, ale ani słowa nie chciał mi odpowiedzieć, pokazując na migi że mu nie wolno.

W południe przyniesiono mi obiad, składający się z krupniku z mięsem, wcale smacznie przyrządzonego, pieczeni i kaszy; do tego chleba obficie.

Tak jednostajnie przeszło dni trzy, z tą różnicą że już nie prosiłem o nic kapitana Żucz-kowskiego, a ten z swej strony nie robił mi żadnych propozycji.

Czwartego dnia zaledwie skończyłem pić przyniesioną rano mi herbatę, otworzyły się drzwi i żandarm, ukazawszy się na progu, rzekł:

— Proszę do komisji!

Wyszedłem na korytarz. Żandarm szedł przodem, ja pod strażą dwóch żołnierzy, uzbrojonych w karabiny, zdążyłem za nim. Szliśmy tym samym korytarzem, przez który mię wprowadzono do mojej celi więziennej.

Przeszedłszy tak w prostej linii kilka minut zatrzymał się żandarm przed drzwiami w końcu korytarza, zapukał, otworzył — Wszedłem do

sali dość obszernej; w środku stały dwa stoły, pokryte zielonym suknem. Za jednym z nich siedziało trzech wojskowych; przy drugim czterech po cywilnemu ubranych.

Wszedłszy do sali zwykłym ukłonem przywitałem siedzących.

W pośrodku stołu pomiędzy wojskowymi siedział jen. Roźnow, prezes komisji śledczej.

Odezwał się do mnie temi słowy:

— Niech pan dobrze uważa o co pana pytać się będę — Proszę powoli odpowiadać — spisze się protokół.

I zwróciwszy się do siedzącego przy drugim biurko w cywilnem ubraniu urzędnika, dodał:

— Pan sekretarz będzie pisał.

Następnie zwróciwszy się do mnie zapytał:

— Jak się pan nazywa?

— Antoni Jeziorański.

Skąd rodem i tak dalej ciągnięto według zwykłej formy protokół — Gdy przyszło do zapytania co robiłem za granicą, odpowiedziałem:

— Sądzę że niema potrzeby mnie się o to pytać. Cokolwiek tam robiłem, Najjaśniejszy pan przebaczył mi.

Spojrzał jen. Roźnow na pułkownika Tuhołkę, ten na mnie — po chwili namysłu rzekł Roźnow:

— Za to pan odpowiadać nie będziesz, ale potrzeba nam wiedzieć cały przebieg życia pańskiego, aby sprawiedliwie osądzić pańskie tutaj czynności.

— Panie jenrale, zabrałoby to wiele czasu.

— Tem się pan nie troszcz.

— Zmuszony jestem, odrzekłem, powtórzyć że mając z okresu tego przebaczenie Najjaśniejszego Pana, nie uważam za stosowne poddawać czynności tej epoki pod żaden sąd dla wyciągania z niej jakichkolwiek wniosków.

Nic już na to nie mówiąc, kazał Roźnow odpowiedź tę swoją wciągnąć do protokołu.

— Proszę pana na to, o co teraz pytać będę, rzekł Roźnow, odpowiadać prawdę, bo to według kodeksu zmniejszy winę, a tem samem i karę. Znasz pan Apollona Korzeniowskiego?

— Nie przypominam sobie abym go znał.

— A pana J... W...?

— Także nie znam.

— A Tomasza Winnickiego.

— Nie znam.

Rozgniewany do najwyższego stopnia generał Roźnow tupnął nogą o podłogę.

Zwróciłem wzrok na pułkownika Tuchołkę i spokojnie zapytałem:

— Czy tu stajnia?

Roźnow zadzwonił — Wszedł żandarm i odprowadzono mię napowrót do izby więziennej.

W niej bez zmiany trybu życia zostawałem przez dni cztery — piątego znów przywołany zostałem tym samym sposobem do komisji.

Gdym wszedł do sali przemówił do mnie jen. Roźnow bardzo grzecznie:

— Panie Jeziorański, pan nie dawno się ożeniłeś, żona desperuje, niespokojna, przywiozła panu pościel, bieliznę, cygara. Ja jej obiecałem że wszystko pan to będziesz miał w więzieniu; nawet pozwolę się widzieć panu z żoną. Ale żądam żebyś pan mówił prawdę. Ci panowie, o których pytałem pana, siedzą w cytadeli i powiedzieli że pana znają.

— Być może, panie jenerale, że mnie znają, ale ja sobie nie przypominam żebym ich znał.

Zadzwonił — Żandarm stojący za drzwiami wszedł.

— Numer dziewiąty przyprowadź, rzekł rozkazująco.

Nie za długo wszedł J... W...

Zapytał go wskazując na mnie:

— Czy znasz pan tego?

— Tak, znam — odpowiedział jękając się J... W...

— A co panie? rzekł do mnie Roźnow.

— Ten pan powiada że mnie zna. Niech będzie łaskaw powiedzieć kto mię jemu lub jego mnie przedstawił?

— Nikt nie przedstawiał, ale znałem pana z Saskiego ogrodu.

— I na tej podstawie powiedziałeś pan że mię znasz? I ja też nie zaprzeczam że fizjonomia pańska jest mi znajomą, ale widocznie mniej od pana byłem ciekawy, bo nie umiałbym powiedzieć jak się pan nazywasz.

J... W... wybąknął:

— Być może...

Jen. Rożnow kazał go wyprowadzić, a jednocześnie dał rozkaz aby przyprowadzono numer czterdzieści dwa.

Wszedł Apollo Korzeniowski; zapytany czy mnie zna wpatrywał się we mnie dość długo, jakby chciał sobie przypomnieć, w końcu rzekł:

— Nie—tego pana może gdzie widziałem, ale nie znam.

Znów jen. Rożnow kazał go odprowadzić.

Gdy wyszedł, rzekł do mnie:

— Panie Jeziorański, ja mam inne dowody że pnn znasz tych panów i jak będzie czas po temu przekonam pana. Teraz proszę mi powiedzieć kto redaguje „Strażnicę“ i gdzie się ona drukuje?

— Nie wiem.

— Jak to pan nie wiesz? Ja chcę aby mniejsza kara spotkała pana i dla tego chcę abyś pan wyznał — Ja mam dowody.

— Proszę o nie.

Kazał podać papiery, zabrane u mnie przy rewizji.

Wyjął z nich pięć numerów „Strażnicy“ i rzekł:

— A co? Może i tych pan nigdy nie widział?

Przypatrując się przez chwilę odpowiedziałem:

— Widziałem i czytałem.

— Od kogo pan je miałeś?

Kupowałem je od chłopców po pięć groszy numer. Uprzykrzali się, nie widziałem w tem nic karygodnego, jeżeli policja nie wstrzymała sprzedaży, a także we wszystkich restauracjach i cukierniach leżało to pismo po stołach.

— No, to dobrze; ale chłopcy nie sprzedawali artykułów, które miały być drukowane w tem piśmie?

Mówiąc to pokazał mi rozdarty papier zapisany.

— Czy to pan pisałeś?

Przypatrując się kartce, odrzekłem:

— Tak jest, panie jenerale.

— No, to przecie że pan choć tego zaprzeczyć nie możesz — Powiedz pan teraz, tylko szczerą

prawdę, komu pan dał ten artykuł żeby go zamieścił w Strażnicy, bo właśnie w numerze piątym „Strażnicy“, który znaleziono u pana, jest on zamieszczony.

— Ależ pan generał się myli. Nie ja dałem do druku ten artykuł, ale z drukowanego przepisałem.

Rozgniewany krzyknął:

— Po sto... diabłów, pan to przepisywał?

— Nie mając co lepszego do roboty żeby czas zabić. Takich kawałków znajdzie pan generał może i więcej w zabranych u mnie papierach.

Zaczerwienił się — krew uderzyła mu do głowy.

— Ja mam inne środki, któremi zmuszę pana do wyznania prawdy.

To powiedziawszy zadzwonił i kazał mnie odprowadzić do izby więziennej.

Powróciwszy zastałem pościel przywiezioną z domu, bieliznę i cygara.

Na te rzuciłem się skwapliwie — zastukałem do drzwi. W małym okienku we drzwiach od strony korytarza odsunięto zasuwkę i zajrzał przez nie żołnierz na warcie stojący.

Pokazałem mu cygaro, domyślił się że żądam ognia — Wszedł żandarm i dał mi kilka

zapalek; ale cygara, które chciałem mu dać, nie przyjął.

Nazajutrz po obiedzie, który dawano w południe, w drzwiach mego więzienia ukazał się żandarm.

Sądziłem że znów zaprowadzi mnie do komisji; ale tym razem zamiast lakonicznego wyrazu „Proszę“, jakiego stereotypowo w takich razach używał, usłyszałem:

— Na salę!

Wszedłem — Żołnierze jak zwykle z karabinami szli obok mnie, a żandarm wskazywał nam drogę. Idąc korytarzem pominęliśmy drzwi komisyjnej sali, skręciliśmy na lewo w inny jakiś korytarz, gdzie nie za długo zatrzymaliśmy się. W ciemności, zalegającej korytarz, ujrzałem drzwi głęboko osadzone w murze. Żandarm je otworzył.

Wszedłem do pokoju, przez pół przegrodzonego ścianą drewnianą do wysokości połowy człowieka. Na tem przegrodzeniu osadzona była krata drewniana, nieco niższa od przegrodzenia dolnego; podobne urządzenie bywa w kasach rządowych lub bankach.

Zabudowania dziewiątego pawilonu cytadeli warszawskiej są ciemne, jakby ten, co je stawił, obawiał się światła. Nie było wszakże

tak ciemno żebym nie mógł rozpoznać ponurej postaci porucznika Gorzewskiego, który był gorliwym pomocnikiem kapitana Żuczковского.

Rozpatrzywszy się w otaczającej mnie ciemności, z radośnem zdziwieniem ujrzałem za kratą moją żonę.

Przez kratę podała mi rękę; nastąpiły pytania i odpowiedzi, z których zdawać by się mogło że co najmniej kilka lat nie widzieliśmy się z sobą, a całe to spotkanie miało pozór jakby każde z nas z innego zjawilo się świata.

Porucznik Gorzewski wnet przerwał rozmowę naszą słowami:

— Proszę się pożegnać; inni czekają aby się także z sobą widzieć.

Żona dodała:

— Jen. Rożnow pozwolił abyś jedzenie brał z restauracji; nie przyjął pieniędzy, które mu dawałam, powiedział mi że masz tu swoje. Przywiozłam ci wina i sygar.

Wróciwszy do więzienia byłem jeszcze cały pod wrażeniem doznanej niespodzianki, gdy wszedł do mnie kapitan Żuczkowski, a za nim żandarm z koszem, z którego wyjął dwie butelki wina i paczkę sygar, postawił na stole i wyszedł.

Kapitan Żuczkowski pozostał, a pokazując na przyniesione wino i cygara na stole, rzekł:

— Widzi pan, jen. Rożnow jest dla pana do-
brze usposobiony, trzeba tylko być z nim
szczerym. Nie pragnie on zgubić pana; wy-
znanie winy posłuży, jeżeli nie do uwolnienia,
to w każdym razie zmniejszy karę. Cheiej mi
pan wierzyć że mimo stanowiska, jakie zajmuję,
i wiernej mej służby rządowi, jestem dobrym
Polakiem i jako taki radzę panu przed komisją
wyznać prawdę.

— Darujesz, kapitanie, że będę szczerym, bo
innym być nie potrafię, odrzekłem. Wiele złego
słyszałem o panu, ale nie mogę powiedzieć że-
bym tego na sobie doświadczył — Chcę wie-
rzyć słowom pana że jesteś dobrym Polakiem,
a dasz dowód tego gdy mię nauczysz jak mam
postępować?

— Tyle tylko mogę panu poradzić abyś mówił
prawdę.

— Ja też przed komisją szczerą prawdę mó-
wiłem.

— Sądzić muszę inaczej, wiedząc że komisja
ma dowody, świadczące przeciw panu. Zważyw-
szy niespokoje dzisiejsze i przeszłość pańską
musi komisja inne mieć przekonanie moralne
co do pana.

— Dowodów przeciw mnie — odrzekłem —
mieć nie może. Moralne jej przekonanie i wnio-

ski stąd wyprowadzane, oparte są na błahych przypuszczeniach, niezgodnych z prawdą i rzeczywistością.

— Ja nie żartuję — rzekł na to. Jeszcze raz powtarzam że dowody mamy i żałować pan będziesz że się nie było szczerym — rady mej nie słuchało.

Skłonił głowę na pożegnanie i badawczym wzrokiem śledził jaki wpływ słowa jego na mnie wywarły? Wyrazu twarzy jego nie zapomnę nigdy; było coś w niej z piekielnych postaci Dantego.

Z rozmowy tej wywnioskować mogłem że denuncjowano mnie, ale że nie mają żadnych dowodów.

W sąsiedniej celi więziennej siedział ksiądz Paweł z zakonu Karmelitów, poszlakowany o stosunki z kołami organizacji narodowej. Oskarżono go że odbierał od członków jej przysięgę na zachowanie tajemnicy i posłuszeństwo wybranej władzy.

Dowiedziałem się o tem za pomocą sposobu, używanego przez więźniów cytadeli, pukaniem w ścianę. Klucz tej rozmowy nadzwyczaj prosty. Uderzenie raz w ścianę oznacza literę *a*, dwa uderzenia *b* itd., za wypukaniem w ten sposób każdej litery robi się przestanek; z wy-

pukanych liter powstają wyrazy i zdania. W tak żmudny sposób prowadzą więźniowie długą czasami rozmowę.

Więźniowie znajdowali w niej rozrywkę; mnie w ten sposób prowadzona męczyła.

Dogadzając wszakże sąsiadowi memu słu-chałem uważnie jego pukania a następnie od-powiadałem.

On to myśli moje o rozmowie z kapitanem Żuczkowskiem przerwał i zawiadomił pukaniem że był wołany do komisji. Trzymając się rady mojej zeznał: Że do organizacji nie należy; jeżeli wie o niej to z wyznań, uczynionych mu przy konfesjonale. Przysięga kapłańska nie pozwala wyjawiać powierzonej mu tajemnicy i tę do grobu z sobą poniesie. Zwracał przytem uwagę komisji że obowiązkiem jego jest godzić zwaśnione umysły — siać spokój na ziemi.

— Cóż komisja księdzu odpowiedziała? spy-tałem.

— Jen. Rożnow kazał zapisać zeznanie moje do protokołu. Pułk. Tuchołko w złości największej na cały kler rzymski (Bóg niech mu przebaczy) kłął najokropniej. W końcu dodał: „Dopóki wszyscy poddani cesarza nie będą prawowierni, nie będziemy mieli spokoju.“

Późno już było gdyśmy skończyli rozmowę. Przejścia dnia tego, widzenie żony, rozmowa z kapitanem Żuczkovskim,¹ kłopoty mego sąsiada, odebrały mi sen — Noc całą nie spałem.

Nazajutrz jak zwykle wszedł kapitan Żuczkowski, zapytał czy czego nie potrzebuję, a spojrzawszy na mnie dodał:

— Czy pan nie chory?

— Nie najlepiej się mam.

— Coż panu jest?

— Nudzę się.

— Postępując w ten sposób, w jaki pan postępujesz, można się będzie tu jeszcze bardzo długo nudzić.

— Czy nie pozwolono by mi czytać książek?

— Trzeba żeby komisja pozwoliła—ja ją o to zapytam.

Tego samego jeszcze dnia porucznik Gorzewski przyniósł mi książkę: Czarny karzeł.

Rozerwała mnie, choć ją dawniej już znałem.

Czas jednostajnie schodzi w więzieniu. Pół godziny dziennie dozwolono mi spaceru przed oknami więzienia na dziedzińcu, w towarzystwie dwóch żołnierzy uzbrojonych. Dwa razy w tygodnie, w środę i sobotę, kwadrans widzieć się z żoną — zresztą czytałem książki.

Sąsiad mój po rozmowie, o której wspomniałem, w kilka dni wypuszczony został z więzienia.

Poczeiwy ten ksiądz sądził że rada moja dopomogła do jego uwolnienia, błogosławił mnie za nią:

— Bóg ci nie pozwoli zginąć; bądź dobrej myśli. Ja będę się do Niego modlił za ciebie.

Izba więzienna, którą zajmował, kilka dni była próżną. Później siedział w niej niejaki Krzeczkowski; mienił się uwolnionym z służby oficerem moskiewskim.

Zdawał mi się za bardzo ciekawym.

Miałem się też z nim na ostrożności, wiedząc że czasem osadzają umyślnie szpiegów po więzieniach, by w ten sposób dowiedzieć się o winie więźniów.

Upłynęło pięć tygodni, a do komisji mnie nie wzywano.

Niecierpliwiło mnie to — Napisałem do żony kawałkiem ołówka, który przy widzeniu się ze mną wsunęła mi w rękę, na papierze, w którym były zawinięte przyniesione mi sigara, aby użyła wszelkich środków by sprawę moją przyspieszyć.

Starania żony odniosły skutek; zostałem do komisji wezwany.

Gdy wszedł na salę zastałem jen. Różnowa chodzącego po niej. Ukłonu mego nie widział, czy też nie chciał widzieć — tak upłynęło z pięć minut.

Nagle stanął, zbliżył się do mnie i rzekł:

— Wiem że panu przykro jest siedzieć tak samotnie w więzieniu, ale sam temu winien jesteś. Żony pana szczerze żałuję.

I znów chodził po sali — w kilka minut poszedł do swego fotelu, usiadł i długo nie rozpoczynał przesłuchania.

W końcu rzekł:

— Ostatni raz robię pana uważnym że zeznania pańskie niezgodne są z prawdą. Daję panu słowo honoru że je uważam za niebyłe i że na wyrok w sprawie wpływać nie będą. Ponownie zatem pytam pana czy znasz osoby o które pytany byłeś, i jakie z nimi miałeś stosunki? Kto redaguje „Strażnicę“ i gdzie ją drukują?

— Nie mogę inaczej na to odpowiedzieć — rzekłem — i zostaję przy pierwszym zeznaniu; to jest że osób tych bliżej nie znam i żadne mnie z nimi stosunki nie łączyły. Co do drugiego pytania stanowczo powiadam że nie wiem kto jest redaktorem „Strażnicy“ i gdzie się ona drukuje.

Jenerał Roźnow uderzył pięścią w stół i podniesionym głosem rzekł:

— Kłamiesz!....

— Jestem więźniem — rzekłem oburzony — pomimo tego zwrócę uwagę pana jenerała że ubliżać mi nie powinien.

— A co mam robić?

— Sądzić.

— Chciałem żeby kara wymierzona mogła być jak najmniejsza. Moralnie przekonany jestem że pan znasz tych ludzi, że pan wiesz o wszystkim.

— Aby wyrok wydać potrzeba aby moralne przekonanie opierało się na rzeczywistych dowodach — Pozory łudzą.

— Panie Skowroński — rzekł zwracając się do jednego z urzędników, siedzących przy drugim stole — zawołaj tu X....

Wszedł z przyległego pokoju średniego wzrostu mężczyzna; ruchy miał swobodne, oczy tylko biegały w różne strony, unikając czyjegokolwiek wejrzenia; na ludzi patrzyć nie śmiał, głowę schylił ku ziemi — mimo lat młodych był całkiem łysy.

Znałem go; człowiek ten mienił się synem pułkownika b. wojsk polskich — zacnego człowieka.

W połowie października, jak sobie czytelnik przypomina, komitet centralny rozwiązał się. Wtedy człowiek ten pojawił się u J... W... w deputacji od komitetu Chmielińskiego z oświadczeniem że będą powolni komitetowi, żeby się napowrót zawiązał i objął władzę.

Od tej chwili człowiek ten bywał często w kole znajomych moich. Pod różnemi pozorami umiał w każdym domu znaleźć się i być nawet potrzebnym. U mnie rzadko bywał; miałem jakiś wstręt do niego — nie dla tego żebym wątpił o jego uczciwości, ale podejrywałem go że nie jest tym, kim się mienił, to jest synem pułkownika X....

— Jak się ten pan nazywa, wskazując na mnie zapytał go jen. Rożnow, i gdzieś go poznał?

— Ten pan nazywa się Jeziorański, poznałem go u J... W...

— Widzisz pan że moralne przekonanie czerpię z dowodów. Miałem zatem prawo nazwać pańskie zeznania kłamstwem.

— Panie jenerale, moralne przekonanie, oparte na zeznaniu tak podejrzanej uczciwości człowieka, niczego jeszcze nie dowodzi.

— Tego pan nie mów; on jest synem pułkownika — takim jak pan więźniem.

— Tem gorzej że tak nisko upadł!...

— Ale pan go znasz?

— Znam — poznałem go u szwagra mego Pietraszkiwicza, którego brat młodszy siedział w cytadeli za demonstrację, czy burdę uliczną, za co miał być skazanym do robót aresztanckich. Ten pan przyszedł do szwagra mego z propozycją że uwolni brata jego od kary, jeżeli dostanie pewną kwotę pieniędzy. Szwagier mój dał; jakoż rzeczywiście brat jego uwolniony został. Sądzę że ludzie, zajmujący się takimi rzeczami, nie zasługują na wiarę.

— Wiele ten sukisyn wziął pieniędzy i dla kogo? — zawołał w złości generał.

— Nie należy to do sprawy mojej — a choć generał uniosłeś się, ja umiem panować nad sobą.

Generał Rożnow tupnął nogą na X. i kazał mu wyjść za drzwi.

Gdy ten wyszedł, nalegał na mnie abym powiedział dla kogo i ile wziął pieniędzy?

— To niema związku z sprawą moją; mogę generałowi powiedzieć to na osobności w cztery oczy. Rzecz ta nie należy do komisji.

Jen. Rożnow i pułk. Tuchołko wyszli do przyległego pokoju.

Po chwili wychylił zeń głowę pułk. Tuchołko i prosił żebym wszedł.

— Panie Jeziorański — rzekł Roźnow — wyjaśnij mi tę sprawę, dla kogo ten łotr brał pieniądze i wiele?

— Nie obrazi się puł. Tuchołko jeżeli zaproponuję mu żeby na chwilę wyszedł z pokoju?

— Niech pan mówi przy nim. Przed nim nie mam sekretu.

— Brał pieniądze dla generała.

Zbladł.

— Ten podlec zgnije w więzieniu! Oszukał szwagra pańskiego — dla mnie on nie brał pieniędzy — Ja honorowy jestem człowiek.

— Być może że bez wiedzy pana generała stało się to, ale że pieniądze wzięto a raczej kosztowności za nie kupione, kwitami udowodnić mogę. Rzeczy te wzięte zostały przez osobę bliżej generałowi znaną, a własnoręczny jej podpis to co mówię potwierdza.

— Nikczemna kobieta! przez zęby zasyczał Roźnow — Kłamała że matka jego kaleka, którą on pracą swoją utrzymuje; że ksiądz zaklinał ją... O! tak może tylko oszukać... Francuska!....

Spoglądał to na mnie, to na Tuchołkę. Drżący jeszcze z gniewu odezwał się:

— Panie Jeziorański, nikczemny to człowiek; ale znajdę ja inne środki, któremi udowodnię winę pana. Dlatego zaklinam pana wyznaj

prawdę o tem co wiesz o „Strażnicy“ i jakie stosunki łączą pana z J... W... a ja skończę raz tę sprawę i jak można najłagodniejszy będzie wyrok.

— Panie jenerale, tam gdzie niema winy i dowodów na nią próżno szukać będziemy. Nie taję że kocham mój kraj i oto cała wina moja. Wiem że ten, co mnie denuncjował, jest nikczemnym prowokatorem, podburza on młodzież i tem rząd niepokoi. Do żadnych demonstracji nie należę, unikam nawet spiewów kościelnych i otwarcie powiadam że jestem im przeciwny. Nie wypieram się tego że życzylbym aby lepiej było w Polsce. Jeżeli wyrok panów potępi mnie, zażądam jawnego sądu a władza wyższa nie odmówi mi tego.

Pułkownik Tuchołko odpowiedział:

— Pełnienie ściśle powierzonych nam obowiązków zmusza nas do szukania dowodów; wyrok wydamy sumienny.

— Dowodów, jeszcze raz powtarzam, panowie mieć nie możecie — bo winy niema.

Odprowadzono mię do więzienia bocznemi drzwiami; po przed komisję już nie przechodziłem.

I znów ta sama jednostajność więzienna. Kapitan Żuczkowski, prócz zwykłych zapytań:

„Jak zdrowie? Czy nie potrzebujesz pan czego?“ nie rozpoczął już nigdy ze mną rozmowy.

Przeszło tak dwa tygodnie — pułkownik Tuchołko zaczął mnie odwiedzać. Rozmawialiśmy o Turcji i plemionach słowiańskich. Był to panslawista najczystszej wody.

Najmniejsze szczegóły, Słowian tureckich dotyczące, zajmowały go; a w końcu widząc że nie opieram się jego chęciom i planom, w bujnej jego fantazji wylęglym, zabrania pod carskie panowanie tych krajów, był mi przychylny.

Od niego dowiedziałem się że wszyscy więźniowie, razem ze mną aresztowani, są już osądzeni na Sybir.

— Pan zaś — dodał — skazany jesteś do Modlina, ale wyrok ogłoszony będzie dopiero za parę tygodni. Niech pan nie czyni starań o jawność sądu; ja ręczę że będziesz pan wkrótce wolny.

— Dobrze pułkowniku, ale tak długie siedzenie, samotność więzienia, staje się codzień przykrejsza.

— Na teraz rzecz z panem skończona; ja powiem kapitanowi Żuczkowskiemu, on umieści tu jednego z więźniów; będzie pan miał towarzystwo.

Nazajutrz wniesiono tapczan, przyniesiono jedno krzesło, a nie za długo wprowadził Żuczkowski towarzysza mego.

Był to młody człowiek, Stawecki, uczeń kursów medycznych, dziś doktor medycyny we Francji.

Moralnie wychowany, pobożny, wieczór i rano modlił się klęcząc. W samej rzeczy miałem z niego towarzysza jak trudno żądać lepszego. Kapitan Żuczkowski obchodził się z nim jako z młodym człowiekiem dosyć niegrzecznie, tak że musiałem upomnieć się za nim. Przyszło raz nawet do starcia, w którym powiedziałem Żuczkowskiemu aby podobnych wyrazów nie używał przy mnie, bo zapomnieć się mógł.

Niekzemny ten człowiek, nie mogąc mi nic zrobić, dokuczał biednemu Staweckiemu. Przykro mi to było, a gdy raz będąc na spacerze spotkałem się z jen. Rożnowem, prosiłem go żeby powiedział Żuczkowskiemu aby był grzeczniejszy.

Odniosło to skutek pożądany.

Puł. Tuchołko dnia pewnego wszedł do mnie i rzekł:

— Ci, którzy z panem razem aresztowani byli, już wczoraj wysłani zostali na Sybir. Oni powrócą—bo cesarz w dzień swoich imienin da amnestję wszystkim osądzonym w ciągu roku. Pana jutro przyzwiemy do odczytania wyroku

Niech on pana nie martwi — Za trzy tygodnie będziesz pan z powrotem—i wolny!...

— Panie pułkowniku, czyby nie można tak zrobić żebym do Modlina nie jechał?

— Proś pan komisji, ja będę się starał to wyjednać.

Nazajutrz przeczytano mi wyrok, skazujący mnie, bez wymienienia winy, jako niebezpiecznego, na wydalenie do Modlina i pozostawienie w tej fortecy bez oznaczenia terminu dopóki nie przeminie wzburzenie umysłów w kraju.

Po wysłuchaniu wyroku prosiłem aby dla interesów osobistych pozostawiono mnie w Warszawie.

Jenerał Roźnow zgodził się na to, ale z warunkiem że wyznaczą mi mieszkanie, z którego wychodzić mi nie będzie wolno i że interesa moje w ciągu jednego miesiąca załatwię—Osobom, potrzebującym się widzieć ze mną, wstęp będzie dozwolony.

Mieszkanie dano mi w ratuszu, gdzie trzy tygodnie zostawałem. Na mocy amnestji carskiej powrócili wywiezeni na Sybir i ja zostałem 18. września 1862 roku uwolniony.

The first part of the paper is devoted to a general
 discussion of the problem. It is shown that the
 problem is equivalent to the problem of finding
 the minimum of a certain functional. This
 functional is defined as follows:

$$J(u) = \int_{\Omega} |\nabla u|^2 dx + \int_{\Omega} f(x) u dx$$

where Ω is the domain of interest, ∇ is the gradient operator, and $f(x)$ is a given function. The minimum of this functional is attained at the solution of the problem.

In the second part of the paper, the problem is solved for a specific case. It is shown that the solution is given by the following formula:

$$u(x) = \frac{1}{2} \int_{\Omega} f(x) dx$$

This formula shows that the solution is simply the average value of the function $f(x)$ over the domain Ω .

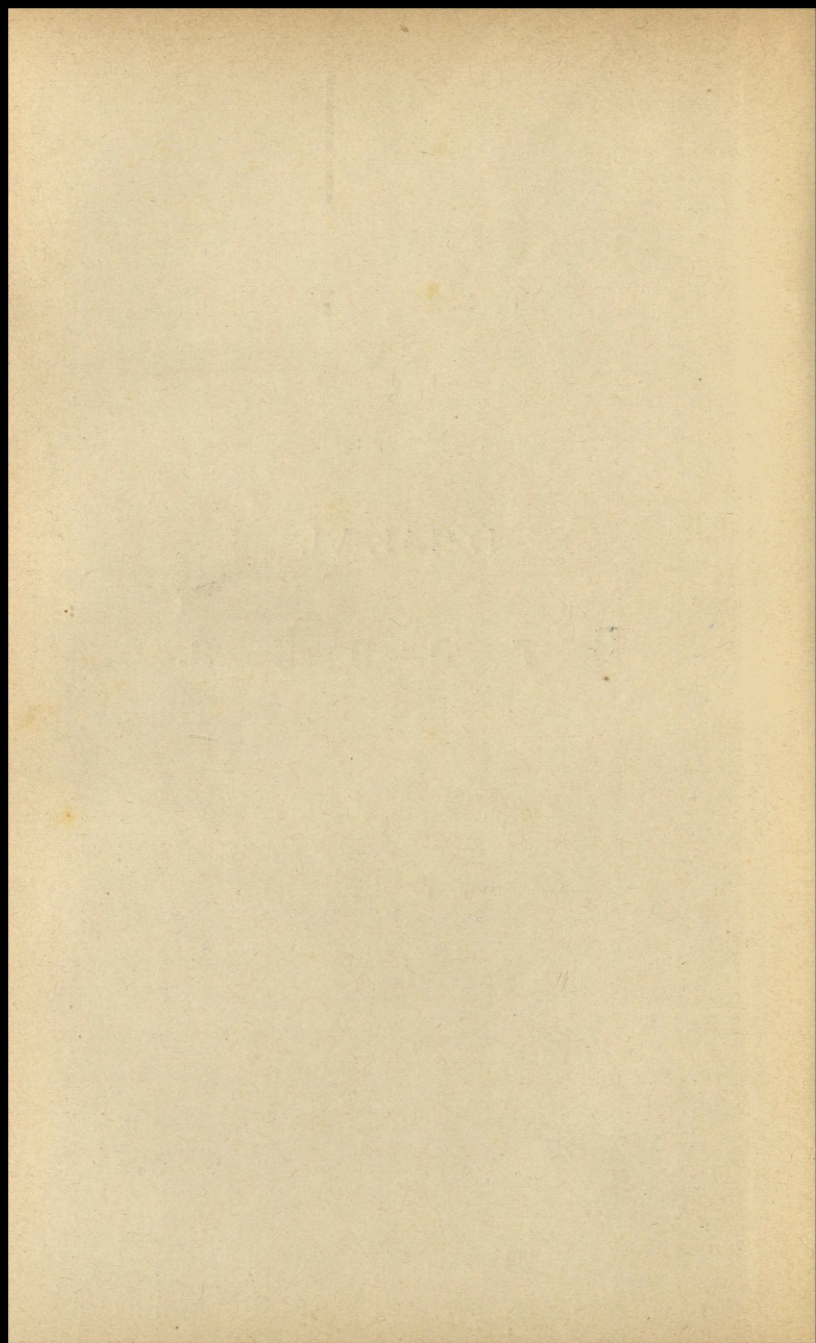
The third part of the paper is devoted to a discussion of the numerical solution of the problem. It is shown that the problem can be solved by the method of finite differences. The numerical solution is compared with the exact solution, and it is shown that the method is accurate.

Finally, the paper concludes with a discussion of the applications of the problem. It is shown that the problem has many applications in physics and engineering.

DZIAŁ VI.

B r a n k a.

—P. G. —



Ośm miesięcy przesiedziałem zamknięty w murach cytadeli. Przez ten czas przebudzone życie polityczne wrzało w części Polski, pod panowaniem moskiewskim zostającej. Każdy dzień, każda okoliczność wpływała na wrażliwy nastrój umysłów; działaniom inny nadawała kierunek.

To też gdy przyjaciele moi obaczywszy mnie wolnym wzywali do działania, nie uchylałem się od tego, żądając od nich objaśnień co do przebiegu wypadków, zaszłych podczas mej nieobecności i określenia istotnego stanu rzeczy w kraju.

Z sprawozdań tych dowiedziałem się że komitet centralny organizacją systemu dziesiętnego wzrósł do znacznej potęgi, urządził całą administrację, działania swe rozpostarł na całą

Polskę, agentów powysyłał za granicę, a czując się silnym, w pierwszych dniach miesiąca września 1862 r. wystąpił jako tymczasowy Rząd narodowy.

Komitet obywatelski, tak zwany białych, wcielił wprawdzie do organizacji swej żywióły inteligencji miejskiej, mimo tego stał niezachwiany przy pierwotnym programie „bez wstrząśnień społecznych popierać wewnętrzny rozwój kraju“.

Do tego rozwoju wszakże mało mógł się przyczynić, gdyż margrabia Wielopolski, jakkolwiek członków tej organizacji używał do prac w przeprowadzaniu koncesji, danych przez rząd moskiewski, powołując ich do Rady stanu i administracyjnej, używał ich jedynie jako bierne narzędzie, o ile uzdolnienie czyje do tego lub owego przydać mu się mogło. Skryty w zamiarach, patrzący na każdego z góry, rad lub uwag niczyich nie przyjmował.

Postępowaniem takim margrabiego komitet obywatelski widział się upokorzonym.

Z drugiej strony niepokoiły go czynności komitetu centralnego, występującego jako rząd narodowy, w programie którego było powstanie, zbrojne, do czego szybko dążyć był zmuszony wcieliwszy w siebie żywióły organizacji czerwonych.

Komitet obywatelski, chcąc uwolnić się od stosunku przykrego z Wielopolskim, z drugiej strony lękając się niebezpiecznego dążenia komitetu centralnego, zwoławszy z organizacji swej delegatów i ludzi zaufania, uchwalił wystąpić stanowczo w sprawie narodowej.

W tym celu napisali list zbiorowy do hr. Andrzeja Zamoyskiego, jako swego przedstawiciela, prosząc go aby w nim sformułowane potrzeby i życzenia kraju przedstawił WKsięciu Konstantemu, a ten aby je przedłożył cesarzowi.

Zamieszczam to ich podanie, gdyż z żądań, zawartych w niem, czytelnik będzie mógł osądzić najlepiej jakie były dążenia komitetu obywatelskiego:

„Bezprzykładne w dziejach nieszczęścia Polski, przecinając byt jej polityczny, nie zdołały osłabić ducha narodu, ani skazić w nim lub oziębic gorących uczuć historycznego powołania. Duch narodu spotężniał poświęceniem i ofiarą, uczucia wzrosły boleścią i wiarą w przyszłość. W chwilach stanowczych wołają one o zwrot odjętych, a wiekami uświęconych praw i swobód narodu.

„Już w roku zeszłym podawaliśmy w tym celu adres do tronu, upominając się o prawa nasze, a wyborcy, do utworzenia Rad powiato-

wych i miejskich powołani, w podaniu do ówczesnego namiestnika (hr. Lamberta) dwudziestutysiącami podpisów pokrytem, oświadczyli że nowo nadane instytucje grożącym niebezpieczeństwom zapobiedz nie zdołają i że jedynie reprezentacja z wyborów powstała (sejm) przy jawnej dyskusji, ogólne potrzeby kraju wypowiedzieć może.“

„Stan wojenny uniemożliwił doręczenie podania. Potrzeby kraju, raz jeszcze nieuwzględnione, doprowadziły do przewidywanych nie-szczęśliwych następstw.“

„Dziś znowu my Polacy w imię społecznego porządku i cywilizacji europejskiej, powodowani odezwą J. C. W. W. Konstantego: „aby nie dozwolnić krajowi posuwać się do przepaści bez wyjścia,“ przybywamy z wszystkich jego okolic i w braku innej do wystąpienia drogi, otaczamy Cię w zaufaniu, że uosabiając w sobie ducha naszego narodu, wypowiedz J. C. Wysokości potrzeby i przekonania, w głębi serc i umysłów naszych złożone — przekonania i potrzeby, których zatajenie za szkodliwe, a głośne wypowiedzenie przed całym światem za konieczne uważamy.“

„Od udziału w nowo nadanych nam instytucjach nie usuwamy się, lecz obowiązani je-

steśmy oświadczyć że środkami, dotąd używanymi, doprowadzono kraj do stanu, w którym ani użycie siły wojskowej, sądów wojennych, więzień i wygnania, ani nawet kara śmierci, nie zdołają go uspokoić, lecz przeciwnie, ostateczne wywołują rozdrażnienie i pchają na drogi, dla rządzących coraz zgubniejsze. My zaś jako Polacy wtedy tylko rząd z zaufaniem popierać będziemy mogli, gdy rząd ten będzie naszym polskim i gdy Ustawą Zasadniczą przy wolnych instytucjach złączone będą wszystkie prowincje ojczyznę naszą składające.“

„Wszakże sama J. Wysokość w odezwie swojej uszanował tę naszą miłość ojczyzny i przyrzeka nam współdziałal w pracy około jej dobra. Dzielić miłości nie możemy. — Ojczyznę naszą całą kochamy w granicach, jakie jej Bóg zakreślił a tradycje historyczne przekazały.“

Rząd odepchnął te żądania. Wprawily one W. księcia Konstantego w gniew tak gwałtowny, że nawet do końca ich nie wysłuchał.

Margrabia Wielopolski, niezadowolony z żądań komitetu obywatelskiego, nie posiadał się z gniewu że pominięto pośrednictwo jego w tej sprawie.

Różnica usposobień i charakterów wywołała już dawniej niezgodę margrabiego z hr. Za-

mojskim. Od tej chwili stanęła między nimi przepaść, niedająca się niczem usunąć.

Rząd carski wezwał hr. Zamojskiego do Petersburga. W odpowiedzi na powyższe podanie kazano mu opuścić ojczyznę i pozostawać za granicą dopóki namiętności w kraju nie uspokoją się a koncesje, dane przez rząd, nie wejdą w życie.

Margrabia po usunięciu hr. Zamojskiego ujrzał się swobodnym i nie ważył już sobie wcale wpływu komitetu obywatelskiego.

Organizacja obywatelska, straciwszy prezesa, widząc odrzucone przez rząd carski swe przedstawienia, których przyjęcie byłoby może uspokoiło umysły i zapobiegło katastrofie, opuściła ręce, nie wiedząc co dalej czynić.

Widząc chęci swe niespełnione a naród stojący nad przepaścią, powinna była zdobyć się na krok stanowczy i całą siłą inteligencji i zasobów materialnych, jakie w łonie swoim niezaprzeczenie posiadała, złączyć się z komitetem centralnym, występującym jako Rząd Narodowy.

Komitet centralny nie dozwolił spokojnie przeprowadzać reform margrabiemu. Wszakże lekceważył go margrabia, sądząc że składa się z młodzieży. Tę więc usunąć postanowił. Aby tego

dokonać wpadł na nieszczęśliwą myśl, która przyspieszyła przedwczesny wybuch powstania.

Nieszczęśliwą tą myślą była branka młodzieży do wojska carskiego, młodzieży, co przejęta miłością ojczyzny, nad wezbranemi uczuciami swemi nie umiała zapanować...

Szybko wiadomość o zamierzonej brance rozeszła się po kraju i jak najgorsze zrobiła wrażenie.

Komitet centralny w organie swym „Strażnicy“ idąc za głosem opinji powszechnej, zamieścił artykuł, kończący się słowami „Branka będzie chwilą powstania.“ W tej nadziei młodzież zagrożona szynem carskim uspokojenie czerpała.

Wieczorem tego dnia byli u mnie L... i M...

Zapytałem ich jak mam rozumieć ten artykuł?

Odpowiedział mi L...

— Nie masz potrzeby zastanawiać się nad nim. Stanie się co tam napisano.

— A sąż środki ku temu przygotowane? rzekłem — bo wyznam wam szczerze że jakieś niejasne w tym względzie dochodzą mnie wieści.

— Środki się znajdują, odrzekł L... a co rzecz najważniejsza, to to że Moskale jedni stchórzają a drudzy pójdą z nami.

M... spoglądał na niego z pewnem niedowierzaniem.

— Radzę wam w tym względzie być ostrożnym. Dąbrowski zamknięty, wątpię żeby znalazł się w chwili doraźnej potrzeby, a jak w powstaniu listopadowem rząd ówczesny polski przeceniał siły Moskwy i tem wiele złego zrobił, niech się strzeże terażniejszy aby w przeciwny grzech nie popadł.

Podczas tej rozmowy naszej wszedł ojciec mej żony i już przy nim dalej o tej nieszczęsnej brance prowadziliśmy rozmowę.

Pana sędziego z margrabią łączyła dawna znajomość jeszcze z ław uniwersyteckich; wysoko cenił zdolności margrabięgo i jego nieugiętą wolę. Pomagał mu w pracach—program organizacji szkół srednich napisał, jako też uwagi o potrzebie szkół gminnych, którą to pracę margrabia ogłosił w Dzienniku, aby nad nią wywołać polemikę pedagogiczną.

Z organizacji obywatelskiej nie wiele tuszył dobrego dla kraju, z czem nieraz w ich gronie otwarcie się odzywał, za co go też nie bardzo lubili.

Pełen ciepła i patryotyzmu, skłaniał się na stronę komitetu centralnego, ceniąc w nim poświęcenie i energję.

Zapytany przez M... czyby nie zechciał rozmówić się z margrabią o brance, która niema najmniejszych podstaw prawnych i przedstawił mu jej skutki, mianowicie że może wywołać powstanie i wielkie na kraj sprowadzić kłęski, podjął się tego Horbowski i w parę dni przyniósł odpowiedź margrabięgo :

— „Tu nie chodzi o zasadę prawną; ale o spokój; a gdyby zamieszanie ztąd wynikło, to tylko uliczne, które w kilka godzin potrafię uśmierzyć. A gdy spokój mieć będę, wtedy obaczę co potrafię zrobić dla kraju.“

M... człowiek wykształcony i niepospolitych zdolności, był pośrednikiem między komitetem obywatelskim a centralnym. Na ten ostatni wpływał aby wybuch powstania zbrojnego powstrzymać.

Gdy obawa branki zagroziła wybuchem powstania, znalazł on drogę do Wielopolskiego, który przy pierwszym widzeniu ocenił go należycie. Wiem także że M... nawzajem unosił się nad zdolnościami margrabięgo.

Był czas że mniemano iż skutkiem znoszenia się M... z margrabią branka będzie odwołana. Komitet centralny głosił to przez swą organizację.

Mimo tego młodzież bardziej skompromitowana a zamożna opuszczała kraj. Jedni wstępowali do szkoły w Kuneo, drudzy wyjeżdżali do Paryża. Mniej zamożni uchodzili z domu i pod obcymi nazwiskami tułali się po kraju. Ze wsi przybywający obywatele mówili że tu i owdzie włóczę się nie mogąc znaleźć zatrudnienia.

Komitet centralny z tej przyczyny w coraz trudniejszym znajdował się położeniu.

W pierwszych dniach grudnia 1862 roku do szwagra mego Piotra Pietraszkiewicza przyszedł Stefan Bobrowski, ówczesny prezes komitetu centralnego i Zygmunt Padlewski z propozycją aby on, jako inżynier, znający fabryki za granicą, zajął się kupnem broni. Byłem temu obecny i słyszałem jak mówili że w tej chwili nie rozporządzają znaczniejszemi na ten cel funduszami, ale spodziewają się że wkrótce takowe mieć będą.

Rada Pietraszkiewicza była aby zamówić broń — co on podejmuje się uczynić — ale pominiawszy koszta podróży, które bierze na siebie, potrzeba takiej fabryce dać zadatek.

Dano mu dwa tysiące rubli na ten cel. Większą kwotę obowiązano się później nadesłać.

Z rozmowy tej widać było że terminu powstania nie określają; żądali jednak aby za-

kupiona broń wprowadzoną być mogła do kraju jak można najrychlej.

Mówiąc o rodzaju broni Padlewski powoływał się na mnie. Radziłem aby kupiono jak najwięcej sztucerów lekkich i aby nie zapomnieli do każdego z nich najmniej pięćset gotowych ładunków sprowadzić.

Co do armat radziłem aby nabyli działa lekkie, górskie; nie zapomnieli o racach kongrewskich, które w początku szczególnie wielkie usługi przynieść nam mogą, gdyż nie mając armji regularnej, partyzantką wojnę rozpocząć musimy.

Zwróciłem ich uwagę że o bardzo małej ilości broni mówią.

Na to Bobrowski odpowiedział mi że już po nią także kilku innych wysłali za granicę.

Faint, illegible text, possibly bleed-through from the reverse side of the page. The text is arranged in several paragraphs and is too light to transcribe accurately.

DZIAŁ VII.

Przygotowania do wybuchu.



Przebieg choroby

Jak przed wielką burzą zazwyczaj cisza panuje, tak i przed wielkimi wypadkami, jakie wkrótce miały nastąpić, spokój pozorny ośwładnął umysły...

Było to 14 stycznia 1863. Późnym wieczorem wszedł do mieszkania mego ks. Mikoszewski, W... M... i J... L...

Było kilka osób u mnie — po fizjognomji wchodzących domyśliłem się że mają do mnie ważny interes.

Nie dałem im długo czekać. Po krótkiej ogólnikowej rozmowie zaprosiłem ich do osobnego pokoiku na sygara.

Gdyśmy się sami znaleźli, rzekł do mnie W... M...:

— Mamy pewną wiadomość że dzisiejszej nocy będzie branka...

— Tak długo utrzymywaliście że jej już nie będzie.

— Oszukano nas; potajemnie ułożono listę podejrzanej młodzieży, aby łatwiej dokonać zbrodni, odpowiedział mi ksiądz Mikoszewski.

— Stało się rzekł W... M... Wyprawiamy młodzież. Komitet centralny w imieniu Rządu Narodowego uchwalił powstanie. Manifest przygotowany, uwłaszczenie ludu i równouprawnienie pobudzi go do łączenia się z nami. Ale potrzeba nam doświadczonych żołnierzy aby prowadzili młodzież. Sądzę że w tak ważnej chwili nie zostaniesz beczynnym.

— A macie broń, macie stosowne ubranie dla przyszłych żołnierzy; przygotowaliście żywność dla nich?

Na te zapytania odpowiedział ks. Mikoszewski:

— Co można było zrobiliśmy—resztę zostawiamy Bogu.

— Odpowiedź ta dla mnie nie wystarcza. Potrzebuję wiedzieć jakie środki posiadam, a wtedy wiedzieć też będę co mi robić wypada? Tak na oślep, moi panowie, prowadzić wojny nie potrafię.

Na to odpowiedział W... M...

— Młodzież już wyszła, liczyliśmy na ciebie.
 — Nie zawiodę rachuby waszej, ale potrzebuję dla siebie i sumienia mego rozkazu Komitetu centralnego na piśmie.

Oto go masz, rzekł W... M... i podał mi cienki zwitek papieru, który trzymał przygotowany w rękę. Rozwinąłem go i przeczytałem:

„Komitet centralny, jako Rząd Narodowy, mianuje A. J. naczelnikiem wojskowym powiatu Rawskiego.“

Miasto powiatowe Rawa leży o dziesięć mil od Warszawy.

— Kiedy mam opuścić Warszawę? zapytałem.

— W tych dniach. Na dwadzieścia cztery godzin przed wyjazdem uwiadomienie otrzymasz.

— Do którego punktu mam się udać i jakie środki tam znajdę do prowadzenia wojny?

— Wskaże ci to organizacja Rawska.

Powróciliśmy do salonu; gości już w nim nie było. Pozostał tylko ojciec żony, który od dni kilku przybywszy z Dolecka, mieszkał u mnie.

Gdy wszyscy odeszli, żona pytała dlaczego jestem jakiś pomięszany, czy ci panowie nie przynieśli jakiej złej nowiny?

— Mówili że dziś w nocy Moskale będą brać młodzież do wojska. Chcą żebym jechał za granicę za kupnem broni, odrzekłem.

Mówilem tak umyślnie aby upozorować mój wyjazd z Warszawy.

— Nie długo tam zabawię, dodałem. Usunę się z oczu Moskałom, to przynajmniej do cytadeli znów mię nie wsadzą.

— Czy ci tylko dadzą paszport?

— Kto dziś za paszportem jeździ?

Na osobności ojcu mej żony powiedziałem prawdę.

— Chcesz się w sprawę tak niebezpieczną oświście mieszać?

— Niepodobna mi zerwać z przeszłością, a kiedy biłem się za Węgrów, Turków, w myśli że tem przyniosę korzyść ojczyźnie, dziś niepodobna mi zostać bezczynnym.

— Żal mi was, bo nie mam nadziei aby przedsięwzięcie to uwieńczone było pomyślnym skutkiem, odrzekł, mimo tego nie kuszę się odwieść cię od twego postanowienia. Szczęść wam Boże!...

W nocy spać nie mogłem. Nazajutrz rano zająłem się uregulowaniem osobistych moich interesów.

Około południa aby się posilić wstąpiłem do handlu korzennego na Krakowskiem przedmieściu. Bywały tam osoby należące do organizacji narodowej.

Wszedłszy zastałem z nich tylko jednego,
S.... Zapytałem co słyhać?

— Moskale zrobili tej nocy połów na młodzież,
który nie najlepiej się im udał; wielu nie zastali
już w domu.

— Jakoś tu dziś mało naszych?

— Nie spali noc całą i teraz się krzątają.
Trzeba przecież coś robić, kiedy wyperswadować
sobie nie dali tej branki...

Spojrzał na zegarek i dodał:

— I na mnie czas...

To powiedziawszy pożegnał się ze mną
i wyszedł.

S... był kolegą moim z kampanji węgier-
skiej; byłem niemal pewny że jak ja pójdzie
bić Moskwę, ale nic mi o tem nie wspomniał,
ja też nie zwierzyłem się mu z mem postano-
wieniem.

Zostawszy sam, zaledwie podaną mi prze-
kaskę jeść zacząłem, wszedł do pokoju, w któ-
rym siedziałem, młody człowiek, a zbliżywszy
się do mnie powiedział:

— Z polecenia Komitetu zawiadamiam pana
że masz jutro wyjechać.

— Czy nie masz pan co do mnie na piśmie?

— Nie, możesz pan ufać moim słowom.

— Powiedz pan, komu należy, że do polecenia się zastosuję.

Tym, który mi rozkaz ten przyniósł, był Tytus Zienkowicz, którego później osobiście poznałem.

Wyszedłszy ze sklepu, spotkałem na ulicy Stefena Bobrowskiego, w zaniedbanym ubiorze; w twarzy jego i ruchach widoczne było znużenie i niepokój. Mimowoli potrzącał przechodzących. Wina to była krótkiego wzroku. Mnie dopiero po głosie poznał gdym go zapytał gdzie mogę znaleźć Zygmunta Padlewskiego?

— Zygmunt już wyjechał.

— Od kogo dowiedzieć się mogę do którego punktu jutro mam jechać?

— Idź do B... M... rozmów się z nim w tym względzie. Ja tam może przyjdę, ale nie czekaj na mnie zbyt długo...

Dowiedziałem się od B... M... że winienem sam oznaczyć punkt, do którego mam się udać.

— Pośpiech was tłómaczy, ale powinniście byli wpierw mnie uwiadomić. Masz tu jaką mapę Polski?

— Mam — Chrzanowskiego.

Wziąłem z niej część, na której znajdował się obwód Rawski i rozglądnąwszy się na niej, rzekłem:

— Lasy około Radziwiłłowa będą najlepszym punktem zboru.

— Myśl dobra — musisz tylko mieć to na względzie że za dni pięć trzeba uderzyć na Moskwę. Dnia 22. b. m. wszyscy naczelnicy to zrobią.

— Starać się będę zastosować do tego żądania. Jednakże zależeć to będzie od tego, co już zastaną przygotowanego przez organizację Rawską i co wy mi przysłecie? Ciebie proszę nie zapomnij żebyś dla przyszłych żołnierzy jak najwięcej dostarczył obuwia, bo to w czasie wojny dla żołnierza jest najpotrzebniejsze.

— Dobrze, a masz ty dla siebie broń?

— Mam tylko rewolwer.

Ktoś zapukał do drzwi; mapę wrzuciliśmy pod łóżko, ale niepotrzebnie, był to bowiem J... S... który obaczywszy mnie, rzekł:

— Przychodzę zawiadomić was że Bobrowski nie przyjdzie. Mówił żebyście tu sami co potrzeba ułożyli, że może jeszcze z tobą będzie się widział, bo nie wyjedziesz jutro, ale 14go. W punkcie, przez ciebie wskazanym, znajdziesz ludzi i broń. To ci także powiem że nie wyjedziesz sam, ale w towarzystwie, z którego będziesz zadowolony.

— Zapewne w tem towarzystwie znajdę i ciebie.

— Nie; ale wkrótce się obaczymy.

Wróciwszy do domu zastałem ojca mej żony wybierającego się na wieś.

Łzy miał w oczach przy pożegnaniu; odprowadziła go na kolej moja żona.

Poszedłem pożegnać moją matkę.

Nie tailem przed nią zamiaru mego. Zalała się łzami i głosem, drżącym od wzruszenia, z wyrazem największej boleści, rzekła:

— Więc znów nas porzucasz!... Bóg niech cię błogosławi! Ja za was modlić się będę.

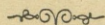
Zdjęła z szyi medaljon Matki Boskiej Częstochowskiej:

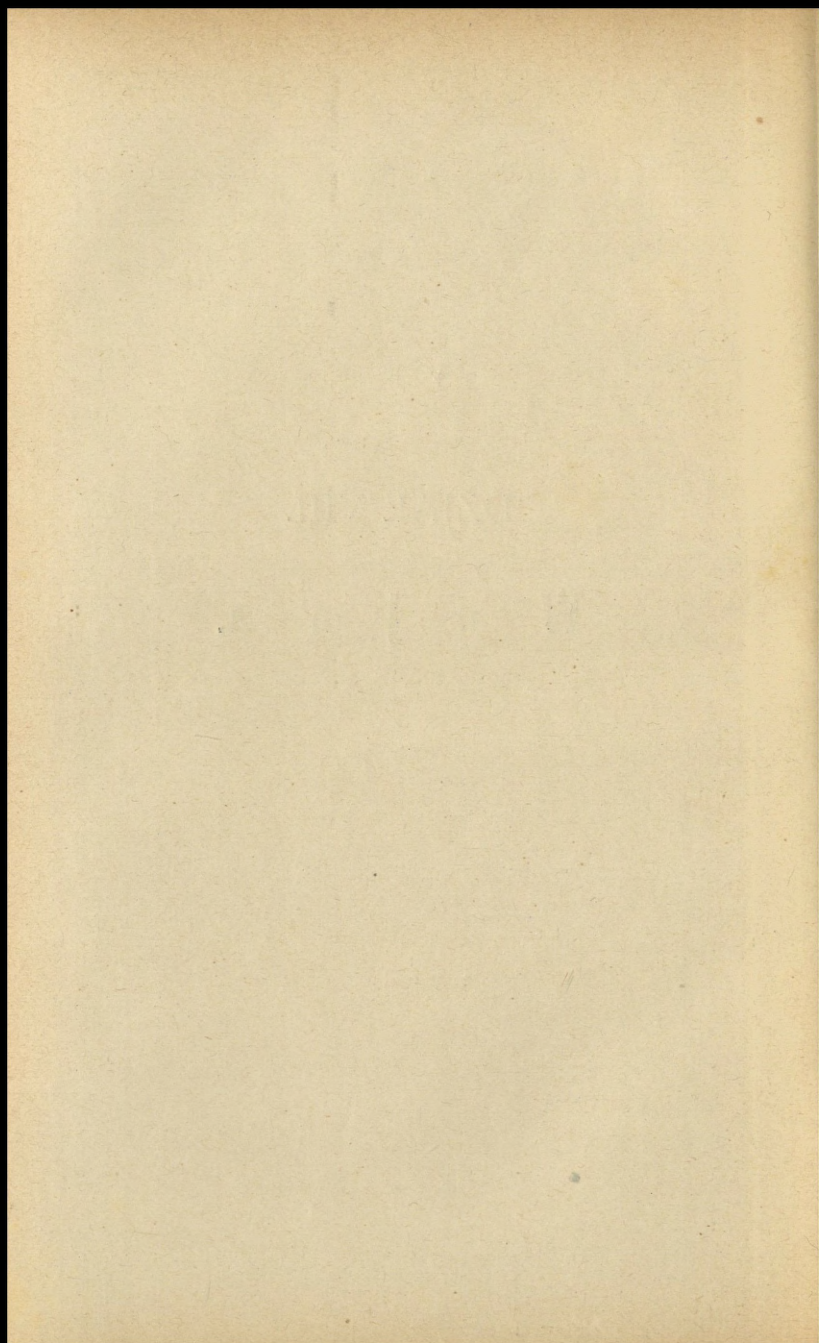
— Weź go — on cię od nieszczęścia uchroni.

Te były ostatnie słowa, które z ust matki mojej słyszałem.

DZIAŁ VIII.

W o j n a.





Dnia 18. stycznia 1863 o godzinie piątej rano opuszczałem Warszawę koleją żelazną do Radziwiłłowa.

Pociągiem tym jechał także Tomasz Winnicki, w towarzystwie młodego człowieka Romana Kołakowskiego.

Ucieszyłem się obaczywszy Tomasza. Znałem jego przedsiębiorczość, czynność, znajomość ludzi, prawosć nieposzlakowaną charakteru. W chwilach tak ważnych dobrze jest mieć takiego towarzysza.

Zapytałem go czy nie wie w której stronie lasów Radziwiłłowskich organizacja Rawska przygotowała ludzi?

— Na tej stacji mają nas o tem zawiadomić, odrzekł.

Czekamy—pociąg odszedł, a do nas nikt się nie zgłasza.

Tomasz uczynił uwagę że niebezpieczni nam na stacji dłużej zostawać, bo możemy tem zwrócić uwagę żandarmów.

— Innej na to rady nie ma, odpowiedziałem, jak wsiąść w jedną z stojących bryczek, pojechać do Jeruzala, wsi leżącej ztąd o małą milkę, a należącej do ojca mej żony. Proboszcz tamtejszy musi należeć do organizacji Rawskiej, to się od niego zapewne wszystkiego dowiedzieć będziemy mogli.

Proboszcz w Jeruzalu nie nas objaśnić o tem, gdzie są ludzie, nie umiał; przeląkł się naszym pytaniem.

Uspokoiwszy go, wysłałem umyślnego z kartką, zawiadamiając naczelnika cywilnego obwodu Rawskiego o naszym przybyciu, z wezwaniem aby spiesznie ściągnął ludzi i broń w lasy Radziwiłłowskie.

Posłaliśmy człowieka na stację kolei w Radziwiłłowie aby młodzież, przybywającą z Warszawy, wysyłał bezzwłocznie w lasy Radziwiłłowskie.

Dnia 19. stycznia miałem tym sposobem zebranych przeszło stu ludzi.

W odległości nie całej mili od Radziwiłłowa w lesie, w miejscu, obfitującym w wodę, założyłem obóz. Pomimo pory zimowej powietrze było łagodne — żywności obficie dostarczali nam obywatele okoliczni.

Dnia 20. stycznia przybyło z Warszawy 38 ludzi. Przywieźli z sobą cztery skrzynie kos nieokutych, bez drzewców, kilkanaście sztuk broni myśliwskiej i kilka pałaszy, z tych jeden wziąłem dla siebie.

Pomiędzy przybyłymi znalazło się kilku kowali. Z okolicznych wsi sprowadziliśmy kowadła i młoty; ogniska były gotowe — Obóz nasz zamienił się w wielką kuźnię.

Praca szła rażno pod dozorem Tomasza.

Tego dnia przybyło także kilkunastu młodych ludzi z okolicznej szlachty. Jedni bryczkami, drudzy konno. Uzbrojeni byli jak na myśliwych przystało. Przyprowadzili z sobą kilkunastu strzelców, przez co oddział powiększył się do dwiestu ludzi.

Pomiędzy przybyłymi z Warszawy znajdował się Franciszek Godlewski, były członek Rządu Narodowego. Na twarzy jego ślady cierpień, w oczach boleść się malowała.

Chcąc go pocieszyć, odprowadziłem na stronę i rzekłem:

— Bądź dobrej myśli — Bóg nam dopomoże! Dziś jest nas mało, jutro będzie więcej — broń z za granicy nadejdzie.

— Jedno złe zrobiliście, dodałem, żeście nie wyjawili rzeczywistej prawdy o środkach, przygotowanych do powstania, przed tymi, których postanowiliście użyć za naczelników tak wielkiego przedsięwzięcia.

— Nam samym trudno było wiedzieć prawdę, odrzekł, ale widzisz mnie tu — inni są tam, gdzie im grozi równe niebezpieczeństwo. Tem przekonamy świat żeśmy uczciwi ludzie, że w walce przeciw gwałtom najeźdźców razem z tą młodzieżą ginąć potrafimy.

Dnia 21. stycznia podzieliłem zebranych ludzi na trzy części. Wedle ilości rodzaju broni sformowałem strzelców, kosynjerów i konnicę.

Z tych, którzy dawniej służyli już w wojsku, zamianowałem tymczasowo oficerów i podoficerów.

Było między nimi kilku zdolnych instruktorów; tym dałem rozkaz ćwiczyć młodego rekruta w robieniu bronią i obrotach.

Sam uczyłem służby obozowej — rozstawiłem warty. W dość znacznej odległości od obozu umieściłem straż przednią; widety i pikiety rozstawiłem w odpowiednem miejscu,

nakazując aby te regularnie się zmieniały. Tym sposobem, prócz musztry, żołnierz był ciągle zajęty.

Dnia następnego w różne strony porzysyłałem rekonesanse piesze i konne. Pochwycony przez nie kozak, jadący z paletem egzekucyjnym, lub zabranie poczty, zdawało im się tryumfem, równającym się co najmniej wygranej potyczce.

Od samego początku żądałem ścisłego wykonywania rozkazów. Sam od żadnej służby nie uchylałem się, bo widziałem że ich tym sposobem włożę do niej. Nie szukając żadnych dla siebie wygód, z kotła żołnierskiego wraz z nimi jadłem, pod gołem niebem jak oni spałem. Nazywali mnie naczelnikiem — ja ich memi dziećmi.

Stosunek mój z oficerami i wykształceńszą młodzieżą był koleżeński. Harmonję między oficerami utrzymywał głównie Tomasz Winnicki.

Aby mieć zupełne prawo rozkazywania powinno się żołnierzowi płacić żołd regularny. Z tego wychodząc przekonania, postanowiłem płacić żołdu dziennie żołnierzowi 1 złoty polski, podoficerowi 2 zł., oficerowi 5 złotych polskich.

Na utrzymanie oddziału i płacę żołnierza od Rządu Narodowego żadnych nie otrzymałem funduszów. Tomaszowi Winnickiemu dano na

ten cel 150 rubli, którą to kwotę złożył do kasy oddziału, na ręce kasjera B. R... i kontrolora M...

Oficerowie i wielu z młodzieży zrzekli się pobierania żołdu. Pieniądze własne złożyli do kasy oddziału. Fundusz ztąd powstały, wraz z zabraniami w rządowych kasach leśnych pieniędzy, wystarczał na potrzeby i płacę żołnierza.

Dnia 25. stycznia do obozu mego przyjechał obywatel G... i wręczył mi pismo Rządu Narodowego, w którym tenże pochwalając czynności moje, zarazem zapytuje dla czego nie rozpoczynam „większej akcji wojennej“?

Na to przesłałem następną odpowiedź, datowaną 25. stycznia 1863 r.

Nr. 1. Ludzi gromadzę, zbroję ich czem mogę i uczę służby — złapałem kilku kozaków, nie dozwalam regularnego ruchu pocztom moskiewskim; zabrałem pieniądze z kas w lasach rządowych. Trzymam się ściśle w granicach wojny partyzanckiej. Do akcji większej nie mam jeszcze sił odpowiednich—gdy się te powiększą, będę mógł przejść w wojnę podjazdową. Zdrowie żołnierza dobre.

Wieczorem dnia tego doszła mnie wiadomość że Moskale już wiedzą o moim obozie.

Uznałem za stosowne zmienić obozowisko. W pół godziny po otrzymaniu tej wiadomości oddział mój był już w marszu, kierując się w stronę Rawy.

Gdyśmy przechodzili przez wieś P... z dworu wyszedł gospodarz z żoną i córkami naprzeciw nas, prosząc żebyśmy wstąpili, że przygotowane jest wszystko na nasze przyjęcie.

Przeprosiłem że uczynić tego nie mogę, gdyż okoliczności wymagają abym bez straty czasu w innej znalazł się okolicy.

Właściciela wsi P... znałem osobiście; należał do komitetu białych i był w nim jednym z największych przeciwników powstania.

Sądząc że z tej przyczyny zatrzymać się z oddziałem nie chciałem, zaczął się usprawiedliwiać:

— Pewno myślisz że jestem białym — otóż ci powiem że jestem czerwiejszym od was wszystkich. I wierz słowom moim, dziś już nie ma w kraju białych — ale wszyscy Polacy gotowi życie i mienie oddać na usługi ojczyzny.

Powiedziałem mu wtedy że Moskwa w znacznej sile w pobliżu się znajduje; że młodego żołnierza nie mogę ryzykować na pewną przegraną.

Przyznał słuszość tej uwagi i uściskał mi serdecznie rękę na pożegnanie.

Noc całą byliśmy w marszu. Prowadziłem oddział tak aby Moskale nie łatwo na ślad mój natrafić mogli.

Dwa razy tylko dałem na krótką chwilę wytchnąć żołnierzowi.

O godzinie dziesiątej z rana nazajutrz byłem od obozowiska w pierw zajmowanego o dobre cztery mile, we wsi należącej do Bauerfajnda. Kazałem dla żołnierzy z karczmy wynieść wódki, z wozów rozdać żywność; sam z Winnickim i kilku oficerami udałem się do dworu. Zastaliśmy tam prócz gospodarza, kilku młodych ludzi, a w pokojach broń porozwieszaną.

— Zapewne nie wiecie panowie o rozkazie Rządu Narodowego, którym wzywa każdego, zdolnego do noszenia broni, stanąć w szeregach wojsk powstańczych, a ktoby nie czuł się zdolnym do tego, winien jest broń i użyteczne przybory oddać walczącym.

Bauerfajnd odpowiedział mi na to:

— Rozkaz Rządu Narodowego jest nam znany i my pójdziemy się bić, ale wtedy dopiero jak przybędzie generał Mierosławski.

— Gdy walka rozpoczęta — odpowiedziałem — nie na czasie oczekiwać tego lub owego. Nim

jen. Mierosławski przybędzie, wzywam panów do szeregów wojsk narodowych. Gdybyście tego nie uczynili, słowa wasze uważałbym tylko za wymówkę tchórzostwa...

Brat młodszy Bauerfajnda porwał za rewolwer. Nie wiem w jakiej myśli to zrobił, lecz tak niezręcznie wziął się do tego, że rękę lewą sobie przestrzelił.

Kazałem przywołać chirurga, bo naonczas lekarza jeszcze w oddziale moim nie miałem. Ten opatrzył mu ranę.

Doradziłem żeby jechał do Warszawy, bo rana była dosyć niebezpieczna i mogła bez stosownego dozoru złe spowodzić skutki. Posłuchał mej rady. Brat jego wraz z znajdującą się tam młodzieżą przyłączył się do mego oddziału.

Kazałem wójtowi wsi aby zgromadził włościan, którym odczytałem manifest Rządu Narodowego, orzekający uwłaszczenie ludu.

O godzinie czwartej po południu wymaszerowałem z tej wsi, udając się w pobliskie lasy Skierniewickie. Założyłem w nich obóz o milę od miasta Rawy.

Siły oddziału mego wzrastały — mogłem już pomyśleć o działaniu większem. W tym celu zniosłem się z cywilnym naczelnikiem obwodu

Rawskiego, żądając aby dostarczył mi planu sytuacyjnego miasta Rawy i ścisłego obliczenia siły znajdującej się tamże załogi moskiewskiej.

Plan otrzymałem, jakoteż wiadomość o sile nieprzyjacielskiej. Piechoty mieli 628 ludzi — 60 kozaków, 18 żandarmów, razem ludzi 706.

Oddział mój liczył 154 strzelców, 160 kosynjerów, 60 kawalerji, razem 374 ludzi.

Siły liczebnie wprawdzie miałem mniejsze. Rachowałem wszakże na ochotę młodego żołnierza i na stosowne nim rozporządzenie. Osądziłem że mogę uderzyć i zabrać Rawę.

Gdym myślał właśnie nad sposobami wykonania tego zamiaru; rekonesans kawalerji, wysłany z obozu mego, wrócił i dał znać że nie daleko od nas maszeruje oddział powstańczy.

Nakazałem zwinąć obóz i w kilkanaście minut potem byłem już w marszu.

Nie więcej jak o ćwierć mili spotkaliśmy oddział powstańczy, prowadzony przez majora Śmiechowskiego, żołnierza wojsk polskich z czasów W. ks. Konstantego.

Zmęczony marszem oddział jego potrzebował odpoczynku — stanęły obadwa oddziały. Żywność rozdano żołnierzom.

Zawiązała się między mną a Śmiechowskim rozmowa.

Z niej dowiedziałem się że ma w oddziale przeszło dwiestu ludzi.

Zapytałem co zamysła robić?

— Sam nie wiem — odpowiedział — Dzielna wiara, ale rekrut, mówiąc między nami. Lecz choćby i stary był żołnierz, co z tak źle uzbrojoną garstką można zrobić?

Szczerłość żołnierska w każdym jego słowie przebijała, czem jak najlepsze zrobił na mnie wrażenie.

Powiedziałem mu o zamiarze moim uderzenia na Rawę, a z uwagi na wiek jego i obawiając się żeby miłość własna nie odegrała tu szkodliwej roli, dodałem:

— Oto masz plan miasta i wykaz sił w niem znajdujących się Moskwy. Złączmy oddziały — weź dowództwo. Młody żołnierz powącha prochu, zyskamy broń i amunicję.

— Mój kolego, jam stary żołnierz, umiem co mi każą wykonać, ale rekrutem miasta zdobywać nie podejmuję się — odpowiedział — Jeżeli pewny jesteś swego, to obejm dowództwo, my słuchać będziemy twoich rozkazów.

— Dobrze.

Przewodników wynaleziono.

Dowództwo nad strzelcami oddałem Sokolowskiemu, nad kosynjerami Śmiechowskiemu,

kawalerję Winnickiemu. Temu ostatniemu poleciłem aby po wyjściu naszym w pół godziny opuścił obóz i stanął pod miastem w punkcie najbliższym koszar moskiewskiej kawalerji, który to punkt wskażą mu przewodnicy.

Posłyszawszy pierwsze strzały nasze w tej chwili uderzyć miał na koszary i najpierw stajnie opanować.

Gdyby Moskale powiadomieni byli o naszym zamiarze, skutkiem czego zastalibyśmy ich przygotowanych na nasze przyjęcie, co by nam niepowodzeniem groziło, nie kazałem mu nawet wchodzić z kawalerją do miasta, lecz aby dwóch lub trzech wysłał na zwiady, a przekonawszy się że jest źle, powrócił do obozu, nie kusząc się o połączenie z piechotą.

Z największym spokojem o godzinie dziesiątej wieczór opuściłem obóz. Szpica złożona z trzech kawalerzystów, których wziąłem z sobą, szła naprzód, za nią awangarda z trzydziestu ludzi, po bokach kilkunastu strzelców rozrzuconych.

O godzinie pół do dwunastej byliśmy pod miastem; noc widna, księżyc w pełni. Koszary piechoty moskiewskiej, na krańcu miasta położone, ukazały się nam po lewej stronie.

Zbliżywszy się do miasta wysłałem sześciu strzelców z przewodnikiem na zwiady. Powróciwszy dali znać że na ulicach miasta spokój, ale w koszarach oświetlono tak na dole, jak i na pierwszym piętrze i że niezwykle tam ruch panuje.

Pomyślałem:

— Wiedzą o naszym zamiarze.

Rozsypawszy w tyraljerkę pierwszą kompanję strzelców, składającą się z 60 ludzi, kazałem im podejść pod koszary; ale nie strzelać dopóki Moskale ich nie zaczepią, lub ja nie dam rozkazu.

Kosynjerów umieściłem za wzgórzem, dobrze ich osłaniającem, w pobliżu po prawej stronie koszar.

Strzelcy stali po lewej stronie, także w pozycji zasłoniętej pagórką. Kazałem im wejść na pagórek. Ledwie wykonali mój rozkaz, Moskale z przygotowanych na ten cel dziur w ścianach budynku ǳali ognia — kule świszcząc przeszły po nad głowami strzelców, nie zrobiwszy im żadnej szkody.

Kazałem im cofnąć się z pagórka.

Tyraljerzy moi zaczęli strzelać do okien i dziur w ścianach. Moskale odpowiadali nie wychylając się z budynku.

Przeszedłem na lewą stronę do kosynjerów i rzekłem do nich:

— Dzieci! Trzeba z niemi skończyć — tu pukalina nie na wiele się przyda. Widzicie te sterty słomy, około wiatraka, stojące blisko stąd; ruszajcie żwawo — każdy niech po jednym lub dwa pęki słomy przyniesie.

Przewodnikowi dodałem kilku kosynjerów aby poszli do miasta i stamtąd przynieśli łączywa i co znajdą łatwego do podpalenia.

Niezadługo kosynjery przynieśli słomę. Ludzie, wysłani do miasta, znieśli łączywo, wióry stolarskie i cieniutkie suche deszczułki.

— Dzieci — zawołałem — niech każdy z was weźmie pęk słomy w jedną a w drugą rękę kosę, i bez zatrzymania się, co który wyskoczyć może, biegnijcie pod koszary! Spalimy tych łotrów, kiedy tchórze boją się wyjść i bić się z nami.

Żwawo ruszyli — ani jeden nie został za wzgórzem.

Strzelców rozpuściłem dowolnie, aby każdy jak będzie mógł ostrożnie podsunął się pod koszary.

Wkrótce wszyscy znaleźliśmy się tuż pod koszarami. Strzały z przygotowanych w ścia-

nach budynku otworów nie raziły nas wcale, stojących tuż pod samemi ścianami koszar.

Kosynjery poodrywali okiennice, okna wybili. Ujrzawszy wewnątrz Moskali, stanąłem bokiem około futryny jednego z okien i zawołałem:

— Poddajcie się, bo każę podpalić was!

Nic nie odpowiadali.

Godlewski, jakby szukał śmierci, stanął w jednym oknie i zaczął wzywać żeby się poddali.

Obaczywszy go Moskale, tak bez żadnej osłony stojącego, dali ognia. Dwie kule pierś mu przeszły.

— Niech żyje Polska! — były ostatnie słowa z całej duszy miłującego ojczyznę młodzieńca.

Stojąc przy drugim oknie, widziałem padającego, słyszałem ostatnie słowa jego.

— Palić! zawołałem — Zabłysły gorejące już na ten cel łuczywa, słoma w około koszar buchnęła płomieniem. Dorzucali deski, wióry — w jednej chwili ogień objął cały drewniany budynek.

Moskale zaczęli wybijać drzwi. Tak się byli silnie z wewnątrz zatarasowali, że teraz wydostać się szybko nie mogli. Wyskakiwali z okien pierwszego i drugiego piętra.

Kosynjery obaczywszy kilku swoich poległych, zaczęli niemilosiernie ciąć Moskali świeżo

wyostrzonemi kosami, nie zważając na ich wołanie o pardon...

Napróżno usiłowałem wstrzymać ich od tego; w zaciekłości nie słyszeli głosu mego, ni komendy. Musiałem zatem zacząć tego płazować, aby ich do opamiętania i posłuszeństwa przyprowadzić, w czem mi Śmiechowski dzielnie dopomógł, jakoż i inni oficerowie. Ledwie udało nam się tym sposobem zapalczywość ich powstrzymać.

Jeden z wziętych przez nas oficerów moskiewskich zapytany dla czego w tak niedołyżny sposób bronili się, odpowiedział że oni ze Skierniewic telegrafowali do Warszawy i Łowicza o pomoc i byli pewni że ta przyjdzie im na czas.

Dowiedziawszy się o tem, opuściłem Rawę o godzinie czwartej rano, zdążając do lasów Skierniewickich, w przeciwną stronę od zajmowanego w pierw przezemnie obozowiska.

Tomasz Winnicki rozbroił kilkunastu kozaków, gdyż reszta uciekła z miasta, i żandarmów. Z tych zabrał do niewoli czterech, na których mieszkańcy Rawy i okoliczni wnieśli oskarżenie że są szpiegami.

Zdobyłem kilkadziesiąt sztuk karabinów, kilkanaście koni, cokolwiek amunicji i białej broni.

Oddział stracił, prócz Godlewskiego, 4 strzelców i 2 kosynjerów zabitych, 11 rannych, między którymi dowódca strzelców Sokołowski. Dzielny ten oficer, widząc śmierć Godlewskiego, skoczył oknem do koszar z pałaszem w rękę i tam przez Moskali bagnietami skłuty, ze trzydzieści ciężkich ran odniósł. Rannych kazałem odwieść do okolicznych wsi. Księdzu w Rawie dałem polecenie aby pogrzebał zabitych.

Kilkunastu mieszczan Rawskich powiększyło oddział.

Młody żołnierz nie posiadał się z radości. Śmiechowski kręcąc węża mówił do kosynjerów :

— Bugry! tęgoście się spisali, ale drugi raz uważać i słuchać — Jak naczelnik każe bić, to bić, ale jak powie sza... to wara!

Lubił go żołnierz, a gdy on ich Bugrami nazywał, który to wyraz był jego przysłowiem, które mu z czasu pobytu we Francji pozostało, oni go też między sobą Bobrem nazywali.

Z kozaków, zabranych w Rawie, zgłosiło się trzech prosząc żeby ich przyjąć do oddziału.

— Co się tak wam podobało u nas, że chcecie służyć?

— Bo my nie russey ludzie, nie prawosławni, odpowiedzieli.

Żeby przekonać o tem, jeden z nich przeżegnał się sposobem przepisany przez kościół rzymski; odmówił przy tem Ojcie nasz łamaną polszczyzną.

— Kto cię tego nauczył?

— Matka moja, bo była katoliczką.

— Ile lat służyliście w moskiewskim wojsku?

— Dziewięć.

— Będąc w wojsku tem przez tyle lat pewno nawykliście do kradzieży, a u mnie za czyn taki kula w łeb.

— Przysięgniemy że tego nie dopuścimy się nigdy.

— Jeżeli tak to dobrze.

Oddałem ich Bajerowi, dowódcy kawalerji, i kazałem wpisać na listę oddziału.

Nazajutrz jeden z nich przyłączony był do rekonesansu, wysłanego w stronę, z której Moskale mogli nadejść.

Oficer, prowadzący rekonesans, dojechawszy do miejsca, do którego dotrzeć miał rozkaz, nie spotkawszy nikogo, wracał z powrotem do obozu.

W drodze zwrócił jego uwagę kozak że na lewo w gęstwinie kręcą się jacyś ludzie.

Oficer zwrócił konia w stronę, gdzie wskazywał kozak, lecz dopatrzeć nie mógł.

Kozak uporceywie twierdził że są.

Wtedy dodawszy mu dwóch ludzi, kazał przekonać się czy istotnie jest kto w lesie?

Gęste krzaki utrudniały pochód koniom. Posiadali więc z koni, a przywiązawszy je do drzewa, pieszo zapuścili się w gęstwinę.

Oddaliwszy się ze dwa tysiące kroków od miejsca, w którym rekonesans się zatrzymał, oskoczeni zostali przez kilkunastu ludzi, uzbrojonych w dubeltówki, którzy zwykłym w takich razach obyczajem żołnierskim, zawołali na nich :

Stój — Kto idzie?

— Polacy, odpowiedzieli — żołnierze z oddziału naczelnika Jeziorańskiego, a wy co za jedni?

— Widety z oddziału Strojnowskiego.

Rozmowę ich głośną i szczeł broni dosłyszał oficer, prowadzący rekonesans ; zsiadł z konia i wzięwszy kilku żołnierzy z sobą, zbliżył się w stronę, z której dochodziły go głosy.

Wkrótce obaczył żołnierzy swoich z ludźmi, w których łatwo domyślił się powstańców.

Kazał im zaprowadzić się do dowódcy, a powróciwszy zdał mi raport o rozmowie z nim.

Nie wiedział z pewnością czy osobiście z dowódcą rozmawiał, czy tylko z jednym z jego oficerów. Tenże zapytał go: Skąd przybywa? Wielu ma ludzi? Jak dawno i skąd przybył

nasz oddział? W końcu kazał mu pozdrowić mnie i wracać do oddziału.

Wiedząc że w dwie godziny po wyjściu mojem z Rawy przyszło tam wojsko z Warszawy i Łowicza, pewny byłem że nie zastawszy mnie tam, będą śledzić gdzie się znajduję? Zważwszy to niepodobna mi było długo pozostać w pobliżu Rawy.

Szukając oddziału mego mogli trafić na oddział Strojnowskiego. Aby go uratować od zguby, za obowiązek mój uważałem zawiadomić go o tem.

W tym celu wzięwszy z sobą za przewodnika tego samego kozaka, w towarzystwie Winnickiego, gdy zmierzch zapadł udałem się do obozu Strojnowskiego.

Śmiechowskiemu dałem rozkaz żeby żołnierz gotowy do marszu czekał na mój powrót.

Dojechawszy do rozstawionych widet Strojnowskiego, kazałem żeby mnie do niego zaprowadzono.

Przy roznieconem ognisku, wśród gęstego lasu, siedział szczupły średniego wzrostu mężczyzna. Był to Strojnowski, oficer wojska rosyjskiego, obecnie naczelnik powstańczego oddziału.

Powiedziałem mu kto jestem, a gdy go ostrzegłem o grożącym oddziałowi jego niebezpieczeństwie, zarozumiale odpowiedział mi na to:

— Pozycja, którą zajmuję, jest naturalną twierdzą. Nawet kusić się Moskale nie będą aby ją zdobyć.

— Nie przeczę że pozycja, jaką pan zająłeś, jest silna, odrzekłem; ale Moskale nie potrzebują jej zdobywać, obsaczają obóz wasz, a pewny jestem że żywności na więcej jak trzy dni nie masz dla swych ludzi. Bez szturmów więc będziesz zmuszony opuścić tę twierdzę — poddać się lub przyjąć nierówną walkę.

— Ja miałbym się poddać! Tego nigdy nie zrobię. Moim kosztem sformowałem oddział, dodał z przechwałką. Czy będzie dużo Moskali to rzecz niepewna, a i w takim razie nie oni mnie, ale ja im dam się we znaki?

— Dopełniłem mego obowiązku, odrzekłem, zawiadomiwszy pana o grożącym niebezpieczeństwie, na które powtórnie zwracam Jego uwagę. Ja z oddziałem moim tej nocy opuszczę te strony.

W obozie Strojnowskiego pierwszy raz widziałem Józefa Lenieckiego, także b. oficera wojsk moskiewskich, który później był w oddziale

moim. Był to jeden z najdzielniejszych oficerów powstania 1863 roku.

Powróciwszy do obozu zastałem oddział gotów do wymarszu. Nie tracąc czasu w nocy dnia 2. lutego opuściłem obozowisko, kierując się w stronę Przedborza.

W marszu dnia 3. lutego spotkał nas obywatel G... który wiozł do mnie pismo Rządu Narodowego następującej osnowy: -

„Do obywatela Antoniego Jeziorańskiego, naczelnika siły zbrojnej powiatu Rawskiego!“

„Świetne zwycięstwo twoje doszło do wiadomości naszej—niem radością przejęte są serca nasze“.

„Na całym obszarze Polski wre walka — Bóg z wami!...“

„Niniejszem pismem mianujemy cię pułkownikiem wojsk powstańczych“.

„Oficerów, których nominowałeś, potwierdzimy; żądamy przysłania ich nazwisk. Żądamy także obszernego raportu zczynności twoich, jak najmniej dokładnej wiadomości o sile twego oddziału.“

W odpowiedzi przesłałem raport następujący:

Nr. 2. Dnia 3. Lutego 1863.

Do Rządu Narodowego!

Jestem w marszu — Obszerniejszego raportu w tej chwili nie przesyłam. Załączam listę ofi-

cerów do potwierdzenia, nadmieniając że Józefa Śmiechowskiego uważam za konieczne potwierdzić w stopniu pułkownika.

Żołnierz obdarty, obuwia brak—udaje się w stronę, gdzie spodziewam się go przyodziać, Mimo tego zdrowie i humor żołnierza dobry.

A. Jeziorański.

Dnia 4. lutego z oddziałem moim przybyłem do Przedborza — miasta przeważnie zamieszkałego przez starozakonnych. W tem mieście miałem nadzieję ubrać żołnierza w ciepłą odzież.

W tym celu zwołałem starszyznę kahału — przedstawiłem im wspólność sprawy, niedoli.

Żądałem aby mi dostarczyli 200 kożuchów, 130 par butów, bielizny dość znaczną ilość, za co zobowiązałem się po cenach, jakie mi przedłożą, bezzwłocznie zapłacić.

Nazajutrz dostarczyli mi żądanych przedmiotów ilość zażądaną.

Zapytani o cenę, odpowiedzieli:

— Pieniądzy za dostarczony towar nie przyjmujemy. Dajemy go w darze od Izraelitów Przedborza.

Checiałem im dać kwit, aby nim zapłacili podatek Rządowi Narodowemu—i tego przyjąć nie

chcieli. Prośli mię abym o tem nadmienił Rządowi Narodowemu, dodając:

— Niech on trzyma z nami. Jeżeli sprawa da Bóg skończy się dobrze, niech prawa, jakie nam obiecali, dotrzymane będą.

Dnia 7. lutego rano dano mi znać że do Przedborza zbliża się wojsko rosyjskie. Mogłem stoczyć z niem bitwę, ale przez wzgląd na miasto, które być mogło przy spotkaniu narażone na straty, a może na pożar, któryby je zniszczył zupełnie, wymaszerowałem przed samem przybyciem wojska moskiewskiego, tak że kiedy ich awangarda wchodziła do miasta, arjergarda oddziału mego opuszczała je.

Na upatrzoną wpierw pozycję, znajdującą się o pół mili po lewej stronie, chciałem sprowadzić Moskali.

Domyślili się mego zamiaru. Wysłali za oddziałem moim na rekonesans kozaków—sami pozostali w Przedborzu.

Dnia 8. lutego żołnierz, ubrany ciepło, wypoczęty, maszerował ochoczo w stronę Studzianny.

O godzinie 11 rano wszedłem do wsi Lubochni, położonej na wzgórzu. Zabudowania folwarczne, ogrodzone wysokim murem, dają jej pozór dawniejszych zamków warownych. Tam

postanowiłem wypocząć żołnierzowi, zgotować jedzenie i nakarmić konie.

W tym celu z oddziałem wszedłem w zagrodzone mury folwarczne. We dworze właściciela wsi nie było, zastępował go rządcą, Niemiec.

Na pozór grzecznie nas przyjął, ale wymawiał się, pomimo że z góry zobowiązałem się za wszystko płacić, że nie wiele ma czemby mógł oddziałowi służyć.

— Jedzenie dla żołnierza mam, rzekłem, ale dasz mi pan owsa dla koni?

— Nie mam ani jednego ziarna.

Służąca go zdradziła, szepnąwszy jednemu z kawalerzystów że na górze w szpichlerzu znajduje się duży zapas owsa.

Gdym się o tem dowiedział, kazałem żołnierzom aby poszli i sami sobie wzięli.

Zgromiłem go za to—Niemczysko wymawiał się że zrobił to z obawy przed panem swoim, który jest bardzo skąpy.

Łotr ten wysłał do Przedborza umyślnego posłańca aby dał znać Moskałom że z oddziałem jestem u niego.

Posłaniec w drodze spotkał wojsko moskiewskie, które zawiadomione przez niego, pospiesznym marszem zdążyło do Lubochni.

Żyd z Przedborza zawiadomił mię o tem, jakoteż o sile ich. Mieli jeden szwadron dragonów, sotnię kozaków, 4 kompanje piechoty i dwa działa, co razem czyniło przeszło tysiąc ludzi.

Wysłałem rekonesans kawalerji. Wkrótce wrócił dając znać że Moskale już są blisko.

Kazałem oddziałowi, który już się posilił, by był gotów do spotkania się z nieprzyjacielem.

Obstawiwszy dokoła z wewnątrz mur wozami, drabinami i innemi sprzętami, jakie na ten cel stosowne mi się nadarzyły, kazałem strzelcom wleść na nie, ale tak żeby z zewnątrz nie mogli być dostrzeżeni.

Bramy kazałem pootwierać, ogniska zasilić drzewem; wszystkiemu nadać pozór zaniedbania, jakbym nie wiedział że Moskale nadciągają.

Zamiar mój wprowadzenia w błąd nieprzyjaciela powiódł się.

Oszukany pozorem zaniedbania, dowódzca ich pewny był że znalazł nas nieprzygotowanych. Dał rozkaz kawalerji aby ta co koń wyskoczy wpadła przez otwarte bramy na dziedziniec folwarczny, pewny że wprowadzi nią obóz w zamieszanie, a piechota resztę zwycięstwa dokona.

Gdy kawalerja nieprzyjacielska znajdowała się nie więcej jak o trzydzieści kroków od murów folwarcznych, za danym znakiem strzelcy moi dali do niej ognia; kilkunastu kawalerzystów zsunęło się z koni — reszta zmieszana zaczęła w nieładzie uciekać.

W pogotowiu będąca kawalerja moja poszła w pogoń za nimi.

Dałem rozkaz strzelcom jedną, a kosynjerom drugą bramą wychodzić z folwarku.

Sam dosiadłszy konia galopem ruszyłem za kawalerją, aby ją wstrzymać od za dalekiego zapędzania się za nieprzyjacielem, poczem wróciłem do piechoty.

Wstrzymana kawalerja pod dowództwem Bajera rozciągnęła linię flankierów tak dokładnie i szybko, jak stary żołnierz nie w boju, ale na paradzie nie powstydziliby się.

Śmiechowski rozciągnął linię tyraljerów wzdłuż drogi; porządek w kolumnach piechoty wzorowo był zachowany.

Nieprzyjaciel nie postępował ku nam, lecz stał na pozycji; artylerja jego dała do nas ognia, który nie wyrządził nam żadnej straty.

Moskale mieli silną pozycję; centrum ich stało na pochyłym wzgórzu oparte o las, prawe skrzydło dotykało skalistych pagórków, lewe lasu.

Nie uważałem za stosowne atakować ich na tem stanowisku; sądziłem że oni mnie będą atakowali.

Oslaniając odwrót mój kawalerją i linją tyraljerów, zwolna rejterowałem na pozycję, znajdującą się o pół mili w bok folwarku, wpierv przezemnie upatrzoną.

Nie umiałem wytłómaczyć sobie postępowania Moskali, że zamiast atakować mnie, mając tak przeważne siły, zaczęli odwrót i to dość pospieszny.

Zmuszeni byli do tego, jak się dopiero w lesie dowiedziałem, atakiem strzelców z okolicznych lasów rządowych, którzy zdążając do mego oddziału, natrafiwszy na chwilę bitwy, zaatakowali z tyłu Moskali.

O tej potyczce umieścili Moskale w rządowym Dzienniku takie sprawozdanie:

„Dnia 8. lutego b. r. banda pod dowództwem Jeziorańskiego pod wsią Lubochnią zaatakowaną została przez wojska nasze. Poniósłszy znaczne straty rozprószoną została.

„Straty nasze 7 kawalerzystów zabitych, 4 rannych.“

Z oddziału mego w tej potyczce poległ jeden kawalerzysta Jaszowski, syn obywatela z okolic Warszawy. Ścigając kawalerję rosyjską nie

mógł powstrzymać pod sobą konia, ten nniósł go w szeregi nieprzyjacielskie, a dragoni pałaszami go zarabali.

W lesie, oddalonym o dwie mile od wsi Lubochni, stanąłem obozem.

Wiatr zachodni, śnieg pruszy, powietrze przykre, mimo tego w obozie wesoło i gwarno.

Kosynjery tną gałęzie w lesie, stawiają z nich szałas; inni rozniecają ogniska lub noszą wodę, w kotłach gotuje się rosół.

W jednym z takich szałasów, nieopodal od mego, umieścił się Śmiechowski. W koło ogniska, palącego się przed nim, licznie zebrani oficerowie i młodzież żywą prowadzą rozmowę o świeżo minionej potyczce.

Pełen humoru żołnierskiego Śmiechowski przeplata rozmowę żartami, które do wesołości podniecają:

— Wierzcie mi, rzekł, wiem to z doświadczenia że do wszystkiego potrzeba szczęścia, a w wojnie ono najwięcej popłaca — nie brak go naszemu naczelnikowi i żeby z przeziębienia nie zachorował, zanieście mu szklanę herbaty.

W chwili gdy to wypełniono, przed ogniskiem około mego baraku siedział Winnicki. Przypominał mi właśnie że trzeba posłać raport z czynności naszych Rządowi Narodowemu, do-

dając że na posłańca ma już pewnego człowieka.

— To prawda, odrzekłem, ale żebyś ty wiedział jak mi trudno myśleć o tem, co już minęło! W wojnie, jaką prowadzimy, każda chwila może coś nowego przynieść. Silić się na zdawanie raportów trudno mi — mógłbyś mię w tem wyreczyć.

— Dobrze; uczynię to, dla tego żeby ci milczenia twego nie wzięto za lekceważenie.

— Od jednego kłopotu zwolniłeś mnie—zajmij że się i drugim, dodałem. Z tymi żandarmami, wziętymi w Rawie, trzeba coś zrobić. Trzymać ich pod ciągłą strażą niepodobna; męczymy tem niepotrzebnie naszych żołnierzy.

— Niepodobna jest ich uwolnić. Mogliby denuncjować obywateli przyjeżdżających do naszego obozu. Aby zwolnić żołnierza, oddam ich pod straż przywykłą do takich czynności. Mamy tu w obozie ludzi, należących do organizacji policji narodowej; ci będą sobie umieli z nimi poradzić.

Nazajutrz opuściłem obozowisko, kierując się w stronę Studzianny.

Choć miałem bliższą drogę, skierowałem marsz na Lubochnię, aby wstąpić na folwark do rządcy Niemca.

Łotr ten przyjął nas z nadskakiwaniem; wszystko znalazło się w jednej chwili dla oddziału.

Jednakże nie zwalniało go to od winy że zawiadomił potajemnie Moskali o bytności oddziału.

Przed wymarszem zawiadomiłem go żeby był w pogotowiu pójść z nami i aby więcej przestraszyć Niemca, oddałem go pod straż arjergardy.

Nazajutrz oficer służbowy przy raporcie zameldował mi prośbę Niemca, że chce się widzieć ze mną.

Kazałem go przyprowadzić. Tłómaczył się że zrobił to jedynie z obawy; gdyż Moskale, dowiedziawszy się sami że oddział był u niego, spaliliby byli folwark, za niewypełnienie w tym względzie wydanego przez nich rozporządzenia.

Wiedziałem że Moskale w ten sposób postępują; dałem mu zatem taką radę że jeżeli chce uniknąć odpowiedzialności, tak przed jedną jak i drugą stroną, niech powie naczelnikowi oddziału o konieczności zawiadomienia Moskali, a ten będzie już wiedział jak się do tego zastosować.

Zaprzysiągł że nadal nie dopuści się już czegoś podobnego. Uwolniłem go — czy przysięgi dotrzymał nie wiem?

Dnia 10. lutego stanąłem obozem w Stuziannie. Siły oddziału mego wynosiły 466 strzelców, 197 kawalerji, 212 kosynjerów, razem 885 ludzi.

W tem miejscu zaczęli się ściągać do mnie rozbitki z rozmaitych oddziałów. Między innymi przybył Józef Leniecki z kilku ludźmi oddziału Strojnowskiego, tego samego, który nie słuchając rady mojej, sam ciężko ranny został, a oddział jego poszedł w rozsypkę. Wielu wzięli Moskale do niewoli.

Nie robiłem Lenieckiemu żadnych wymówek, ani przypominałem chwili spotkania w lasach Skierniewickich. Oddałem mu kompanję strzelców, którą zaszczytnie prowadził. Później odznaczwszy się osobistą odwagą, doszedł stopnia pułkownika a serdeczna koleżeńskość jego zjednała mu przyjaźń powszechną.

Powiększanie się codzienne mego oddziału wymagało pozostania jakiś czas w tem miejscu, dla zorganizowania go w sposób odpowiedni. Musiałem rozdzielić go na mniejsze oddziały, do czego zniewala w wojnie partyzanckiej trudność bez magazynów wyżywienia żołnierza.

Dnia 11. lutego z fabryk Olkuskich dostarczono mi 2 armaty i 1 śmigownicę. Nie na wiele one przydać mi się mogły; jednakże straszyć

można było niemi Moskali, a młodemu żołnierzowi dodać otuchy.

Oddałem je kapitanowi artylerji Wiercińskiemu. Dobrał sobie ludzi, którzy służyli już w tej broni — oddział mój powiększył się jedną bronią więcej.

Dnia 12. lutego na wzgórzach, otaczających Studzianę, pokazali się kozacy. Wiedząc że w okolicy nieprzyjaciel nie posiada dostatecznych sił do atakowania mnie, nie poruszałem obozu, pewny będąc że to tylko rekonesans, wysłany dla śledzenia powstańców.

Obyczajem kozaków zaczęli do nas strzelać z odległości, z której nie mogli wyrządzić nam żadnej szkody.

Dałem rozkaz kawalerji aby niepostrzeżona przez nich podsunęła się pod górę, na której się znajdowali, a następnie rozdzieliwszy się na dwie części, naraz ich zaatakowała.

Kozacy gdy obaczyli z dwóch stron zachodzącą im kawalerję, bezładnie uciekać zaczęli — kilku mając gorsze konie, nie zdołało uciec; dwóch od strzałów kawalerji spadło z koni, które kawalerja moja przyprowadziła z sobą do obozu.

Dnia 18. lutego zorganizowawszy oddział opuściłem Studzianę, marsz mój kierując w stronę Kielec.

Gdym był w marszu, spotkał nas obywatel K..., spieszący do oddziału mego z darem od pań województwa Radomskiego. Był to sztandar dla kawalerji, pięknie robiony; dla mnie czapka z szafirowego aksamitu, obszyta siwym barankiem i szarfa trójkolorowa. Czapkę zdobił orzełek misternie szyty srebrem na polu czerwonym.

Przyłączonych do tego kilka serdecznych słów, wyrażających sympatję i wdzięczność Polek, było drogą dla mnie trudów nagrodą.

Upominki te wśród rozmaitych niebezpieczeństw udało mi się zachować i do dziś znajdują się w mojem ręku.

Dnia 19. lutego przybyłem do Radkowa. Tutaj, po nieudalym szturmie na Miechów, wielu żołnierzy z oddziału Kurowskiego zaczęło do mnie przybywać.

W Radkowie, chociaż sam właściciel Rudolf Życiński osobiście nie był obecny, zastaliśmy wszystko przygotowane dla nas obficie.

Włościanie tamtejsi wyszli gromadnie na powitanie nasze i przyjęli nas okrzykiem: Niech żyje Polska! Gdy chciałem odczytać im manifest Rządu Narodowego, wójt oświadczył mi że go już znają.

Była to chwila wzniosła—dodająca otuchy, wlewająca nadzieję że powstanie pomyślnym dla Polski uwieńczone zostanie skutkiem!

Dnia 20. lutego przybył do obozu mego w nocy młody człowiek Michał Starzyński, z zawiadomieniem że w lasach Żarnowskich, odległych o dwie mile od mego obozu, znajduje się oddział, złożony blisko z 200 ludzi, zostający pod dowództwem Nowaka, obsaczony z wszystkich stron przez Moskali i żądał dla niego skutecznej pomocy.

Bezwzględnie dałem rozkaz oddziałowi, złożonemu z 400 ludzi piechoty, dodawszy mu 20 koni kawalerji, aby dotarł do Żarnowieckich lasów pod dowództwem Śmiechowskiego.

Nad ranem wysłałem kawalerję w sile 60 koni, pod dowództwem Bajera, dając jej za przewodnika przybyłego z obozu Starzyńskiego, aby maszerowała do obozu Nowaka.

Piechota, wysłana pod dowództwem Śmiechowskiego, spotkała pod Żarnowem pikiety moskiewskie, które bez strzału zrejterowały do wsi. Śmiechowski posunął się tamże za nimi, lecz Moskale już byli wieś opuścili.

Rekonesanse, złożone z kawalerji, wysłane z obozu w stronę Żarnowca, zdawały mi raporta.

Oddział Nowaka miał już otwartą drogę. Zposłaną mu przezemnie kawalerją maszerującą przez Żarnowiec, Słupię, przybył do mego obozu.

Nowak w imieniu oddziału oświadczył chęć przyłączenia się i pozostania pod mojem dowództwem.

Oddział Śmiechowskiego, zawiadomiony o przybyciu Nowaka, nie mając rozkazu ścigania Moskali, powrócił wkrótce do obozu.

Całemu memu oddziałowi kazałem stanąć pod broń; w środku postawiłem przybyłych i zapytałem ich czy mają ochotę służyć ojczyźnie pod mojem dowództwem?

Odpowiedzieli okrzykiem radości.

— Jeżeli tak, to zwyczajem, przyjętym w oddziale moim, wykonacie przysięgę że wiernie służyć będziecie ojczyźnie.

Ksiądz Grzywaczewski, kapelan oddziału, przybrany w komnę, z krzyżem w ręku, odebrał od nich przysięgę.

Przybyły oddział składał się z pięknej młodzieży — dzielnych zuchów, całą duszą oddanych sprawie powstania. Pomiedzy nimi znajdował się Wiktor Wiśniewski, obywatel z Galicji.

Tego jeszcze dnia z Radkowa przeniosłem obóz do Ropocic, własności Józefa Nowakowskiego, mego siostrzana, położonej w odległości niespełna mili od Małogoszczy. Skłoniły mię do tego obszerne lasy Ropockie, pozycja dobra, przytem zbliżenie się do Kiele, na które

zamierzałem uderzyć, mając nadzieję zdobycia tam broni, amunicji, tudzież innych potrzeb wojskowych, jako to: sukna i obuwia, których tam były znaczne składy.

Nie mając dostatecznych doniesień o sile Moskali w Kielcach, ani planu sytuacyjnego tego miasta, starałem się przez organizację tamtejszą i przez moich szpiegów o tem wywiedzieć.

Faint, illegible text at the top of the page, possibly bleed-through from the reverse side.

DZIAŁ IX.

Jen. Langiewicz.



INDEX

for English

Drogą od Małogoszczy ku obozowi mojemu toczyła się bryczka, na niej siedział niski mężczyzna, w szaraczkowej krótkiej czamarze, podbitej barankami czarnemi, w okularach niebieskich — pałasz miał niedbale przypięty, rewolwer na sznurku koło szyi zawieszony, zatknięty za pasek rzemienny. Przy nim siedział ksiądz o głowę wyższy; na przodzie bryczki młodzieniec, w układnie na bakier włożonej krakowskiej czapeczce.

Bryczka stanęła przed moim szałasem.

Mężczyzna w okularach przedstawił mi się jako generał Langiewicz. Ksiądz jako naczelnik cywilny województwa Krakowskiego, a młodzieniec w zgrabnie włożonej czapeczce był adju-

tantem jen. Langiewicza — panna Henryka Pustowojtówna przebrana po męsku.

Zdziwienie i nieufność widocznie dostrzegł na twarzy mojej Langiewicz, bo wyjąwszy z kieszeni nominację Rządu Narodowego na generała podał mi ją.

— Skąd generał przybywa? — zapytałem po przeczytaniu, oddając mu kartę.

— Z gór ś-to Krzyskich — a oddział mój obecnie znajduje się w Małogoszczy. A twój kolego jak liczny?

— W tej chwili dokładnie nie umiem powiedzieć. Dziś przybył mi dość znaczny oddział i co chwila przybywają żołnierze z oddziałów rozbitych.

— Ale przecie?

— Mam z górą tysiąc ludzi.

— Jak uzbrojonych?

— Nie szczególnie — prócz kilkudziesięciu karabinów z bagnetami, reszta piechoty ma myśliwską broń. Kosynjerów znaczna jest także liczba; kawalerja najlepsza, bo ma dobre konie, pałasze i każdy z nich jeżeli nie rewolwer, to ma dubeltówkę.

— Przyjechałem tu — rzekł dalej Langiewicz — abyś oddział twój połączył z moim, bo każdy z nas z osobna nie wiele dokaże.

— A jak liczny i jak uzbrojony jest oddział stojący w Małogoszczy?

— Jak teraz oddział mój nie liczy więcej jak 800 ludzi; jednakże gdy ściągnę siły z całego województwa, będę miał dosyć aby z niego wypędzić Moskali.

— Nie sędzę aby zamiar ten dał się wykonać.

— Dla czego?

— Najważniejszym powodem jest złe uzbrojenie naszych żołnierzy. Nie mamy magazynów, bez czego niepodobna będzie wyżywić liczniejszych sił, zgromadzonych w jednym punkcie. Dla tego nie uważam za rzecz korzystną połączyć nasze oddziały.

Na to odezwała się panna Pustowojtówna:

— Jenerał Langiewicz ma prawo wszystkimi siłami, znajdującymi się w tem województwie, rozporządzać według swego uznania.

Spojrzałem na nią surowo, zapewne zgromiłbym, gdyby... nie była kobietą. Uśmiechnąwszy się odpowiedziałem jej że nie jestem o tem drogą właściwą zawiadomiony.

Książd Kotkowski wy dobył i podał mi, widocznie na ten cel już przywieziony, rozkaz Rządu Narodowego: „Oddziały, wkraczające w które bądź województwo, winny poddać się pod rozkazy naczelnika sił zbrojnych tegoż województwa.“

— Rozkaz jest jasny, odpowiedziałem. Nie sądzę jednakże aby ten okólnik wszędzie i w każdym wypadku dał się zastosować korzystnie, zwracam przeto uwagę twoją, jenerale, na to, co już wpierw mówiłem, a w każdym razie wykonam rozkaz Rządu Narodowego nie biorąc odpowiedzialności za skutki.

— Za skutki ja biorę odpowiedzialność na siebie — rzekł Langiewicz dając mi przez to do zrozumienia jakoby był członkiem Rządu.

— Jeżeli tak, to nie mamy w tej sprawie więcej co mówić. Oddział mój jest na twoje rozkazy, jenerale.

Książd Kotkowski poważnie, potakująco, skinął głową.

Langiewicz ściskając mi rękę, rzekł:

— Jadę do Małogoszczy; tam czekam na ciebie i twój oddział.

Adjutant Langiewicza pożegnał mię uprzejmym uśmiechem.

Oddziałowi dałem rozkaz do bezzwłocznego wymarszu, zawiadomiwszy go że pójdziemy do Małogoszczy, i ze stojącym tam oddziałem jenerała Langiewicza połączymy się, aby wspólnymi siłami bić wroga.

Podczas gdy oddział przygotowywał się do wymarszu, Winnicki rzekł do mnie:

— Z rozmowy twej z Langiewiczem nie zda-
wało mi się żebyś tak, jak oznajmiłeś oddzia-
łowi, różowo na kwestję połączenia obu oddzia-
łów się zapatrywał.

— W jakichkolwiek kolorach widziałbym to
połączenie, do żołnierza inaczej mówić mi nie
wypada, odrzekłem.

— Jeżeli sądzisz że z połączenia oddziałów
złe wynikną następstwa, dla czego to robisz?

— Stosuję się do rozkazu Rządu Narodowego.

— Ależ rozkaz, który ci pokazano, inaczej
trzeba rozumieć. Odnosić się on jedynie może
do oddziałów, które przed znaczniejszymi siłami
nieprzyjaciela chroniąc się, wejdą w wojewódz-
two, do którego nie należą.

— Być to może; ale rozkazy powinny być pi-
sane jasno, a żołnierz winien słuchać ich, nie
czyniąc żadnych nad nimi uwag.

Otoczony licznym sztabem, na gniadym ro-
słym koniu, o wiorstwę przed Małogoszczą spotkał
nas Langiewicz.

Kazałem stanąć oddziałowi. Langiewicz prze-
jeżdżał szeregi — żołnierze prezentując broń wi-
tali go głośnie: Hura!

Gdy oddział wchodził do miasta oficer ze
sztabu Langiewicza, wskazując na wzgórze, cią-

gnące się około cmentarza, rzekł aby na nim oddział się zatrzymał.

Oddział mój pomaszerował ku wskazanemu miejscu, a ja zawiadomiony przez Langiewicza że w mieście stoi pod bronią jego oddział i czeka aby mnie powitać, pojechałem w miasto.

Na rynku stał oddział Langiewicza, uszykowany w czworobok, w którego środek umyślnie zrobioną wjechaliśmy luką, witani przez żołnierzy głośnem Hura!...

Znalazłem w szeregach wielu znajomych; między nimi Dąbrowskiego, byłego oficera artylerji pruskiej. Ten z przyzwolenia Langiewicza natychmiast udał się do oddziału mego i objął dowództwo nad artylerją.

Pożegnałem oddział. Zapraszał mię Langiewicz żebym razem z nim na plebanji stanął na kwaterze.

— Przyzwyczajony jestem mieć kwaterę obok mego żołnierza — odrzekłem, chcąc mu przez to dać do zrozumienia że żołnierz jego rozkwaterowany w mieście, gdy mój w gołym polu marznie.

Pożegnawszy go, z Mieczkowskim i kozakiem powróciłem do obozu.

Żołnierze, nazbierawszy suchych gałęzi, rozniecili małe ogniska — rozdano im chleb; w kotłach gotowali kartofle.

Śmiechowskiego humor zwykły opuścił. Zbliżywszy się do mnie zapytał:

— Jak się naczelnikowi podobał oddział Langiewicza?

— Co się ma podobać? — Gorzej uzbrojony od naszego.

— Ale kwatery mają w mieście — nam na tem wzgórzu djabło dokucza wiatr; po wodę chodzić muszą aż do miasta.

— Cóż robić? Musiał mieć Langiewicz przyczynę że tu nas postawił.

Rozmowę naszą przerwali Trąbczyński i kapitan Pióro, przysłani przez Langiewicza z prośbą abym w ważnym interesie udał się do niego.

Na plebanji w kwaterze Langiewicza zastałem stół nakryty, na nim dokoła poustawiane talerze — samowar kipiał, a w około niego sztab licznie zebrany.

Po przywitaniu wziął mię Langiewicz pod rękę i poprowadził do przyległego pokoju. Z nami weszli: Ks. Kotkowski, pułk. Czachowski, pułk. Ulatowski — Trąbczyński i Lewkowicz, sekretarze sztabu i kilku innych.

— Prosiłem cię kolego — rzekł Langiewicz — na radę wojenną.

— Chętnie służę, ale zrobię cię uważnym że w oddziale moim znajdują się oficerowie, których obecność na niej może być pożyteczną.

— Którzy?

— Pułkownik Śmiechowski i Winnicki.

— Panie Lewkowicz, proszę tych panów prosić.

A zwracając się do mnie, rzekł:

— My możemy tymczasem ogrzać się herbatą.

Nie za długo przybył Śmiechowski i Winnicki.

Oznajmiwszy im powód wezwania, tak rozpoczął Langiewicz:

— Daliśmy kilkakrotnie dobrą nauczkę Moskałom; po niej nie prędko odważą się nas zaczepić. Mamy przeto czas do zgromadzenia większych sił i stosownego ich zorganizowania.

Odpowiedziałem na to:

— Sądząc z wiadomości, jakie otrzymałem, rzecz się ma inaczej — Moskale ściągają siły z Kielc, Jędrzejowa i Chęcina, aby na nas uderzyć.

— Langiewicz: Wiadomości o ruchach tych pochodzą zapewne od tych, którzy by chcieli jak najprędzej pozbyć się nas z tej okolicy.

— Nie zwykłem w czasie wojny z wątpliwych źródeł czerpać wiadomości. Pewny jestem że najdalej za 48 godzin Moskale połączonymi zaatakują nas siłami, którym w kotlinie, w jakiej

znajduje się Małogoszcza, trudno nam będzie stawić opór.

— Pułk. Czachowski: Jeżeli wiadomości, jakie masz, są prawdziwe, jaka twoja rada?

— Rozdzielić siły nasze co najmniej na cztery części; to nam ułatwi wyżywienie żołnierza i rozbudzimy przez to większy ruch powstańczy w kraju. W każdym razie lepiej na tem wyjdziemy, bo unikniemy niechybnej klęski. Z bronią, w jaką żołnierz nasz jest zaopatrzony, jedynie wojnę partyzancką z korzyścią możemy prowadzić.

— Langiewicz: Nasz plan jest bić Moskali. Ażeby ich bić, stworzyć muszę armję, a nie bawić się w lataninę partyzancką.

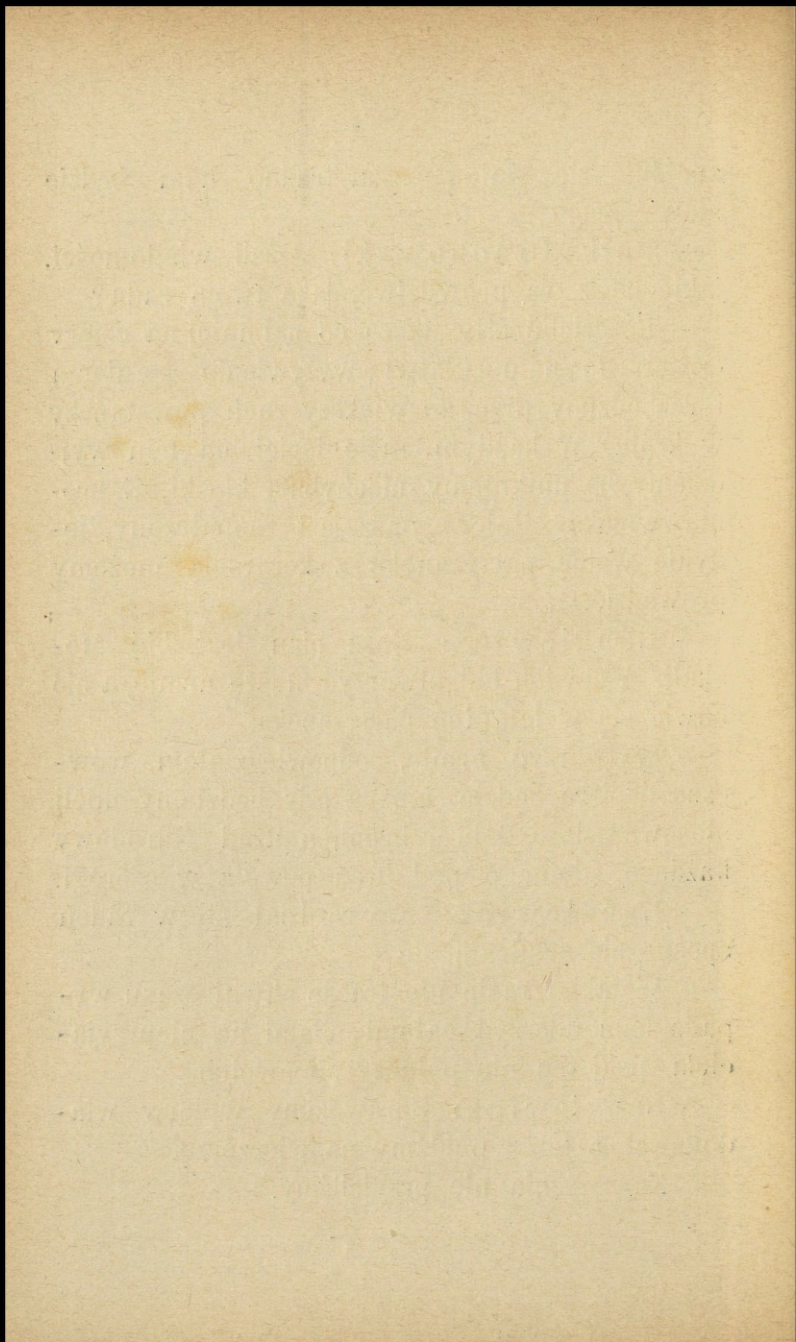
— Wytworzyć armję, odpowiedziałem, wówczas dopiero będzie można gdy będziemy mieli stosowną ilość dobrej broni, a Rząd Narodowy każdego zdolnego pod broń powoła w szeregi.

— Langiewicz: Na rozdział sił w żaden sposób nie zgadzam się.

— W takim razie nie tracąc chwili czasu wypadła nam uderzyć całemi siłami na nieprzyjaciela, póki ten nie połączy sił swoich.

— Langiewicz: Sprawdzimy wpierw wiadomości, a teraz pójdźmy na wieczerzę.

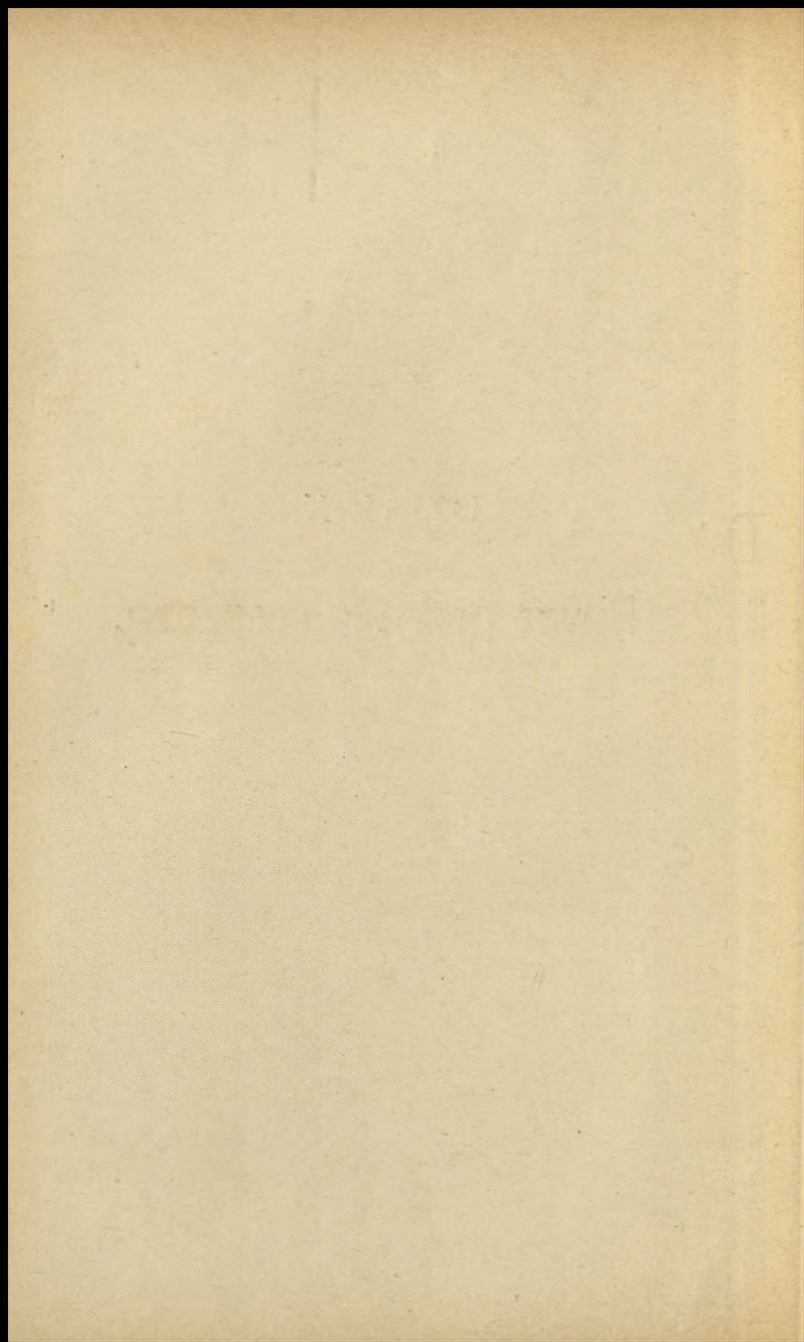
Zaproszenia nie przyjęliśmy.



DZIAŁ X.

Bitwa pod Małogoszczą.

— 109 —



Dnia 23. lutego oddział mój stał na tem samem miejscu. Pułk. Czachowski przyszedł do mnie. Z rozmowy z nim poznać mogłem że nie wiele pokłada zaufania, przy warunkach i środkach, jakie posiadamy, w zdolności Langiewicza do prowadzenia wojny.

Aby rozmowy naszej kto nie podsłuchał oddaliliśmy się od obozu. Uszedłszy kilkadziesiąt kroków ujrzelśmy Langiewicza, idącego ku nam z kilku oficerami.

Zbliżywszy się, po przywitaniu, rzekł do mnie :
— Właśnie szliśmy do ciebie, ale dobrze że cię tu spotykam. Pójdź ze mną na plebanję, bo czuję się nie zdrów, a wiatr przykry na dworze.

W drodze ku plebanji mówił że poczynił kroki aby dostać pewnych wiadomości o ruchach Moskali.

— W każdym razie, dodał, nie skłonią mnie one do opuszczenia Małogoszczy.

— Im prędzej to zrobisz tem lepiej, odrzekłem.

Na plebanji zastaliśmy wozy z chlebem, z których dopilnowałem aby kilka wysłano do mego oddziału.

Między oficerami Langiewicza czułem się obcy. To też nie długo zabawiwszy na plebanji wróciłem do oddziału.

Dnia 24. lutego rano przyszło kilku oficerów prosiąc w imieniu Langiewicza oficerów mego oddziału na herbatę.

Nie wielu przyjęło to zaproszenie. Śmiechowski pokazując na brodę, niegoloną już od tygodnia, śmiejąc się powiedział:

— Ja tam nie pójdę — mógłbym się któremu z adjutantów nie podobać...

Zaledwie weszliśmy w przedsionek plebanji, zajechała na podwórzu bryczka, a siedząca na niej panna Elżbieta Stodolnicka, wystraszona, wołała że Moskale z wszystkich stron nas otaczają, i że ledwie uciec mogła przed ścigającymi ją kozakami.

Nastąpiło zamieszanie, nieład, wołanie o konie dla Langiewicza i sztabu, szcęk broni, bieganina, chaos nieopisany.

— Idę do oddziału — rzekłem do Langiewicza — strzelców przyszę do miasta.

O kilkanaście kroków od plebanji spotkałiśmy kozaka. Prowadził konie dla mnie i Winnickiego.

Oddział zastałem gotowy do wymarszu.

Dałem rozkaz bataljonowi strzelców, pod dowództwem Grudzińskiego, aby bezzwłocznie udał się do miasta od lewej strony i starał się powstrzymać Moskali, chcących tą stroną wejść do miasta.

Gdyby ich wyparto z pozycji, kazałem aby jak można najpowolniej rejterowali za miasto na góry, znajdujące się po tej samej stronie.

Kosynjerom kazałem podejść pod miasto i tworzyć rezerwę bataljonu Grudzińskiego.

Artylerję i kawalerję zostawiłem w miejscu, rozkazawszy aby wysłano patrole, które by dawały znać o postępie bitwy. W razie niebezpieczeństwa, jeżeli by nie otrzymali innego rozkazu, poleciłem żeby rejterowali na lewo w góry za miastem się ciągnące.

Piechota pod dowództwem Śmiechowskiego weszła w środek miasta. Już w niem Moskale się znajdowali. Rozrzucone w tyraljery dwie kompanje piechoty silny rozpoczęły ogień.

Wjechałem za niemi do miasta. Ze mną Miecznikowski, za nami kozak. Stałem, oglądając się na prawo i lewo.

Kozak jakby odgadł myśl moją, wskazał mi Langiewicza.

Stał on na koniu po prawej stronie od miasta, w pobliżu rozwiniętego pułku piechoty Czachowskiego. Kule padały koło niego, obojętny był na to. Spostrzegłszy mnie nadjeżdżającego, odezwał się:

— Trudno nam będzie wyparować z miasta Moskali.

— O to niema się co kusić, odrzekłem. Wysłałem bataljon strzelców żeby powstrzymać Moskali aby nam nie odcieśli drogi wiodącej w góry.

Langiewicz potakująco skinął głową.

Wielu żołnierzy z tyraljerki wkrótce znalazło się po za nami.

Na małym kasztanowatym koniku panna Pustowojtówna, z pałaszem w rękę, gorącemi słowy wzywała ich żeby szli naprzód — Wielu wróciło zawstydzonych jej słowami.

Odwaga jej w boju była przykładem męstwa dla żołnierza. Przejęta entuzjazmem patriotycznym, nie zważała na obmowę złych języków, na którą narażona być mogła — i była,

młoda panna, nieskąpej urody, a sama — w pośród towarzystwa obozowego! Ale pozory mylą... Złoto w największym ogniu koloru i blasku nie traci.

Utarczka w mieście trwała przeszło godzinę. Moskale widząc znaczne straty w swych szeregach, zniecierpliwieni oporem, podpalili miasto, czem zmusili nas do opuszczenia go.

Bataljon Grudzińskiego dzielnie się trzymał, przez co drogę odwrotu mieliśmy wolną.

Opuszczając miasto, widzieliśmy jak gorzało z trzech stron.

Pozycję na wzgórzu za miastem zajmowaliśmy pod gradem kul nieprzyjacielskich.

Kawalerja moja i artylerja złączyły się z piechotą i poszły na zajęte przez nas wzgórze.

Jeszcze nie zdołaliśmy zbierającego się oddziału ustawić na obranej pozycji, gdy strzelcy finlandzcy, rozrzućeni w tyraljery, zaczęli nas silnie atakować z lewej strony miasta; piechota w ściśniętych kolumnach za nimi postępowała.

Langiewicz dał rozkaz mojej kawalerji aby spędziła strzelców. Nie posłuchali go — zapewne dla tego że bliżej pod ręką miał kawalerję swoją pod dowództwem Ulatowskiego, a nie użył jej.

Widziałem niebezpieczeństwo, zagrażające całemu oddziałowi, gdyż Moskale mogli nas

otoczyć na tem wzgórzu i nie pozwolić przejść na drugą górę, dającą nam silniejszą pozycję. Jakkolwiek nie było stosownego terenu do szarży kawalerji, gdy Śmiechowski przyjechał do mnie konno i zapytał:

— Co mamy robić, naczelniku?

Podjechałem do kawalerji i rozkazałem dobitnie, aby szli do ataku...

Z okrzykiem: „Hura!“ rzucili się na strzelców. Gwałtowny ten napad zmieszał nieprzyjaciela; lewe skrzydło jego zaczęło rejterować, centrum się wstrzymało.

To nam dozwoliło przejść na drugą, bardziej stromą górę. Za sobą mieliśmy nie zbyt gęsty las.

Prawego skrzydła nieprzyjacielskiego nie mogliśmy widzieć. Bił się tam Czachowski, nie uważając na to, co się naokoło niego działo.

Z dubeltówką w ręku, idąc naprzód, zagrzewał pułk swój przykładem.

Chciał on przebić się przez nieprzyjaciela i dostać się w lasy Ropockie, w których była mu dobrze znaną każda drożyna; gdzie nieraz za sarną lub zającem cały dzień uganiał—z nich przejść w znane mu jeszcze lepiej lasy ŚtoKrzyskie, nie troszcząc się wcale co się stanie z oddziałem Langiewicza.

Ustawiona artylerja na dobrej pozycyi przez Dąbrowskiego, znaczne nieprzyjacielowi wyrządziła szkody.

Gdyśmy byli zmuszeni zmienić tę pozycję i wejść na górę, na którą trudno było dostać się piechocie, artylerji niepodobna było tam wprowadzić, tem bardziej że już trzy konie zaprzężne miała zabite.

Strzelcy finlandzcy zbliżyli się do niej na strzał karabinowy. Ugodzony kulą w piersi padł jej dzielny dowódzca Dąbrowski, obok niego leżało czterech zabitych artylerzystów.

Bataljony Grudzińskiego i majora Pióra nie mogły zmusić do odwrotu piechoty nieprzyjacielskiej, podsuwającej się by zabrać działa.

Śmiechowski po swojemu przemówił do kosynjerów — Rzucili się na piechotę moskiewską, zabierającą nam już działa. Z sześciu pozostałych artylerzystów żaden nie ustąpił z placu.

Straszna i niezwykła broń, dzielność nią władających kosynjerów, przeraziła Moskali. Odstąpili — armaty uratowane.

Nieemożność wprowadzenia ich na stromą górę zmusiła nas do zatopienia ich w pobliskim stawie.

Odznaczył się nieustraszoną odwagą przy obronie dział chłop z pod Pińczowa Franek — za co awansowany został na podporucznika.

Bitwa pod Małogoszczą przeprowadzona była bez obmyślanego z góry planu, bez uprzedniej świadomości o ruchach nieprzyjaciela. Napad Moskali był tak niespodziany że jedynie dziełem Opatrzności nazwać można iżśmy ocaleli i przypisać to szczególnej odwadze żołnierza naszego, a braku zabiegliwości i energii moskiewskich dowódców.

Siły nieprzyjaciela wynosiły około 6000 żołnierza i 12 dział.

Siły nasze niespełna 3000 i 3 działa.

Moskale stracili w przybliżeniu, jak z wiarogodnych źródeł później nam doniesiono, około 460 ludzi w zabitych i rannych.

Straty nasze wynosiły 148 zabitych, rannych 49, razem 197 ludzi. Ten stosunek zabitych do rannych pochodzi z tej przyczyny że Moskale dobijali rannych na placu boju.

Straciliśmy działa, kilkadziesiąt furgonów, na których znajdowały się naczynia kuchenne, zapas niezbędny żywności dla koni, zapasowe obuwie dla żołnierza, bielizna i t. p. przedmioty. Na jednym z nich znajdowała się kasa, wprawdzie nie wielka, bo tylko kilka tysięcy rubli zawierająca—własność osobista oficerów kawalerji mego oddziału.

Żandarmi, wzięci do niewoli w Rawie, uciekli — Zawezwani do Warszawy, wymienili obywateli, którzy przyjeżdżali do obozu. W skutek tych oskarżeń zapełniła się cytadela warszawska; wielu z nich wywieziono na Sybir. Między tymi Nikodema Niemiryca, brata ciotecznego żony mojej.

*

*

*

Z pozycji drugiej zesliśmy już nieatakowani przez nieprzyjaciela w lasy, należące do Słupi; z tych przeszliśmy w Srzeniawskie, w których stanęliśmy aby wypocząć żołnierzowi. Nie opodal od miejsca, w którym stanął oddział, była chata leśnego — Langiewicz ze sztabem zajął w niej kwaterę.

Leśniczy niezamożny nie wiele mógł nam dostarczyć pożywienia, a za to, co miał, hojnie mu zapłacono. Żołnierz musiał poprzestać na tem, co miał przy sobie żywności w swoim tornistrze.

Nie więcej jak pół godziny spokojnie pozwolono nam odpocząć — Po obozie zaczęła z ust do ust przechodzić wiadomość że Moskale są w pobliżu.

Chcąc się o prawdzie dowiedzieć, poszedłem na Leśniczówkę; w rzeczy samej zastałem tam wieśniaka, który przyniósł wiadomość że w pobliżu znajdują się kozacy.

— To zapewne rekonesans, wysłany aby śledzić nas gdzie jesteśmy? rzekłem do Langiewicza.

— Zapewne, odpowiedział. Poszlij twoją kawalerję, niech ich tam przepłoszy.

Wysłana kawalerja spotkała nie o całą wiorstwę od obozu kozaków. Z obu stron padły strzały. Z kawalerji naszej czterech poległo, kozaków dwóch — jednego rannego przyprowadzono do obozu.

Langiewicz chciał go widzieć. Przyprowadzono go — ranny był w lewą rękę, którą lekarz nasz mu opatrzył.

Obecny tam pułk. Ulatowski, wskazując go Langiewiczowi, powiedział:

— Wygląda jak każdy człowiek. Widziałem ja ich dosyć w powstaniu listopadowem — Ciekawszy jestem obaczyć co on ma w swoim mantelzaku?

Przyniesiono mantelzak i dwie torby, które przytroczone do siodła koń jego dźwigać musiał.

Kramarz na jarmarku w małym miasteczku. zadziwiłby kupujących obfitością i różnością towaru, zawartego w tych jukach — Były tam

zegarki, łyżki, łyżeczki, suknie, fartuszki, trzewiki i t. p. drobiazgi.

Pytany skąd przyszedł do tych przedmiotów:

— Znalazłem je, odpowiedział.

— Jakiś ty szczęśliwy! ozwał się doń Śmiechowski. Wielu jest takich, co zgubić nie mogą, z prostej przyczyny że nic nie mają — Czy rozumiesz mnie, bracie?

— Tak, rozumiem.

— To dobrze. Takim ludziom damy te rzeczy, a ty bracie szukaj dalej...

Rzeczy z tłumoczków kozaka daliśmy żonie leśniczego.

DZIAŁ XI.

D y k t a t u r a.



IX. XI. XI.

IX. XI. XI.

Aby uniknąć prześladowania Moskali potrzeba było zejść im na pewien czas z oczu i zatrzeć ślady po sobie.

W tym celu wypadało koniecznie podzielić oddział na kilka mniejszych i rozejść się w różne strony.

Langiewicz nie zrobił tego. Sądził że dopnie tego samego celu forsownemi marszami. Męczył niemi żołnierza, nie dając mu nawet koniecznego spoczynku, a wyżywienie pozostawiał, że tak powiem, własnemu jego przemysłowi.

Dnia 2. marca zmuszony był, widząc że wielu żołnierzy ze znużenia i głodu zostaje po drodze, stanąć obozem w Pieskowej Skale.

W zamku starożytnym, bogato wewnątrz urządzonym, własności hrabiego Mieroszewskiego, stanął kwaterą oddział. Poszanowanie tak mebli, jak wszelkich przedmiotów sztuki, surowo było nakazane.

Nazajutrz nie wiem w jakim celu Tomczyński, sekretarz Langiewicza, wszystkim moim oficerom wręczył nominacje na stopnie, w jakich prowizorycznie mogli być tylko mianowani, gdyż do tego potrzeba było potwierdzenia Rządu Narodowego — Nominacje te podpisane były przez jen. Langiewicza i pieczęcią województwa Krakowskiego zaopatrzone.

Otrzymawszy takie pisemne nominacje wszyscy, z małym wyjątkiem, oficerowie przyszli do mnie, żądając abym takowe podpisał.

Odpowiedziałem im że uważam to za rzecz niepotrzebną.

— W takim razie zwrócimy te nominacje, bo my nie mamy zaufania do jen. Langiewicza, odrzekli. Chcemy służyć pod twojemi rozkazami, naczelniku.

Wziąłem na stronę kilku poważniejszych i mających wpływ i zwróciłem ich uwagę że żądanie to jest niewłaściwe, że sprzeciwia się ono przepisom żołnierskim, że ja inne mam przekonanie o wojskowości i nigdy nie chciałbym

być naczelnikiem, wychodzącym z wyborów. W końcu prosiłem ich aby wpływem swym wy-
mogli na kolegach żeby tej sprawy nie podnosili.

Winnicki rzekł do mnie :

— Z postępowania Langiewicza, z tonu, w ja-
kim wydał oficerom nominacje, obaczysz wkrótce
że będzie dyktatorem.

Oficerowie nie zważali na moje uwagi; ze-
brali się ponownie i żądania pierwotne powtórzyli:

— To bunt panowie — rzekłem — którego ja
jako żołnierz nie zniosę. Nominację na generała
ma Langiewicz od Rządu Narodowego — jemu
winniśmy posłuszeństwo. Jeżeli dał wam nomi-
nacje, musi posiadać na to przyzwolenie Rządu.
W trudnych znajdujemy się warunkach; zmienić
się one muszą. Miejmy nadzieję w przyszłość
i w świętość naszej sprawy, za którą walczymy.
Na nią to zaklinam was abyście sprawy, tak
ze wszech miar niestosownej, więcej nie podno-
sili. Wywołacie nią niezgodę i rozdzielenie, któ-
rego wystrzegać nam się należy.

Ulegli memu życzeniu.

Dnia 4. marca rano nieprzyjaciel, podpro-
wadzony manowcami przez leśniczego z poblis-
kich lasów, podszedł niepostrzeżony do Piesko-
wej Skały, tak dalece że kilku ułanów, którzy

poszli do płynącego za wsią strumienia, aby w nim konie napić, wpadło im w ręce.

Powtórzyła się scena taka sama jak w Małogoszczy.

Wystąpił wprawdzie oddział dość prędko, w należyтым porządku — lecz rozkazu żadnego nie otrzymał.

Kilkudziesięciu na ochotnika rozpoczęło strzelaninę. Oddział stał na płaszczyźnie, znajdującej się przed Zamkiem.

Czachowskiego widocznie bezczynność znierpliwiła. Wszedł w wąwóz między skałami, sądząc że nim obejdzie nieprzyjaciela. Nie wiedział że nie będzie mógł daleko nim zejść, gdyż wąwóz kończył się niebawem, tak że nie można było wydostać się zeń innym sposobem jak wrócić tem samem wejściem.

Za przykładem Czachowskiego cały oddział zaczął się tłoczyć do wąwozu. Doszedłszy Czachowski do miejsca, gdzie się kończył wąwóz, zaczął wołać na żołnierzy aby się wracali. Odwrót w ciasnym wąwozie nie był łatwy — wywołało to ogromny nieporządek.

Przybiega do mnie Winnicki i w dość energiczny sposób, pokazując Moskali, obchodzących górę, woła:

— Jeżeli nadejdą i złączą się z tymi, co nas atakują, to noga nasza stąd nie wyjdzie. Dlaczego nie dajecie żadnych rozkazów?

— To do Langiewicza należy — odpowiedziałem głośno, tak że stojący w pobliżu Langiewicz słyszał moją odpowiedź.

Widząc wszakże że tylko spojrział na mnie a radzić nie myśli, dałem rozkaz Śmiechowskiemu aby rozprowadził linię tyraljerów i zasłonił nią wychodzących z wąwozu naszych.

Sam wziąłem bataljon Grudzińskiego i ścieżką, na której nie mogli nas widzieć Moskale, wszedłem z nim na górę, około której przechodzili.

Przeszedłszy na drugą stronę góry rozprowadziłem linię tyraljerów. Krzaki zasłaniały żołnierza mego.

Po pierwszych strzałach Moskale spostrzegli że są atakowani z boku, z miejsca, z którego najmniej się tego spodziewać mogli.

Wstrzymali się — Nie pozostawiając im ani chwili namysłu, rzuciłem się na nich z całym bataljonem. Zaczęli rejterować. Tymczasem nasi wyszli z wąwozu i rozprószyli się grupami, każdy w stronę, w której bezpieczniejszym się widział.

Śmiechowski widząc że nieprzyjaciel rejturuje, zrobiwszy swoje, stał w miejscu, czekając na dalsze rozkazy.

Zmierzchem wróciłem tam, gdzie Langiewicza zostawiłem. Nie było go — Po kilkunastu żołnierzy przybywało do mnie z różnych stron. Złączył się ze mną Śmiechowski ze strzelcami. Nie mogłem się dowiedzieć gdzie się Langiewicz z oddziałem znajduje.

Jadących kilkunastu kawalerzystów, między którymi był młody Bolesław Jasiński, szukało znów za mną. Od nich dowiedziałem się że Langiewicz ciągnie z oddziałem swoim ku wiatrakowi, znajdującemu się w pobliżu wsi na wzgórzu.

Noc jasna — księżyc w pełni — ani jednej chmurki na niebie. Wyraźnie widzieć można było wiatrak i żołnierzy oddziału przy nim stojących. Wkrótce przybyłem w to miejsce.

Oficerowie z radością mnie witali, wyrażając mi uznanie za wyprowadzenie oddziału z trudnego położenia.

— Uczyniłem co mi rozkazano — rzekłem. Nic też innego zrobić nie było można...

W bitwie tej siły nieprzyjacielskie wynosiły 3000 ludzi i 8 dział.

Stracilli 238 ludzi w zabitych i rannych, o czym dowiedzieliśmy się od wziętego nazajutrz do niewoli oficera moskiewskiego.

Straty nasze 42 zabitych, 37 rannych, razem 79 ludzi.

Rannych na podwodach wysłaliśmy do okolicznych dworów.

W nocy z dnia 4-go na 5-ty maszerowaliśmy w stronę Skały. Dano nam znać że na cmentarzu, znajdującym się w pobliżu tego miasta, stoją dwie kompanje Moskali.

Zbliżywszy się obaczyliśmy że na cmentarzu, murem opasany, roznieciła ogniska i obozuje przy nich, niczego się nie domyślając, piechota nieprzyjacielska.

Cmentarz, otoczony murem, jedną stroną dotykał lasu — Księżyc był w pełni; noc jasna ułatwiała spotkanie z Moskalami.

Langiewicz dał rozkaz bataljonowi pod dowództwem majora Pióra zaatakować ich. Nie mając instrukcji w jaki sposób ma to wykonać, uderzył od strony, z której oddział maszerował, inne zostawił nieobsadzone.

Z szeregów w pobliżu stojącego oddziału wielu na ochotnika podsunęło się pod mury ementarne, w chęci uczestniczenia w walce.

Zaczęto strzelać, ale to nie trwało długo. Moskale swobodnie, rejterowali do lasu, mając przed sobą wolną drogę. Gdyby atak przezornie był zarządzone, to jest gdyby obsadzono wprzód drogę, do lasu wiodącą, bylibyśmy wszystkich zabrali do niewoli.

W spotkaniu tem poległo naszych 12, 16 mieliśmy rannych.

Moskali na cmentarzu znajdowało się dwie rotę — stracili 17 zabitych. Ilu było rannych niewiadomo, gdyż zabrali ich z sobą.

Między poległymi z naszej strony znajdował się młody oficer z wojska moskiewskiego Potjebnia, członek Towarzystwo rewolucyjnego w Londynie „Młoda Rossja“, wysłany przez Herzena dla porozumienia się z Rządem Narodowym. Przed parą dni w drodze do Warszawy spotkał nasz oddział.

Ugodzony kulą w piersi, żył jeszcze czas jakiś. Wniesiono go do domu cmentarnika. Byłem przy zgonie jego — umierał spokojnie. Ostatnie jego słowa były:

— Niech Bóg was wspiera w walce przeciw tyranom!

Do Skały wysłano rekonesans kawalerji, aby obaczył czy tam niema Moskali, gdyż cmentarnik upewniał nas że się tam znajdują.

Moskale, mając małe siły, opuścili to miasto dowiedziawszy się o zbliżeniu się naszym.

Rekonesans nasz, wysłany do Skały, schwytał kapitana straży granicznej, który nas objaśnił że dwie rotę piechoty, spotkane przez nas na cmentarzu, były arjergardą wyszłych ze Skały.

Zmęczeni żołnierze nasi całodzienną bitwą, głodni, maszerowali jeszcze 24 godzin, do wsi Smarzenicy, odległej o ośm mil od Pieskowej Skały.

Po wyjściu oddziału Kurowskiego z Ojcowa włościanie wsi Smarzenicy napadli na miasto i dopuścili się tam mordów i rabunku, o czem byliśmy zawiadomieni.

Rozkazano oddziałowi otoczyć wieś. Przy rewizji po chałupach znaleziono pochowane meble i sprzęty różnego rodzaju, które pochodziły z rabunku Ojcowa.

Zniesiono wszystko na dziedziniec plebanji. Było tego wiele, albowiem w każdej prawie chacie znaleziono coś skradzionego.

U jednego chłopca w skrzyni znaleziono palec odcięty, na którym był pierścień złoty. Zbrodniarz ten przyznał się że gdy pierścienia z palca ściągnąć nie mógł, odciął palec siekierą.

Ukarać zbrodniarzy już dla samego przykładu trzeba było koniecznie.

W tym celu złożono sąd, składający się z trzech żołnierzy różnych stopni, proboszcza miejscowego, kapelana oddziału ks. Konarskiego, wójta tamtejszej gminy i z dwóch starszych wiekiem włościan.

Sąd po ścisłym zbadaniu sprawy, wydał wyrok, skazujący trzech na karę śmierci, sześciu na karę cielesną.

Kapelan oddziału ks. Konarski w wymownych słowach przedstawił zebranej gminie ohydę zbrodni, straszne kary czekające w przyszłym życiu zbrodniarzy, czem skruszeni włościanie padli na kolana, prosząc aby ich tu na ziemi karać

Ojciec jednego z obwinionych domagał się żeby syna jego, skazanego na chłostę, ukarać śmiercią.

Skrucha ich wpłynęła na zmniejszenie kary. Jeden tylko urlopnik z wojska moskiewskiego, który był hersztem podczas rabunku, został na mocy powyższego wyroku powieszony.

Pięciu ukarano cieleśnie.

Gmina czterech oddała do szeregów wojsk narodowych.

Po wyjściu oddziału ze Smarzenicy nie wiem przez kogo Langiewicz otrzymał wiadomość że największych zbrodni dopuścili się i wrogo uspo-

sobieni dla sprawy narodowej są mieszkańcy położonego w pobliżu przysiołka, składającego się z kilkunastu chat.

Langiewicz wysłał jednego z swych sztabowców z rozkazem do pułk. Bajera, dowodzącego arjergardą, aby otoczył przysiołek i spalił go.

Bajer zawiadomił o tym rozkazie Winnickiego, pytając czy ma go wypełnić?

Winnicki powstrzymał wykonanie rozkazu, biorąc odpowiedzialność na siebie.

Zapytany przezeń Langiewicz czy w rzeczy samej taki dał rozkaz?

— Tak jest — odpowiedział.

Na co od Winnickiego otrzymał taką odpowiedź:

— Sąd zrobił swoje; przestępcy wykryci za zbrodnie popełnione zostali ukarani. Należałoby i w tym przysiołku tak samo postąpić. Oskarżyciele może powodowali się zemstą, lub ukrytym interesem osobistym.

— Oskarżenie pochodzi ze źródła, które żadnej wątpliwości nie podpada.

— Choćby i tak było, to winę należy wpierw sprawdzić, a kara powinna nastąpić za wyrokiem. Moskale w ten sposób palą w naszym kraju wsie i miasta — nie naśladujmy ich.

Po długich perswazjach Langiewicz odwołał rozkaz.

Maszerowaliśmy w stronę Goszczy, gdzie dnia 6. marca stanęliśmy obozem.

Langiewicz od czasu pobytu naszego w Pieskowej Skale był dla mnie uprzedzająco grzeczny. Podwoił tę uprzejmość po przybyciu do Goszczy kurjerki z Warszawy, która przyniosła nominację dla mnie na generała, datowaną 24. lutego.

Tego dnia z Krakowa przyjechało do obozu naszego kilka osób. Mieli długą, tajemną konferencję z Langiewiczem.

Z odjeżdżającymi wysłał Langiewicz Tomczyńskiego i Prendowskiego do Krakowa.

Z pokaleczonemi nogami, zmęczonych marszem, było wielu naszych żołnierzy. Zgłosili się z prośbą o urlop—otrzymali go. Wziął także urlop Śmiechowski.

— Jadę wypocząć, rzekł do mnie. Mógłbyś i naczelnik jechać do Krakowa i raz już wyrwać się z tej matni, w jaką wpadliśmy.

— Nie wypada mi opuszczać mego oddziału bez rozkazu Rządu Narodowego. Gdybyś spotkał się w Krakowie z kim z Warszawy, to powiedz że życzylbym sobie takiego rozkazu; na czem sprawa powstania nic nie straci, gdyż tu nie widzę abym był potrzebny.

Dnia 7. marca przybył do Goszczy Wali-górski, przyprowadziwszy z sobą kilkadziesiąt konnicy.

Po nim w kilka godzin przybył Józef Czap-ski z Krakowa, z nominacją na naczelnika wo-jewództwa Krakowskiego.

Langiewicz miał nominację na naczelnika województwa Krakowskiego i Sandomierskiego; zdziwił się zatem że Rząd, nie powiadomiwszy go, dał Czapskiemu nominację na jedno z woje-wództw do niego należących.

Czapski widząc że stąd przyjść może do nieporozumień, aby ich uniknąć, oświadczył że mu nie chodzi o naczelnikostwo, byle być uży-tecznym ojczyźnie, zostanie zatem chętnie pod rozkazami Langiewicza i przyjął ofiarowane mu dowództwo kawalerji.

Waligórskiego zamianował Langiewicz je-neralnym kwatermistrzem.

Czapski nie tracił czasu. Przejrzał kawa-lerję — Zamiłowany w tej broni, tego samego dnia musztrował ją na błoniach Goszczy.

Dnia 8. marca przybył do obozu Ostoja Kołaczkowski z wysłannikami Ławy krakowskiej i ci rzucili pierwszą myśl o dyktaturze, bardzo ostrożnie, chcąc jakoby wybadać jakie wrażenie zrobi wiadomość o tem?

Nie mówili jawnie że Langiewicz będzie dyktatorem, ale z całego ich zachowania się względem niego łatwo można się tego było domysleć.

Po ich wyjeździe powiedział mi Langiewicz że mu już wpieryw proponowano dyktaturę, ale przyjąć jej nie chciał.

Odpowiedziałem :

— Miałeś szłusność. Warunki, w jakich znajdujemy się, nie pozwalają myśleć o czemś podobnem — Jak zapatrują się na powstanie ci, co nie występują w niem czynnie, najlepiej dowodzi uczyniona ci propozycja i ofiarowanie dyktatury.

Po twarzy Langiewicza łatwo dostrzedz było można niezadowolenie z tej mojej odpowiedzi.

Dnia 9. grudnia wrócili z Krakowa Tomczyński i Prendowski i udali się z Langiewiczem do osobnego pokoju, gdzie dość długo na poufnej zabawili rozmowie.

Langiewicz po tej konferencji, mimo uśmiechu, był widocznie zakłopotany.

Gdyśmy sami zostali rzekł do mnie:

— Mam wiadomość że Rząd Narodowy rozwiązał się — Jesteśmy bez władzy...

— Skład jego zmieniał się często, odrzekłem. Było i tak że był zmuszony rozwiązać się całkiem, ale

w chwili, gdy już wybuchło powstanie, byłoby to dla nas stanowczą klęską.

— Nie mów o tem nikomu. Jutro będziemy mieli w tym względzie pewniejsze wiadomości, odrzekł na tę moją uwagę Langiewicz.

Dnia 10. marca przyjechali z Krakowa do naszego obozu panowie Grabowski i Leon Chrzanoski; z nimi kilku jeszcze członków komitetu krakowskiego i Prendowski, należący do sztabu Langiewicza, wysłany przezeń dniem przedtem do Krakowa.

Po ich przybyciu zawezwani zostali oficerowie wyższych stopni na naradę, aby objawili swe zdanie wobec ważnych wiadomości, otrzymanych z Warszawy.

Zgromadzonym oświadczył Grabowski że Rząd Narodowy rozwiązał się, widząc niepodobność skutecznego działania bez władzy jawnej i że w chwili rozwiązania się dał mu pisemne pełnomocnictwo do utworzenia władzy jawnej, które to pełnomocnictwo wręczył mu Leon Królikowski z Warszawy.

Na radzie, odbytej w Krakowie, uchwalono ustanowić dyktaturę i generała Langiewicza ogłosić dyktatorem.

Wśród ogólnego milczenia Winnicki zabrał głos, żądając od Grabowskiego aby okazał pełnomocnictwo, dane mu przez Rząd Narodowy.

Odpowiedział Grabowski że w tej chwili uczynić tego nie może, gdyż zostawił je u generała Wysockiego w Krakowie. Że takowe posiada powołał się na świadectwo pp. Leona Chrzanowskiego i Prendowskiego.

Panowie ci potwierdzili że Grabowski rzeczywiście ma takie pełnomocnictwo Rządu Narodowego.

Znane mi zdolności i nieposzlakowany patriotyzm Leona Chrzanowskiego kazały mi za wierzyć słowom Grabowskiego, którego przedtem nie znałem.

Wziąwszy na stronę Chrzanowskiego powiedziałem :

— Czy nie lepiej żebyście zawiązali rząd jawny po za granicami kraju? Powstanie bez środków słabe—dobije go dyktatura.

— Wytworzyć jawny rząd z ludzi, którzyby odpowiadali temu zadaniu, niepodobna już dla tej przyczyny że ich majątki i rodziny wystawione by były na zemstę wroga, odrzekł Chrzanowski. Tymczasem potrzeba nam koniecznie władzy jawnej. Tylko w takim razie mocarstwa euro-

pejskie przyjdą nam z pomocą. Przyznasz że z rządem podziemnym w stosunki żadne wchodzić nie mogą.

— Jeżeli tak być musi i sprawa polska, jak mówisz, wiele na tem skorzysta, to zróbcie Langiewicza dyktatorem, ale nie zostawiajcie przy nim dowództwa oddziału. Nie rozumie on wojny takiej, jaką zmuszeni jesteśmy prowadzić.

— O tem właśnie już mówiliśmy. Rachujemy na ciebie i przyszłemu mu na szefa sztabu Bentkowskiego.

Powróciliśmy do obradujących. Rozmowa toczyła się tam już głosem podniesionym, a skończyło się na tem że postanowienie ze strony wojska względem dyktatury Langiewicza odroczone do dnia następnego, w którym miał do obozu naszego zjechać generał Wysocki i okazać pełnomocnictwo, przez Rząd Narodowy dane Grabowskiemu.

W Goszczy kwaterowałem w jednym pokoju z Langiewiczem.

W chwili tak ważnej nikt dziwić się nie może że sen nie przychodził nam tak łatwo. Było już po północy gdy Langiewicz kazał przynieść herbaty.

— Jak się zapatrujesz, zapytał mię nalewając herbatę, na proponowaną mi dyktaturę?

— W tych warunkach, w jakich się znajdujemy, uważam ją za rzecz niemożliwą. Gdybyśmy byli panami choć kilkunasto milowego okręgu, wojska mieli sto tysięcy, pieniądze—wtedy radziłbym ci ogłosić się dyktatorem.

— Może masz słuszność, ale jeżeli ja jej nie przyjmę, weźmie ją kto inny.

— Jeżeli weźmie, będzie miał przynajmniej za sobą formę — Dyktatura bierze się, a nie przyjmuje.

— Jeżeli to robię, to jedynie w zaufaniu że ludzie, którzy wymagają tego odemnie, są uczciwi; że sprawa narodowa skorzysta na tem.

Dnia 11. marca przyjechał Prendowski z Krakowa i zawiadomił że generał Wysocki wkrótce przybędzie do Goszczy.

— Wypada nam wyjechać na spotkanie jen. Wysockiego, rzekł do mnie Langiewicz.

Wysłał jednego z swych adjutantów zawiadomić o tem Waligórskiego i Czapskiego. Temu ostatniemu polecił wziąć kilkanaście koni i wraz z nami udać się na spotkanie Wysockiego.

Winnickiemu osobiście dał Langiewicz polecenie by został i dopilnował aby obóz był w pogotowiu na przyjęcie generała Wysockiego.

Czapski i Waligórski wsiedli na koń. Kawalerja czekała w pogotowiu.

Gdym chciał także wsiadać na konia, wstrzymał mię Langiewicz i rzekł:

— Pojedziemy razem bryczką.

Inni sztabowcy Langiewicza i kilku oficerów to konno, to bryczkami jechali za nami.

W pobliżu komory Barańskiej, pod lasem, ciągnie się niewielka płaszczyzna. Tam ujrzeliśmy stojących kilka powozów; przy nich kilku mężczyzn.

Langiewicz kazał stanąć woźnicy — Zeskoczyliśmy z bryczki.

Mężczyźni obaczywszy nas idących ku nim, zbliżyli się do nas nawzajem. W gronie tem znajdował się generał Wysocki.

Zszedłszy się z nami uścisnął na powitanie rękę Langiewicza. Następnie wzięwszy dłoń moją, zaczął zaklinać na miłość ojczyzny żebym nie wsczywał niezgody, gdyż obecna chwila potrzebuje jedności.

— Niezgody — odrzekłem, wyraz ten nie jest i nie powinien być zrozumiały dla żołnierza. Jenerale, proszę cię jaśniej mi wytłómaczyć o co chodzi?

— Oto proszę cię, jenerale, odpowiedział na to Wysocki, żebys był oddany i posłuszny jenerałowi Langiewiczowi.

— Dałem dowód że nim być potrafię; sądzę że obecny tu generał Langiewicz nie zaprzeczy temu.

Langiewicz potakująco skinął głową i podał mi rękę.

— Kiedy tak, to się serdecznie cieszę. Inaczej mi mówiono. Wiem o tem że żołnierz ma w tobie zaufanie; umiesz go utrzymać w karbach posłuszeństwa — róbże tak żeby była zgoda i jednomyślność.

Jeden z przybyłych z jen. Wysockim podał mi proklamację Langiewicza z ogłoszeniem dyktatury, a Wysocki rzekł do mnie:

— Odczytasz to wojsku.

Odpowiedziałem na to:

— Dyktatura nie zgadza się z moim osobistym przekonaniem — ale uczynię to, czego odemnie żądacie, polegając jedynie na doświadczonym patryotyzmie twoim, jenerale.

Wysocki miał łzy w oczach — ścisnął mi dłoń.

— Teraz pożegnam was. Muszę się spieszyć do Krakowa, gdzie na mnie czeka tak wiele zajęcia; tyle osób oczekuje tam mego powrotu.

— Jenerale — rzekłem — obóz tak blisko, żołnierz cię oczekuje. Bytność twoja w obozie stworzy tę jednomyślność, której żądasz.

— Niepotrzebnie zapowiedzieliście że ja tam przyjadę — odrzekł. Ja chciałem się tylko zobaczyć z wami. Ani chwili nie mam do stracenia.

To rzekłszy wsiadł do powozu i odjechał do Krakowa.

Dnia 12. marca przyszło z Krakowa kilka fur z bronią i amunicją.

Rochebrun przyprowadził z sobą oddział żuawów. pułkownik Teodor Cieszkowski piechotę z oddziału Kurowskiego.

Dnia 13. marca wymaszerowaliśmy w stronę Sosnówka. Na błoni, w pierw upatrzonem, zatrzymał się oddział.

Wojsko sformowało czworobok, w środku którego stał ołtarz — na nim krzyż i obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

Na stopniach przybrany w komżę i stułę stanął ksiądz Kamiński, otoczony strażą honorową.

Po lewej stronie obok chorążowie trzymali skrzyżowane sztandary.

Langiewicz, przybrany w szarfę trójkolorową, oparty o pałasz, stał w pobliżu ołtarza, otoczony sztabem. Na twarzy jego widać było zamyślenie i pewien niepokój.

Ścianę lewą czworoboku tworzył mój oddział. Stałem przy nim na koniu; przy mnie dwóch adjutantów, Miecznikowski i Jasiński.

Gdy wojsko ustawiło się według danego mu rozkazu, ruszyłem galopem ku Langiewiczowi, ze mną adjutanci. Stanąwszy przed nim salutując — zapytałem :

— Czy mam rozpocząć czytać proklamację?

— Przejdź wpierw szeregi, uwiadom ich i daj rozkaz żeby zachowali się spokojnie.

Salutując odjechałem. Nie widziałem potrzeby zawiadamiać żołnierza o tem, co miało nastąpić, bo mogło by to właśnie wywołać niepokój, tem bardziej że wszyscy dokładnie wiedzieli o uroczystości, jaka ma się odbyć.

Przejechałem wzdłuż po przed szeregi, nakazując spokój.

Zsiadłszy z konia, stanąłem w środku czworoboku, przy mnie dwaj adjutanci i przeczytałem proklamację Langiewicza, ogłaszającą jego dyktaturę.

Milcząc przyjęło wojsko to moje czytanie. W końcu część tylko powtórzyła za mną okrzyk :

— Niech żyje dyktator!..

Po odczytaniu proklamacji Langiewicz przyklęknął przed ołtarzem i za ks. Kamińskim głośno powtórzył rotę przysięgi jako dyktator na wierność ojczyźnie.

Oddziałami stawało wojsko przed ołtarzem. Ksiądz Kamiński przyjmował od nich przysięgę na wierność Langiewiczowi jako dyktatorowi.

W rocie przysięgi żołnierze niektórzy zamiast „dyktatorowi Marjanowi Langiewiczowi“ mówili „Ojczyźnie“ lub „Polsce.“ Gniewało to Langiewicza do tego stopnia że jednego, którego sam dosłyszał, kazał aresztować, co pułkownik Czachowski, ponieważ był z jego oddziału, skwapliwie wykonał.

Był ten biedak w areszcie aż do chwili bitwy pod Goszczą.

Zbliżyłem się do Langiewicza i złożyłem życzenia jako dyktatorowi, a życzyłem z całego serca, bo widziałem los jego złączony w tej chwili ściśle z losem ojczyzny.

— Byłem przeciwny dyktaturze, rzekłem. Usiłowałem skłonić cię abyś jej nie przyjmował. Stało się — w czym tylko będę mógł, szczerze z całego serca będę ci pomagał.

Jeszcze nie wszystkie szeregi przysięgę wykonały, jeszcze trwała uroczystość, gdy słońce nad nami niezwykłym blaskiem zajaśniało. Tęcza trój kolorowa na niebie w kształcie wieńca się ukazała.

Podniosło to ducha, obudziło wiarę. Wielu uważało to za szczęśliwą wróżbę że chwila oswobodzenia ojczyzny bliska.... że Bóg zmiłował się nad nami!

*

*

*

Dnia 14. marca spotkaliśmy się z piechotą moskiewską, maszerującą z Kielec do Miechowa. Żuawi pod dowództwem Rochebruna, będąc w awangardzie, sami się z nią rozprawili.

Gdy żuawi rozpoczęli bitwę i usłyszeliśmy strzały, zatrzymano oddział na dogodnej pozycji, oczekując na niej Moskali, w przypuszczeniu że żuawi zmuszeni będą zrejterować, a Moskale za nimi nadciągną.

Nadzieja ta zawiodła — Moskale zrejterowali przed dzielnymi żuawami.

W potyczce poległ jeden żuaw; dwóch było rannych.

Nadmienić tu widzę za obowiązek sumienia, jakkolwiek wysoko cenić należy cudzoziemca, narażającego życie za sprawę wolności naszej ojczyzny, bo kule nie przebierają, że jeżeli oddział pod dowództwem Rochebruna bił się dobrze, w połowie przypisać to należy Wojcie-

chowi hr. Komorowskiemu, obdarzonemu niepospolitą odwagą.

Był on adjutantem Rochebruna — rzeczywiście zaś dowódcą tego oddziału, bo przecież każdy pojmie że mało zrozumieć mógł nasz żołnierz Francuza, nieumiejącego słowa po polsku.

Komorowski, posiadając wysoko rozwinięty zmysł wojskowy, rozumiał że jak bez Mazura nie będzie w ułanach właściwego ducha tej broni — tak bez Francuza nie będzie żuawów. Nie dbając więc o własne wyszczególnienie, całą duszą oddany był Rochebrunowi.

Langiewicz tego dnia wydał następujące 14.1
nominacje, na których podpisał się już dyktatorem :

Mnie mianował jenerałem dywizji, z przeznaczeniem pozostania przy nim w sztabie. Czapskiego jenerałem kawalerji, Waligórskiego jenerałem kwatermistrzem, Winnickiego w stopniu pułkownika intendentem, Czachowskiego i Dąbrowskiego pułkownikami, Bentkowskiego szefem sztabu.

Zamieszczone w rozkazie dziennym nominacje powyższe zostały ogłoszone przed frontem zebranemu wojsku.

Przeznaczenie mnie do sztabu przy dyktatorze usuwało mię od wojska, skazywało niejako na bezczynność.

Zastanawiając się właśnie nad tem, co mogło skłonić Langiewicza do tego postanowienia, zamyśliłem się był tak głęboko że nie spostrzegłem idących ku mnie dyktatora i Bentkowskiego, aż stanęli tuż przedemną.

Langiewicz zapytał mię o czem tak myślę?

— O następstwach dzisiejszej mej nominacji.

— A to dla czego?

— Bo skazuje mię na bezczynność.

— Oto się nie troszcz — będziesz miał aż nadto zatrudnienia. Właśnie i w tej chwili potrzebny nam jesteś. Mam zamiar pomścić oddział Kurowskiego, uderzyć na Miechów. Jakie w tym względzie twoje zdanie?

— Przybyły do nas z oddziału Kurowskiego pułk. Cieszkowski — odrzekłem — pokazywał mi plan Miechowa i na nim objaśniał atak, na to miasto wykonany. Z planu tego przekonałem się że przystęp do miasta jest trudny, i że jest ono zabudowane w sposób, niezmiernie do obrony dogodny, sądzę zatem że lepiej gdzie indziej starajmy się odwetować stratę oddziału Kurowskiego.

Bentkowski poparł to moje zdanie.

Rozmowa w przedmiocie tym dłużej zapewne była by się ciągnęła gdyby nie przerwało jej przybycie obywatela S... który dał nam znać

że Moskale w sile 1200 ludzi idą z Kielec do Miechowa.

Natychmiast wydano rozkaz wymarszu. Pociągnęliśmy w stronę Miechowa.

Dnia 16. marca rano Bentkowski obsadził wojskiem drogi, któremi sądził że Moskale będą z Kielec do Miechowa maszerować. Wybrał ku temu miejsca, jak można było najlepiej maskujące pozycję naszego żołnierza.

Nieprzyjaciel zapewne został zawiadomionym o naszej zasadzce, bo inną pomaszerował drogą, o parę wiorstw od nas odległą, którą, pomimo że była niedogodna, przeszedł niepostrzeżony przez nas przez Giebułtów do Miechowa.

Oddział nasz liczył około pięciu tysięcy ludzi. Wyżywić taką liczbę coraz było trudniej. Żołnierzowi począł dokuczać głód... W takich razach wyłamuje się on zazwyczaj z karbów posłuszeństwa, z pod karności wojskowej.

Kilkunastu ludzi z oddziału udało się samowolnie po żywność do Giebułtowa, do wsi od obozu naszego o parę wiorstw odległej.

Spotkała ich tam arjergarda nieprzyjacielska, z kozaków złożona, i pięciu zamordowała.

Finkensztejna, żyda, który miał nam dostarczyć broni, choć był zaopatrzony w paszport

angielski, pokłuli kozacy pikami i najokropniej zbili nahajkami.

Syn właściciela Giebułtowa, przebrany za kobietę, przybył do naszego oddziału i dał nam o tem znać.

Wysłano oddział kawalerji, lecz ten już kozaków we wsi nie zastał. Ciała pomordowanych pogrzebano.

Langiewicz wrócił znów do swego projektu uderzenia na Miechów, lecz Bentkowski odradził mu, uważając myśl tę za niemożliwą do wykonania.

Ściągnawszy wojsko pomaszerowaliśmy w stronę Chrobrza, majątności margrabiego Wielopolskiego, dokąd generał Waligórski wysłał dwóch oficerów jako kwatermistrzów.

Rządca Chrobrza przyjął ich przestraszony, mniemając że spustoszymy dobra znenawidzonego właściciela.

Uspokoił go pod tym względem, zapewniając że wojsko najmniejszej szkody nie wyrządzi.

Dnia 17. marca przybyliśmy do Chrobrza. W rozkazie dziennym, wydanym do wojska, zabroniono pod najsurowszą karą naruszenia lub uszkodzenia własności margrabiego.

Przed Chrobrzem spotkaliśmy oddział, dążący aby się z nami połączyć, złożony z kilkudziesię-

sięciu ludzi, w którym znajdowały się dwie dziewczyny, przebrane po męsku, jako ochotnicy.

Nie wiem kto je oskarżył przed Langiewiczem że przybyły w zamiarze otrucia dyktatora i jego sztabu.

Langiewicz uniosł się gniewem na razie. Obecny Śmiechowski wstawił się za nimi mówiąc :

— Dyktatorze, z kobietami, a tem bardziej z pannami, delikatniej postępować trzeba. Oddaj je Winnickiemu — on, choćby za paznogciem ukrytą miała truciznę, to ją wynajdzie.

Langiewicz usłuchał tej rady. Winnicki sprawę wybadał. Okazało się że podejrzenie było całkiem nieuzasadnione.

Jednakże pod strażą kawalerji kazano je odwieść do Krakowa.

I tej jedynie okoliczności zawdzięczamy że nas w Chrobrzu niespodzianie nie zaatakowali Moskale. Kawalerja, eskortująca dziewczęta, gdy obaczyła Moskali, nie dopełniwszy swej misji, wróciła do obozu i uwiadomiła nas o zhlizającym się nieprzyjacielu.

W skutek czego dnia 18. marca opuściliśmy Chrobrze. Wojsko ściśle dochowało danego rozkazu. Żadnej nie zrobiono szkody ani w pałacu, ani w budynkach dworskich.

Wzięto tylko żywności ile było potrzeba, rekwizyta zdadne dla wojska, kilka koni...

Przedmioty te według wartości, podanej przez rządcę, obliczone zostały na pieniądze, a na sumę odpowiednią otrzymał rządca kwit, umarzający także kwotę podatków narodowych, należnych od margrabiego.

Rochebrun doszedł jakoś że piwnica margrabiego dobrze jest zaopatrzona w wina francuskie. Za przyzwoleniem rządcy napełnił sobie i żuawom nektarem tym manjerki.

W godzinę po wyjściu naszym z Chrobrza przybyli tam Moskale.

Wysłali kawalerję, dragonów i kozaków, za nami — Ci doścignęli naszą arjergardę, mianowicie saperów, którzy mieli polecenie spalenia mostu na rzece Nidzie.

Byliby ich z łatwością odcięli, gdyby nie przyszedł w pomoc saperom oddział żuawów. Sam bez rozkazu podszedł zakryty górą i celnymi strzałami, zadawszy znaczne straty dragonom moskiewskim, zmusił ich do odwrotu.

Most nasz sapery spalili. Wstrzymało to Moskali ciągnących za nami z Chrobrza.

Brygada jen. Szachowskoja, maszerująca z Chęcin do Chrobrza, spotkała się z nami.

Szybko rozwinęła się w linię bojową. Tyraljerzy jej zaczęli nas oskrzydlać.

Bez rozkazu zostawiony oddział, sam począł bronić się na własną rękę.

Jen. Śmiechowski stanął z kosynjerami w centrum, jak mu to z marszu wypadło. Przy nim pułk strzelców Dąbrowskiego. Rochebrun rozprowadził linię tyraljerów przeciw lewemu skrzydłu nieprzyjaciela, nie zostawiwszy żadnej rezerwy.

Kawalerja stała na pobliskiem wzgórzu, zasłonięta lasem.

Furgony zaczęły uciekać — krzyki ich i nawoływania powiększyły nieład i zamieszanie.

Pułk. Czachowski, tworzący arjergardę oddziału, rozwinął linię tyraljerów przeciw prawemu skrzydłu nieprzyjaciela. Nie otrzymując żadnego rozkazu, rzucił się na nieprzyjaciela z okrzykiem: Hura!

Niespodziewany ten napad źle zrozumiał Szachowskoj, biorąc go za manewr z naszej strony, którym chcemy mu zająć tyły.

Wstrzymał swe kolumny, przez co dozwolił Czachowskiemu wejść do lasu, opodal się ciągnącego.

Do wydania takiego rozkazu zapewne i to go skłonić musiało że nie wiedział o spaleniu mostu

na Nidzie; nie mógł zatem na razie wytłómaczyć sobie nieobecności brygady Czengierego, która będąc bliżej nas, powinna była wprawdzie od niego na tem miejscu się znaleźć.

Czachowski, przebiwszy się do lasu, mając w swoim oddziale kilku ludzi z tamtych okolic, kazał im prowadzić pułk najbliższą drogą w góry Śto Krzyskie.

Zatrzymał się jeszcze jakiś czas Szachowskoj, widocznie oczekując na przyście brygady Czengierego. Nie mogąc się jej doczekać, dał wojsku sygnał do odwrotu.

Wkrótce zapadł zmrok; po nim noc ciemna, o kilka kroków niedająca przedmiotów rozróżnić.

Jen. Czapski, idący w awangardzie, dał rozkaz aby koniom dowolnie puszczono cugle.

W noc tak ciemną jedyny to ratunek. Zmysłne to zwierzę instynktem omija przeszkody, drogi nie zgubi.

Za kawalerją postępowała piechota w największym nieporządku. Wszystkie oddziały razem się zmieszały. Słysząc było wołania nieustanne ostrzegające kosynjerów aby w górę trzymali kosy, sarkanie na dowódców, wyrzekania na głód i zmęczenie. Wspomnienie chwili tej dziś jeszcze przykre sprawia wrażenie.

Po dwugodzinnym marszu doszliśmy do wsi Wełcza.

W chacie nie wielkiej na brzegu wsi stanął kwatery Langiewicz ze sztabem — Rozniecono ogień, zabierano się do gotowania herbaty.

Zmęczony i głodny żołnierz na wołanie dowódców stawał w właściwym szeregu. Tu i owdzie słyszeć się dawały wyrzekania, przekleństwa...

Śmiechowski zbliżył się do mnie:

— Złe naczelniku — rzekł kręcąc węża, co było oznaką że jest w złym humorze. Idź międzzy wiarę, pokaż się im. Na złe się jakoś zanosi; żołnierz nad siły gnany — głodny...

— Nie jestem w stanie temu zaradzić.

— Na furgonie sztabowym jest chleb, może i co więcej na nim się znajduje—trzeba się z żołnierzem dzielić. Naczelnikowi nie będą śmieli wzbrownić zabrać choćby połowę tego, co tam jest.

Poszliśmy do furgonu. Wziąłem z niego dwa bochenki chleba i fiaskę wódki. Nie było i tam wielkiego zapasu. Zostawiliśmy jeden bochenek chleba i fiaskę wódki, także kilka żywych kaczek.

Z zapasem tym udaliśmy się do kosynjerów. Z fiaski napiłem się do jednego z nich,

co pierwszy obaczywszy mię powstał z ziemi, na której mimo zimna i wilgoci leżeli; flaszka poszła w kolej, a Śmiechowski krajał małe kromki chleba na przekąskę.

Aby ich zaspokoić, powiedziałem że wysłano za żywnością.

Na co odpowiedzieli:

— Mybyśmy ją sami sobie znaleźli gdyby nam żołd jak się należy był wypłacany. Dano nam po dwadzieścia groszy już tydzień temu, mówiąc że to na tytoń.

— Powiem o tem dyktatorowi. Każe on wam żołd wypłacić, rzekłem na pocieszenie ich.

Poszedłem do chaty, w której miał kwaterę Langiewicz. Na ławie wsparty o ścianę siedział Bentkowski, mizerny, ochryply, upadający na siłach. Widząc go tak cierpiącym, podwoiła się we mnie obawa o los oddziału.

Na kominie smażyły się kaczki — zapytałem Langiewicza:

— Co postanowiliście dalej robić? Żołnierz zmęczony, głodny... Kosynjerzy skarżą się że żołdu nie otrzymują...

— Przejdziemy w lasy ństwo Krzyskie, tam wypocznie żołnierz i tam uregulujemy jego płacę.

— A ile potrzeba czasu aby ztąd dostać się w lasy ństwo Krzyskie?

— Sądę że trzeciego dnia tam staniemy.

— A w drodze żołnierz będzie miał żywność?

— Przechodzić przecie będziemy przez wsie, to w nich ją znajdziemy.

— W tej tu nie wiele znaleziono.

— To też ją zaraz opuścimy. W pobliżu znajduje się folwark, do tej wsi należący—tam spodziewam się nakarmić żołnierza i wypocząć mu.

O północy wymaszerowaliśmy z Wełcza. Ani jednej gwiazdy na niebie—śnieg pruszył.

Aby oświetlić drogę wzięto kilka latarni z gorzelni i zapalone świece w nie wstawiwszy przywiązano do drągów. Przy takim oświetleniu maszerowaliśmy; przypominało to fakilucy niemiecki. Po półtora godzinnym marszu znaleźliśmy się pod folwarkiem i zdziwieni obaczyliśmy migocące się światła w jego zabudowaniach.

Jakież było nasze zdziwienie gdyśmy na folwarku znaleźli rozkwaterowany pułk Czachowskiego...

— A pan pułkownik co tu robisz? — zapytał go Langiewicz.

— Nie otrzymałem żadnego rozkazu; widząc że Moskale nas oskrzydłają, by uratować pułk przebiełem się przez nich. Stoję tu aby wypocząć żołnierzowi.

— Stary, trzeba dotrzymać placu! Już to drugi raz tak robisz...

Chcąc zażegnać burzę, wmięszałem się w tę sprawę:

— Tym razem — rzekłem — niech dyktator przebaczy pułkownikowi, przez wzgląd na przysługę, jaką w tem spotkaniu oddał oddziałowi.

Langiewicz podał mu rękę.

Nadzieja znalezienia żywności zawiodła. Oddział Czachowskiego uprzedził nas i co było zabrał. Znaleźliśmy cośkolwiek wódki dla żołnierza, owsa i siana dla koni, ale bardzo nie wiele.

Dnia 18. marca rano opuściliśmy folwark i stanęliśmy pod wsią Grochowiskami.

Kopce na polach domyślać się kazały że w nich znajdują się kartofle. Sądziłyśmy że niemi będziemy mogli pożywić żołnierza.

Nie wiele znaleźliśmy tam tych pożądaných kartofli a i te gdy żołnierz przy rozłożonych ogniskach zabierał się gotować — nieprzyjaciel zaatakował nas z dwóch stron.

Z Chrobrza z jedną brygadą idący za nami generał Czengiery, z drugiej strony Szachowskiej, z którym starliśmy się w odwrocie z Chrobrza. Siły ich wynosiły przeszło 8000 ludzi.

Z tak przeważną siłą nieprzyjacielską zmuszeni byliśmy stanąć do walki.

W tak trudnej potrzebie brak kierownictwa, brak jakiegokolwiek skombinowanego planu obrony, pogorszył nasze położenie — żadnego rozkazu... każdy pułk, każdy bataljon, widział się zmuszony działać na własną rękę.

Przeciw rozproszonym tyraljerów Szachowskoja rozciągnął linię tyraljerów Rochebrun. Ogień utrzymywano z obu stron z równą energją.

W pobliżu stali kosynjerzy pod dowództwem Śmiechowskiego, zakryci wzgórzem, krzakami poroślem.

Przeciw Czengieremu rozwinął linię tyraljerów Czachowski.

Pułk piechoty Dąbrowskiego stał tuż przy nim w pobliżu. Dwa plutony kawalerji, pod dowództwem Bajera, stało na lewym skrzydle po za pułkiem Dąbrowskiego.

Kawalerję jen. Czapskiego, gdy tenże domagał się o rozkaz co ma czynić, odprowadził jeden ze sztabu Langiewicza na brzeg rzadkiego lasu, mającego bagna przed sobą i po bokach, czem skazaną była już z góry na bezczynność.

Teren, na którym toczyła się bitwa, był pagórkowaty. Tu i owdzie większe drzewa lub krzaki zasłaniały nas i powstrzymywały nieprzyjaciela.

Przeszło dwie godziny na jednym miejscu trwała walka.

Zgłodniały, zmęczony marszem, nasz żołnierz dotrzymał placu.

Moskiewska artylerja nie mogła znaleźć dla siebie dogodnej pozycji. Mimo gęstych strzałów, nie wyrządzała nam żadnej szkody.

Jen. Szachowskiej widząc tak długi opór z naszej strony, zniecierpliwiony, dał rozkaz bataljonowi piechoty z bagnetem w ręku uderzyć na rezerwę Rochebruna.

Tyraljerzy nasi zaczęli, odstrzeliwując się, ściągać się do swej rezerwy.

Bataljon moskiewskiej piechoty, trzymając broń do ataku, był już nie więcej jak na sześćdziesiąt kroków od żuawów, których liczba nie przechodziła czterystu ludzi. Przed idącą na nich tak przeważną siłą uledez by musieli.

Rzucili się na Moskali zagrzani słowami Śmiechowskiego kosynjery z okrzykiem: Hura!..

Trudna to rzecz znaleźć w ciągu bitwy chwilę stosowną aby można kosynjerów w bój wprowadzić, ale gdy się tego dokaże, broń to straszna dla przeciwnika!

Wysłany przez Szachowskoja bataljon nie dotrzymał placu kosynjerom — cofnął się bezładnie.

Wiadomość ta zmusiła jen. Czapskiego do opuszczenia stanowiska, na którym gdyby nieprzyjaciel go zaatakował, z powodu nieodpowiedniego gruntu nie mógłby się bronić.

Udał się ku granicy — zdemoralizowany żołnierz przeszedł do Galicji, gdzie się czuł bezpiecznym po przebyciu tylu trudów, z największym podejmowanych poświęceniem.

Podczas bitwy, gdy bataljon wysłany przez Szachowskoja, szedł z bagnetem w rękę na żuawów, Rochebrun, zostawiwszy swój oddział, przybiegł do Langiewicza żądając pomocy dla żuawów.

— Nie mam jej, odpowiedział mu Langiewicz.

— Jakto rezerwy pan nie ma? Z moich żuawów ani jeden nie wyjdzie żywy — Zginą wszyscy zaatakowani siłą tak przeważającą!

Słyszając Waligórski że Rochebrun mówi do dyktatora głosem podniesionym, dobitnie mu odpowiedział:

— Panie! ruszaj do swoich żuawów, bo jeżeli jak mówisz wszyscy oni zginą, to wstyd żebyś ty, ich dowódzca, nie podzielił ich losu.

Rochebrun słowa nie odpowiedziawszy powrócił do żuawów, których, dzięki kosynjerom, zastał żywych.

Dokonawszy swego kosynjerzy powrócili na dawne swe miejsce. Żuawi ponownie rozciągnęli linię tyraljerów.

Gwałtowny Szachowskoj, chcąc pomścić swoją piechotę, wysłał pułk dragonów. Żuawi przyjęli ich celnymi strzałami i zadawszy znaczne straty, zmusili do odwrotu.

Czengiery równie upartego w Czachowskim znalazł przeciwnika. Korzystając z terenu podsuwał on swoich tyraljerów pod nieprzyjacielskie kolumny. Tchórzliwy Czengiery zaczął rejterować, z czego Czachowski nie omieszkał skorzystać. Uderzył całym pułkiem na jego kolumny, przebił się przez nie i straciwszy wprawdzie kilkudziesięciu ludzi, dostał się w las gęsty, co posłużyło mu do spełnienia dawno powziętego zamiaru opuszczenia oddziału Langiewicza.

Jen. Czapski trzy razy przysyłał do Langiewicza po rozkazy — Nie otrzymał ich.

Zdemoralizowany żołnierz zaczął szemrać.

Gdy oddział nasz w skutek rejterady nieprzyjaciela posunął się naprzód, wysłany przez

Czapskiego adjutant z żądaniem jakiegokolwiek rozkazu, już Langiewicza w miejscu, gdzie się bitwa rozpoczęła, nie zastał — Powróciwszy dał znać że oddziału już niema.

Po niefortunnej szarży dragonów usłyszeliśmy bębny i trąby moskiewskie, dające sygnały do spieszego odwrotu.

Dano znać o tem Langiewiczowi. Nie chciał temu wierzyć... Wkrótce strzały ucichły — wtedy dopiero przekonał się że zwycięstwo było po naszej stronie.

Po sześciogodzinnej bitwie, w której nieprzyjaciel był dwa razy od nas silniejszy, zaopatrzony w broń nierównie lepszą, utrzymaliśmy plac boju. Z dumą o bitwie tej żołnierze powiedzieć mogli: Zwyciężyliśmy!

Oddawszy sprawiedliwość męstwu żołnierza, zastanówmy się jakie owoce przyniosło to zwycięstwo?

Na polu bitwy leżało przeszło dwiestu zabitych najwaleczniejszych żołnierzy, rannych drugie tyle. Brak ambulansów, brak doraźnej pomocy, był przyczyną że z upływu krwi wielu rannych ginęło.

Pozostałych pokładzono na prostych niewyscielonych wozach i wysłano... aby szukali sobie sami skutecznej dla siebie pomocy.

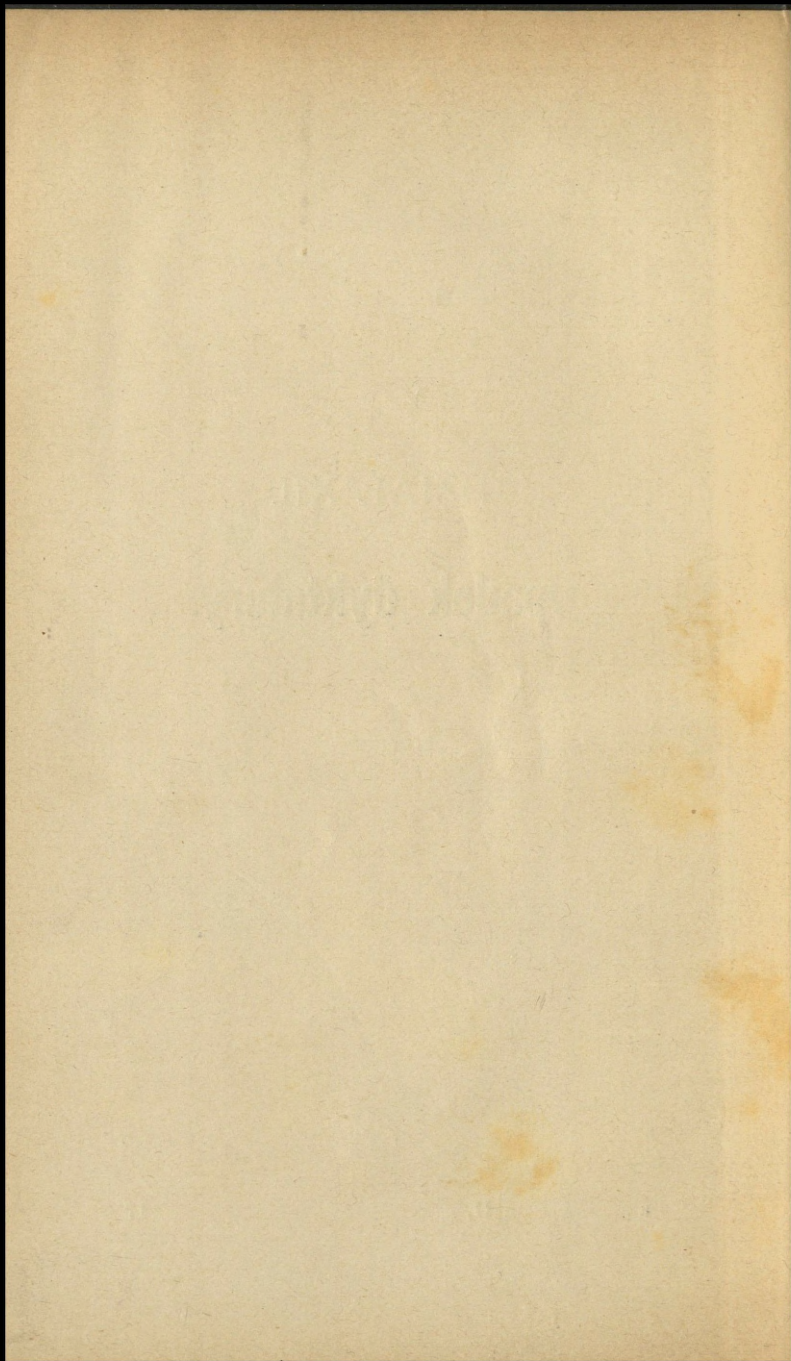
Zwycięstwo im trudniejsze, większymi ofiarami zdobyte, podnosi ducha żołnierza — rodzi zapał, wytrwałość...

W oddziale Langiewicza przeciwny sprawiło skutek.

DZIAŁ XII.

Upadek dyktatury.





Wieczorem dnia 18. marca opuściliśmy plac boju pod Grochowskimi i napowrót pomaszewaliśmy do Wełcza.

O tak dzielnie walczących dzień cały żołnierzach, zmęczonych, głodnych, nie dbano. Zmuszeni byli sami szukać dla siebie żywności...

Źle to wpłynęło na usposobienie żołnierza. W postawie, w ruchach jego niezadowolenie... Dawały się słyszeć przekleństwa... pogrożki na władzę!...

W Wełczu późnym wieczorem Langiewicz wezwał oficerów wyższych stopni na naradę.

Gdy się zgromadzili, Langiewicz zmęczony, z wyrazem zniechęcenia na twarzy, głosem przytłumionym rzekł do zebranych:

*

— Żołnierz nasz zdemoralizowany. Siły oddziału znacznie się zmniejszyły przez oddalenie się pułku piechoty Czachowskiego i kawalerji Czap-
skiego, nakoniec stratami w dzisiejszej bitwie
poniesionemi. Zważywszy te okoliczności po-
stanowiłem oddalić się na pewien czas od oddziału
i starać o środki, któremi mógłbym tak za-
silić powstanie aby ono odpowiedzieć mogło
wielkiemu swemu zadaniu.

Poczem zabrał głos jen. Waligórski i rzekł:

— Obowiązkiem moim było jako kwatermistrza
śledzić usposobienie żołnierza, które oświadczam
że jest jak najgorsze. W warunkach, w jakich
się znajdujemy, nie da ono się zmienić. Zda-
niem mojem dalszy pobyt dyktatora przy oddziale
sprowadzi tegoż zupełne zniszczenie. Moskale
wyteżą przeciw nam wszystkie siły — nie tyle
dla zniszczenia oddziału, ile dla zabicia władzy.

Sztab Langiewicza popierał zdanie jen. Wa-
ligórskiego. Nastąpiło ogólne milczenie, połą-
czone ze zdumieniem.

Winnicki jeden zaczął przedstawiać złe
skutki, jakie wyniknąć mogą dla powstania je-
żeli dyktator opuści oddział.

Głosy sztabowców Lengiewicza zagłu-
szyły go.

Langiewicz zimno, jakby nie słyszał słów jego, powiedział:

— Oto jest, co miałem panom do zakomunikowania.

Zwrócił się do pułk. Ulatowskiego i kazał mu wybrać 60 koni do eskorty.

— Zbawienna to rada twoja dla oddziału, powiedziałem wówczas do Waligórskiego, ale należałoby przecie aby Langiewicz zarządził co się ma stać z oddziałem zostającym — wyznaczyć dlań dowódcę.

— Słusznie mówisz, odrzekł.

Zbliżyliśmy się do Langiewicza i Waligórski objawił mu uczynioną przezemnie uwagę.

Langiewicz nie odpowiedział nam nic na razie, lecz zbliżył się do swego sztabu i rozmawiał z oficerami czas jakiś, a dopiero potem wróciwszy do nas, rzekł:

— Jenerał Jeziorański jest mi potrzebny.

A zwracając mowę do Waligórskiego, dodał:

— Ty, jenerale, wiesz już przecie że ze mną pojedziesz.

— Rozkaz tak ważny powinniśmy otrzymać na piśmie, rzekłem do Langiewicza.

— Nie mam tu ani kałamarza, ani pióra.

Waligórski wydarł dwie kartki z książeczkę kieszonkowej i podał ołówek.

Na nich mnie i Waligórskiemu napisał Langiewicz rozkaz że mamy mu towarzyszyć.

Zaledwie to się stało, ozwał się do Langiewicza Winnicki:

— Dyktator odjeżdżasz... potrzeba oddział oddać komuś pod dowództwo. Nie można go porzucać samopas; potrzeba uspokoić żołnierza. Zabierasz prawie wszystkich wyższych oficerów z sobą, któż będzie oddziałem dowodził?

Langiewicz kazał zawołać Śmiechowskiego i temu zdał dowództwo.

Śmiechowski prosił aby mu wydał rozkaz na piśmie, a także aby i wojsko rozkazem dziennym dyktatora było o tem powiadomione.

Langiewicz napisał do wojska na ówiarce papieru ołówkiem rozkaz, w którym zalecił aby było posłuszne Śmiechowskiemu.

Na potrzeby oddziału zostawił temuż 150 rubli.

Śmiechowski zwrócił uwagę Langiewicza że za parę dni należy się żołnierzowi żołd wypłacić, a oddział liczył wówczas jeszcze około 3000 ludzi.

Na ten cel przykazał mu Langiewicz kasy moskiewskie zabierać i temi pieniędzmi żołąd wojsku wypłacać.

Niestosowne w każdym razie było takie polecenie ze strony Langiewicza, bo kiedy i gdzie jakie moskiewskie kasy zabrał Langiewicz?

Zaraz po ogłoszeniu dyktatury złożyli mu rachunki i pieniądze oddziału mego kasjer B. R. i kontrolor M...

Langiewicz rachunki uznał za dobre, a pieniądze wziął.

Kasa moja, mimo regularnej płacy żołnierza, wydatków na jego potrzeby, opłacanie szpiegów, niezbędnych w każdej wojnie, a tem bardziej w takiej, jaką prowadziliśmy, zawierała kilkadziesiąt tysięcy rubli.

Pochodziły pieniądze te z zabranych kas rządowych moskiewskich, tudzież z funduszków obywateli, którzy dobrowolnie zobowiązali się, w miarę powiększania się mego oddziału, zasilać kasę odpowiednim funduszem.

Pan Stanisław Jasiński, delegat ziemi Czerskiej, przywoził mi najregularniej pieniądze na ten cel przeznaczone.

Gdy podczas dyktatury Langiewicza tenże p. Stanisław Jasiński przywiózł dla oddziału mego

pieniądze, a ja ich przyjąć od niego nie chciałem, lecz powiedziałem aby je oddał dyktatorowi, nie chciał tego uczynić i dopiero przedstawieniom moim uległ, zażądawszy od Langiewicza bardzo formalnego pokwitowania.

*

*

*

O świcie dnia 19 marca Langiewicz opuścił obóz z całym sztabem i wyższymi oficerami.

Pułk. Ulatowski prowadził eskortę.

Na bryczce jechał Langiewicz z panną Pustowojtówną, przebraną po męsku.

Jechałem konno — obok mnie Waligórski.

W miasteczku Wiślicy zatrzymaliśmy się aby kupić żołnierzom chleba i wódki — Tam zaniepokojono nas że idą za nami Moskale.

Langiewicz kazał dla zabezpieczenia się od napadu popalić mosty za nami po drodze.

Udaliśmy się z Wiślicy do Opatówka. Pokazało się że nie byli to kozacy, ale kilkunastu naszej kawalerji, między nimi Leniewski i Włodek, wysłani w pogoń za Langiewiczem, aby skłonić go, gdy sam opuszcza oddział, żeby mnie oddał dowództwo.

Wszelkie w tym względzie nalegania, prośby i perswazje były bezskuteczne, na co wpłynął, nie ulega wątpliwości, sztab, który przez proste podchlebstwo wmawiał w Langiewicza że jeżeli już sam nie ogłosię się dyktatorem, to w każdym razie odmówię mu posłuszeństwa...

W ślad za Langiewiczem postępował oddział, oburzony i zdemoralizowany...

Na Barańskiej komorze Langiewicz z panną Pustowojtówną, za chłopca przebraną, uchodzącą za jego syna, zaopatrzeni legalnym paszportem Waligórskiego i syna, już mieli zawizowany paszport przez komisarza, na komorze urzędującego i wychodzili aby wsiąść na bryczkę i jechać do Krakowa, gdy zbliżył się do nich młody człowiek w ubraniu powstańczem i uchylając czapki głośno powiedział:

— A to tu pan dyktator ze swoim adjutantem!

W skutek tego Langiewicza aresztowano wraz z Pustowojtówną.

Zaprowadzono go pod eskortą do Ujścia Solnego, gdzie go zatrzymano przez noc całą.

Nazajutrz odwieziono go pod silną strażą do Tarnowa a następnie do Iglawy, gdzie do końca powstania pozostał internowany.

Nazajutrz po przejściu Langiewicza cały oddział w ślad za nim przeszedł granicę.

Tak skończyła się dyktatura. Zawiodła ona rachuby tych, co chcieli koniecznie jawnej władzy, która w skutkach swych mogła wykazać jedynie jak słabe były siły powstania.

Pojechałem do Tarnowa. Starałem się tam uwolnić Langiewicza — zabiegi moje pozostały bez skutku.

Sądziłem że w tym względzie będę mógł co zrobić w Krakowie.

W tym celu udałem się do jen. Wysockiego. Nie chciał potrzebnych ku temu łożyć starań... Gdym sobie wspomniał postępowanie jego pod lasem około komory Barańskiej... nie mogłem powstrzymać się od zrobienia mu gorzkich wyrzutów!

*

*

*

O nieszczęśliwym pojedynku nieodżałowanego Stefana Bobrowskiego naostatek wspomnieć mi wypada. Z ust jen. Kruszewskiego dowiedziałem się o rzeczywistym tegoż powodzie.

Po ogłoszeniu dyktatury Langiewicza Bobrowski napisał list do jen Kruszewskiego tej

treści: „Stało się — dyktatura, której nie byłem zwolennikiem, przysłała do skutku. Niechże przynajmniej ten dyktator w działaniach swoich nie daje się powodować ludziom tego rodzaju jak Grabowski.“

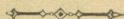
List ten przypadkiem dostał się do rąk Grabowskiego. To było powodem tego nieszczęsnego pojedynku, w którym straciliśmy jednego z najzdolniejszych ludzi — na dyktaturze nie nie zyskawszy.

Kilkunastodniowa dyktatura zadała klęskę powstaniu... Że wówczas nie upadło, dowód to siły i energii naszego narodu.

Dalszy przebieg powstania w następnym tomie czytelnikowi opowiem.

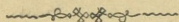
Spis treści tomu drugiego.

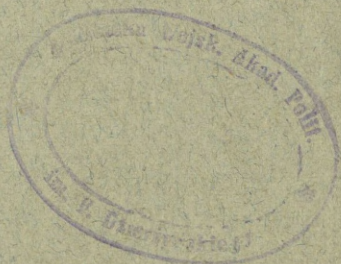
	str.
I. Przyjazd do Warszawy	2
II. W ojczyźnie	17
III. Demonstracje	33
IV. Organizacja narodowa	49
V. W cytadeli	91
VI. Branka	125
VII. Przygotowania do wybuchu	139
VIII. Wojna	149
IV. Jenerał Langiewicz	189
X. Bitwa pod Malogoszczą	201
XI. Dyktatura	215
XII. Upadek dyktatury	257



OMYŁKI DRUKU.

Strona	wiersz		zamiast		powinno być
46	— 13	—	przeniosło się	—	przeniósł się
112	— 9	—	dn	—	dni
120	— 12	—	mógł	—	moge
192	— 9	—	rzekł Langiewicz	—	rzekł ks. Kotkowski
194	— 22	—	Mieczkowski	—	Miecznikowski
220	— 11	—	Jasiński	—	Jasiński
222	— 17	—	dni	—	dniami
223	— 11	—	Smarzenicy	—	Smarzewicy.







74026

17